Ursula
K. Le Guin

CZARNOKSIĘŻNIK Z ARCHIPELAGU

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Duny urodził się w wiosce Dziesięć Olch na wyspie Gont. Pewnego dnia, kiedy miał siedem lat, podpatrzył jak jego ciotka używa prostej magii, aby zmusić kozę do zejścia z dachu. Nazajutrz sam zastosował te same słowa, w ten sposób został odkryty jego talent do magii.

Pierwszym nauczycielem chłopca była jego ciotka. Zaś po tym, jak Duny uratował swoją wioskę przed najazdem, przyjął go na naukę mag Ogion. On też nadał mu imię Ged. Dość szybko chłopiec rozczarował się naukami u milczącego mistrza. Mag wysłał go na Roke do szkoły czarnoksiężników, gdzie zyskał przyjaciela i wroga. Chęć popisania się przed tym drugim, miała w przyszłości sprowadzić na niego wielkie kłopoty…

- Ursula K. Le Guin
  -
  - 1. WOJOWNICY WE MGLE
  - 2. CIEŃ
  - 3. SZKOŁA CZARNOKSIĘŻNIKÓW
  - 4. UWOLNIONY CIEŃ
  - 5. SMOK Z WYSPY PENDOR
  - 6. ŚCIGANY
  - 7. LOT SOKOŁA
  - 8. POŚCIG
  - 9. IFFISH
  - 10. MORZE OTWARTE
  - 11. POSŁOWIE

Ursula K. Le Guin
Czarnoksiężnik z Archipelagu

Tylko w milczeniu słowo,
tylko w ciemności światło,
tylko w umieraniu życie:
na pustym niebie
jasny jest lot sokoła.

Pieśń o stworzeniu Ea

Dla moich braci
Cliftona, Teda, Karla

1. WOJOWNICY WE MGLE

Wyspa Gont, samotna góra wznosząca swój wierzchołek o milę ponad poziom umęczonego przez sztormy Morza Północno-Wschodniego, jest krainą sławną z czarnoksiężników. Z miast ukrytych w jej wysokich dolinach i z portów usadowionych w ciemnych, wąskich zatokach wyszedł już niejeden Gontyjczyk, aby służyć władcom Archipelagu w ich stolicach jako czarnoksiężnik lub mag albo też żeby w poszukiwaniu przygód wędrować ze swoimi czarami od wyspy do wyspy po całym Światomorzu.

Powiadają niektórzy, że największym z nich — a z pewnością największym podróżnikiem — był człowiek zwany Krogulcem, który w dniach szczytu swej potęgi stał się zarazem Władcą Smoków i Arcymagiem. O życiu jego opowiadają Czyny Geda i liczne pieśni, ale nasza opowieść dotyczy czasów, kiedy nie narodziła się jeszcze jego sława, a pieśni nie zostały ułożone.

Urodził się w odludnej wiosce zwanej Dziesięć Olch, tkwiącej wysoko na zboczu góry, tam gdzie zaczyna się Dolina Północna. Poniżej wioski spadają ku morzu skośnymi tarasami pastwiska i grunty orne Doliny, zaś inne miasteczka leżą na krętych brzegach Rzeki Ar; ponad wioską wznoszą się już tylko jeden za drugim porośnięte lasem grzbiety górskie aż do skał i śniegów na wyniosłych szczytach.

Imię, które nosił jako dziecko, Duny, nadała mu matka; to imię i życie było wszystkim, co mogła mu ofiarować, zmarła bowiem, zanim ukończył rok. Ojciec, wiejski kowal brązownik, był ponurym milczkiem, a ponieważ z sześciu braci Duny'ego, znacznie od niego starszych, jeden po drugim wyprowadzał się z domu, aby uprawiać

ziemię, żeglować po morzu lub pracować jako kowal w innych miasteczkach Doliny Północnej, nie było nikogo, kto by mógł wychować dziecko w atmosferze czułości.

Duny rósł dziko jak wybujałe ziele — wysoki, zapalczywy chłopak, krzykliwy, hardy i pełen gniewu. Wraz z gromadką innych wiejskich dzieci pasał kozy na spadzistych łąkach ponad rzecznymi źródłami; a gdy był już wystarczająco silny, aby poruszać miechami kowalskimi, ojciec zatrudnił go jako pomocnika w kuźni, płacąc mu szczodrze szturchańcami i chłostą.

Niewiele było pożytku z Duny'ego. Przebywał zawsze z dala od domu; zapuszczał się w głąb lasu, pływał w rozlewiskach Rzeki Ar, bystro toczącej swoje zimne wody jak wszystkie gontyjskie rzeki, albo wspinał się po żlebach i urwiskach ku szczytom ponad lasem, skąd mógł widzieć morze, rozległy północny ocean, na którym poza Perregaleny nie było już wysp.

W wiosce mieszkała siostra jego zmarłej matki. Troszczyła się niegdyś o jego niemowlęce potrzeby, ale musiała się zająć swoimi sprawami i odkąd umiał sam o siebie zadbać, nie poświęcała mu więcej uwagi. Któregoś dnia jednak, gdy chłopiec miał siedem lat i, przez nikogo nie uczony, nic jeszcze nie wiedział o umiejętnościach i mocach, jakie istnieją w świecie, zdarzyło mu się usłyszeć, jak ciotka wykrzykuje jakieś słowa w stronę kozy, która wskoczyła na strzechę chaty i nie chciała zejść; zeskoczyła jednak, gdy ciotka przywołała ją pewnym wierszykiem.

Pasąc nazajutrz długowłose kozy na łąkach Wysokiego Zbocza, Duny wykrzyknął w ich stronę zasłyszane słowa, choć nie znał ich zastosowania ani znaczenia i nie wiedział nawet, co to za wyrazy:

Noth hierth malk mań,

hiolk han merth han!

Wykrzyczał wierszyk na całe gardło i kozy zbliżyły się do niego. Podbiegły bardzo prędko, wszystkie naraz, całkiem bezgłośnie. Spoglądały na niego z głębi ciemnych szczelin pośrodku swoich żółtych oczu.

Duny zaśmiał się i znów powtórzył głośno wierszyk, ten wierszyk, który dał mu władzę nad stadem. Kozy podeszły bliżej, tłocząc się i przepychając wokół niego.

Nagle poczuł lęk przed ich grubymi, pręgowanymi rogami, przed ich dziwnymi oczami i dziwnym milczeniem. Usiłował wyrwać się

spomiędzy nich i uciec. Kozy spieszyły wraz z nim, wciąż gęsto zbite dookoła, aż wreszcie zbiegli w ten sposób na łeb na szyję do wioski — kozy pędziły stłoczone, jak gdyby obwiązywał je ciasno jakiś sznur, a chłopiec pośrodku nich z wrzaskiem zalewał się łzami. Wieśniacy wybiegli z domów, obrzucając przekleństwami kozy i śmiejąc się z chłopca. Wraz z nimi nadeszła jego ciotka, która się nie śmiała. Powiedziała kozom jakieś słowo i zwierzęta zaczęły beczeć, rozchodzić się i skubać trawę, uwolnione spod działania uroku.

— Chodź ze mną — powiedziała ciotka do Duny'ego.

Zabrała go do chaty, w której mieszkała samotnie. Zwykle nie pozwalała do niej wchodzić żadnemu dziecku i dzieci bały się tego miejsca.

Chata była niska i mroczna, pozbawiona okien, pełna woni ziół, które suszyły się, zawieszone u poprzecznej żerdzi dachu — mięta, czosnek, smagliczka i tymianek, krwawnik i tatarak, królewnik, czarcie kopytko, wrotycz i liście laurowe. Ciotka usiadła ze skrzyżowanymi nogami przy palenisku i patrząc z ukosa na chłopca przez plątaninę swoich czarnych włosów spytała go, co powiedział kozom i czy wie, czym jest ten wierszyk. Gdy przekonała się, że Duny nic nie wie, a jednak umiał rzucić urok na kozy, aby zbliżyły się i szły za nim, zrozumiała, że chłopiec ma zapewne w sobie zadatki na czarnoksiężnika.

Jako siostrzeniec, Duny był dla niej niczym, ale teraz spoglądała na niego innym okiem. Pochwaliła go i powiedziała, że mogłaby nauczyć go wierszyków, które bardziej mu się spodobają, na przykład słów, które zmuszają ślimaka, żeby wyjrzał ze skorupki, albo imienia, którym można przywołać krążącego po niebie sokoła.

— Tak, naucz mnie tego imienia! — zawołał Duny, wolny już od przerażenia, w które wpędziły go kozy, i dumny, że ciotka pochwaliła jego zdolności.

Czarownica odparła:

— Ale jeśli nauczę cię tego słowa, nie powtórzysz go nigdy innym dzieciom.

— Przyrzekam.

Jego chętna niewiedza rozbawiła ją.

— Dobrze, zgoda. Ale nie pozwolę ci złamać przyrzeczenia. Twój język pozostanie niemy, dopóki sama nie zechcę go rozwiązać, i nawet wtedy, mimo że będziesz mógł mówić, nie będziesz zdolny do wypowiedzenia słowa, którego cię nauczę, w obecności kogoś postronnego. Musimy strzec tajemnic naszego rzemiosła.

— Dobrze — zgodził się chłopiec; w istocie nie miał wcale ochoty zdradzać tajemnicy swoim towarzyszom zabaw, chciał bowiem wiedzieć i robić to, czego oni nie znali i nie potrafili.

Siedział bez ruchu, podczas gdy ciotka związała z tyłu swoje

potargane włosy, ściągnęła rzemień przepasujący suknię i znów usiadła ze skrzyżowanymi nogami, ciskając na palenisko garście liści, póki ścielący się dym nie napełnił mrocznego wnętrza chaty. Zaczęła śpiewać. Jej głos co chwila opadał lub wznosił się, jak gdyby poprzez nią śpiewał czyjś cudzy głos; śpiew trwał aż do momentu, gdy chłopiec nie wiedział już, czy jeszcze czuwa, czy już śpi, a przez cały ten czas stary czarny pies czarownicy, który nigdy nie szczekał, siedział przy nim z oczami zaczerwienionymi od dymu. Potem czarownica przemówiła do Duny'ego językiem, którego nie rozumiał, i kazała mu powtarzać za nią jakieś wierszyki i słowa, dopóki na chłopca nie spłynął urok, który go zmusił do milczenia.

— Przemów! — rozkazała, aby sprawdzić, czy czary działają.

Duny nie mógł mówić, ale roześmiał się. Jego siła przestraszyła trochę ciotkę, bo przecież rzuciła nań swój urok tak mocno, jak tylko potrafiła; usiłowała nie tylko zyskać władzę nad jego mową i milczeniem, ale jednocześnie zaczarować go, aby jej służył w magicznym rzemiośle. A jednak nawet pod działaniem uroku śmiał się. Czarownica nie powiedziała nic. Spryskała ogień czystą wodą, aż dym się rozwiał, i napoiła chłopca wodą, a gdy powietrze było czyste i Duny mógł znowu mówić, nauczyła go prawdziwego sokolego imienia, na którego dźwięk sokół musi się zjawić.

Był to pierwszy krok Duny'ego na drodze, którą miał kroczyć całe życie, na drodze magii — na drodze, która doprowadziła go w końcu aż na mroczne Wybrzeża Królestwa Śmierci, dokąd zapędził się w pogoni za cieniem padającym na ląd i morze. Lecz przy tych pierwszych krokach droga zdawała się szerokim, jasnym gościńcem. Gdy przekonał się, że dzikie sokoły spadają ku niemu z wyżyn wiatru, kiedy przywołuje je po imieniu, i z szumem skrzydeł siadają na jego przegubie niczym myśliwskie ptaki księcia, zapragnął poznać więcej takich imion; przyszedł więc do ciotki uprosić ją, aby go nauczyła imienia krogulca i rybołowa, i orła. Aby posiąść te obdarzone władzą słowa, robił wszystko, czego czarownica zażądała, i chłonął wszystko, czego go uczyła, choć nie wszystko było przyjemnie wiedzieć albo robić.

Na wyspie Gont istnieje porzekadło: „Słaby jak babskie czary", i jest też drugie porzekadło: „Złośliwy jak babskie czary". Czarownica z Dziesięciu Olch nie uprawiała właściwie czarnej magii ani nie wtykała nigdy nosa w wyższą sztukę wykorzystywania Starych Mocy; ale będąc ciemną kobietą pośród ciemnego ludu, często używała swoich umiejętności do celów nierozsądnych i dwuznacznych. Nie wiedziała nic o Równowadze i o Układzie, który zna i któremu służy prawdziwy czarnoksiężnik, i który pozwala mu użyć zaklęć tylko w wypadku rzeczywistej potrzeby. Znała zaklęcia na każdą okoliczność i wiecznie rzucała uroki. Znaczną część jej wiedzy stanowiły zwyczajne głupstwa

i oszukaństwa, nie umiała też odróżnić prawdziwych zaklęć od fałszywych. Znała wiele klątw i zapewne łatwiej jej przychodziło wywoływanie chorób niż ich leczenie. Potrafiła warzyć lubczyk jak żadna wiejska czarownica, ale zdarzało jej się też sporządzać inne, groźniejsze odwary, wywołujące u mężczyzn zazdrość i nienawiść. Takie praktyki ukrywała jednak przed swoim młodym terminatorem i w miarę swych możliwości uczyła go uczciwego rzemiosła.

Z początku całą przyjemność płynącą ze sztuk magicznych widział Duny po dziecinnemu we władzy, jaką dzięki nim posiadał nad ptactwem i zwierzyną, i w wiedzy, jaką zdobył na ich temat. W istocie ta przyjemność pozostała mu na cale życie. Widząc go często na górskich pastwiskach z drapieżnym ptakiem krążącym dookoła, inne dzieci nazywały go Krogulcem i tak zdobył sobie imię, które, zachował w późniejszym życiu jako swoje „imię użytkowe", podczas gdy jego prawdziwego imienia nikt nie znał.

Ponieważ czarownica opowiadała mu wciąż o sławie, bogactwach i wielkiej władzy nad ludźmi, jaką może zyskać czarownik, Duny zabrał się do zgłębiania bardziej użytecznej wiedzy. Radził sobie z tym wcale nieźle. Czarownica chwaliła go. a dzieci ze wsi zaczynały się go bać, on zaś sam był pewny, że już wkrótce stanie się kimś większym niż inni ludzie. Brnął więc dalej wraz z czarownica od słowa do słowa i od zaklęcia do zaklęcia, aż wreszcie, ukończywszy dwanaście lat, posiadł wielką część jej wiedzy, nie tak dużej, ale wystarczającej jak na czarownicę z małej wioski i więcej niż wystarczającej jak na dwunastoletniego chłopca. Ciotka przekazała mu wszystkie swoje wiadomości o zielarstwie i znachorstwie oraz wszystko, co wiedziała o sztuce znajdowania, związywania, naprawiania, otwierania i odsłaniania. Śpiewała mu wszystkie, jakie znała, opowieści bardów i pieśni o wielkich czynach, nauczyła też Duny'ego wszystkich słów Prawdziwej Mowy, które wpoił jej niegdyś dawny nauczyciel-czarownik. A od zaklinaczy pogody i wędrownych kuglarzy, którzy podróżowali po miasteczkach Doliny Północnej i Wschodniego Lasu, Duny nauczył się rozmaitych sztuczek j żartów — zaklęć wywołujących złudzenia. Właśnie jednym z takich błahych zaklęć po raz pierwszy wypróbował wielką moc, która w nim tkwiła.

W owych czasach Cesarstwo Kargad było silne. Kargad to cztery wielkie wyspy leżące pomiędzy Rubieżami Północnymi a Wschodnimi: Karego-At, Atuan, Hur-at-Hur, Atnini. Język, którym tam mówią, nie przypomina żadnego z języków używanych na Archipelagu albo na innych Rubieżach; mieszkańcy wysp to barbarzyńcy o białej skórze i żółtych włosach, dzicy, rozmiłowani w widoku krwi i swądzie płonących miast. Poprzedniego roku urządzili inwazję na Torykle i na silną wyspę Torheven, napadając na nie potężnymi flotyllami okrętów o czerwonych żaglach. Wieści o tym doszły na północ do wyspy Gont,

ale władcy Gontu, zajęci korsarstwem, nie poświęcali wiele uwagi niedolom innych krain. Potem uległa Kargom wyspa Spevy: została splądrowana i spustoszona, a jej mieszkańcy dostali się do niewoli, tak że aż do dziś jest jedną ruiną. Ogarnięci żądzą podboju, Kargowie popłynęli z kolei ku wyspie Gont: przybyli całą armią, na trzydziestu wielkich, długich okrętach, do Portu Wschodniego. Przedarli się przez to miasto, zdobyli je i spalili; pozostawiwszy okręty pod strażą u ujścia Rzeki Ar, ruszyli w górę Doliny, niszcząc i plądrując wszystko, rżnąc bydło i ludzi. W trakcie pochodu podzielili się na bandy i każda z tych band grabiła wedle swego wyboru. Uciekinierzy ostrzegali wyżej położone wioski. Wkrótce mieszkańcy Dziesięciu Olch ujrzeli, jak dym zaciemnia niebo na wschodzie, i tej nocy ci, którzy wspięli się na Wysokie Zbocze, spoglądali w dół na Dolinę całą we mgle i czerwonych pręgach płomieni, na jej dojrzałe do żniw pola wydane na pastwę ognia, na spalone sady z owocami piekącymi się na płonących gałęziach, na tlące się ruiny stodół i zagród.

Niektórzy wieśniacy uciekli w górę wąwozów i skryli się w lesie, inni gotowali się do walki o życie, jeszcze inni potrafili tylko stać w pobliżu i lamentować. Czarownica należała do tych, którzy uciekli; ukryła się samotnie w jaskini na Urwisku Kapperding, a wylot jaskini zamknęła szczelnie przy pomocy zaklęć. Ojciec Duny'ego, kowal brązownik, był wśród tych, którzy pozostali, nie umiałby bowiem porzucić swej kuźni i paleniska do wytapiania, przy którym trudził się od pięćdziesięciu lat. Całą tę noc mozolił się, wykuwając ze swego zapasu gotowego metalu groty włóczni; inni pracowali wraz z nim, przywiązując groty do trzonków motyk i grabi, nie było bowiem czasu, aby sporządzić oprawki i osadzić w nich drzewca jak należy. W wiosce nie było broni oprócz łuków myśliwskich i krótkich noży, jako że górale z Gontu nie mają wojowniczego usposobienia; i nie wojownicy są ich tytułem do sławy, ale złodzieje kóz, korsarze oraz czarnoksiężnicy.

Wraz ze wschodem słońca pojawiła się gęsta biała mgła, jak to często bywa w jesienne poranki w górnych partiach wyspy. Wieśniacy stali pomiędzy chatami i domkami rozrzuconymi z rzadka wzdłuż długiej ulicy wioski Dziesięciu Olch; czekali z łukami myśliwskimi i świeżo wykutymi włóczniami, nie wiedząc, czy Kargowie są daleko, czy już bardzo blisko — wszyscy milczący, wszyscy wpatrzeni w mgłę, która ukrywała przed ich oczami kształty, odległości i niebezpieczeństwa.

Wśród nich był Duny. Trudził się całą noc przy miechach kowalskich, ciągnąc i pchając dwa długie rękawy z koźlej skóry, które podsycały płomień podmuchami powietrza. Ramiona miał teraz tak obolałe i drżące od tej pracy, że nie mógł utrzymać włóczni, którą sobie wybrał. Nie miał pojęcia, czy będzie w stanie walczyć albo

przynieść jakikolwiek pożytek sobie lub wieśniakom. Dręczyła go myśl, że zginie nadziany na kargijską pikę, mimo że jest dopiero chłopcem; że wkroczy w krainę ciemności, nie poznawszy nawet własnego imienia, prawdziwego imienia mężczyzny. Spojrzał na swe chude ramiona, mokre od rosy, i poczuł gniew na własną słabość — znał przecież swoją siłę. Byłaby w nim moc, gdyby wiedział, jak jej użyć; spróbował odnaleźć pośród znanych sobie czarów jakiś fortel, który mógłby dać jemu i jego towarzyszom przewagę albo chociaż szansę. Ale sama tylko potrzeba to za mało, aby dać ujście mocy: potrzebna jest wiedza.

Mgła przerzedzała się już pod żarem słońca, które świeciło, niczym nie przysłonięte pod pułapem jasnego nieba. Gdy lotne opary podzieliły się na wielkie smugi i dymne wstęgi, wieśniacy dostrzegli zgraję wojowników wstępującą na zbocze góry. Napastnicy mieli na sobie brązowe hełmy' i nagolenniki oraz napierśniki z grubej skóry, nieśli tarcze z drewna i brązu; ich uzbrojenie stanowiły miecze i długie kargijskie piki. Maszerując wzdłuż krętego urwistego brzegu Rzeki Ar, przybliżali się pobrzękującym rozciągniętym rzędem przyozdobionym pióropuszami; byli już na tyle blisko, że można było dostrzec ich białe twarze i usłyszeć słowa, którymi pokrzykiwali jeden do drugiego w swojej niezrozumiałej mowie. Cała ta zgraja, część hordy najeźdźców, liczyła około stu ludzi, co nie jest wiele; ale w wiosce było wszystkiego osiemnastu mężczyzn i chłopców.

W tej chwili potrzeba przywołała na pomoc wiedzę: Duny, widząc, że zasłona mgły zwisająca w poprzek ścieżki, którą maszerują Kargowie, rozwiewa się i rzednie, przypomniał sobie zaklęcie mogące mu pomóc. Stary zaklinacz pogody z Doliny, starając się pozyskać sobie chłopca na ucznia, nauczył go niegdyś kilku czarów. Jedna z tych sztuczek zwała się tkaniem mgły: było to zaklęcie, które gromadzi przez jakiś czas opary w jednym miejscu; przy jego pomocy ktoś wprawny w iluzji może nadać mgle kształt jasnych, widomych widziadeł, które trwają chwilę i znikaj^. Chłopiec nie miał w tym wprawy, ale jego zamiar polegał na czym innym, i Duny miał w sobie dość mocy, aby użyć zaklęcia do własnych celów. Szybko i na cały głos wymówił nazwy ulic i opłotków wioski, po czym wypowiedział zaklęcie tkające mgłę, wplatając w nie słowa zaklęcia służącego do ukrycia się; na końcu wykrzyknął słowo, które wprawiało czar w działanie.

Gdy to czynił, ojciec podbiegł doń z tyłu i uderzył go silnie w skroń, powalając na ziemię.

— Cicho bądź, głupcze! Przestań mleć językiem i schowaj się gdzieś, jeśli nie potrafisz walczyć!

Duny upadł mu do stóp. Mógł już słyszeć Kargów na końcu wioski, tam gdzie stoi wielki cis rosnący koło garbarni. Ich głosy były

wyraźne, podobnie jak szczękanie i skrzypienie ich skórzanego oporządzenia i broni, ale nie można było ich dojrzeć. Mgła zwarła się i zgęstniała nad wioską, nadając światłu szarą barwę, zacierając wszystko, aż w końcu ledwie można było dostrzec przed sobą własne ręce.

— Ukryłem nas wszystkich — powiedział Duny, markotny, gdyż bolała go głowa po uderzeniu otrzymanym od ojca, a rzucenie podwójnego zaklęcia wyczerpało jego siły.

— Utrzymam tę mgłę tak długo, jak będę mógł. Zgromadź wszystkich i poprowadź ich na Wysokie Zbocze.

Kowal wytrzeszczył oczy na syna, który stał jak widmo w tej niesamowitej, ociekającej wilgocią mgle. Dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi Duny'emu, lecz kiedy wreszcie pojął, pobiegł natychmiast bezszelestnie — znał w wiosce każdy płot i zakręt — aby odnaleźć pozostałych i powiedzieć im, co mają robić. W tym momencie w szarej mgle zakwitła plama czerwieni: to Kargowie podpalili strzechę domu. Wciąż jeszcze nie weszli do wioski, lecz czekali u jej niżej położonego krańca, aż mgła się podniesie, obnażając ich łup i zdobycz.

Garbarz, którego dom właśnie podpalono, posłał paru chłopaków, którzy kręcili się tuż pod nosem Kargów urągając im, wrzeszcząc i znów znikając jak dym rozpływający się w dymie. Tymczasem starsi mężczyźni, pełznąc za płotami i przebiegając od domu do domu, podeszli blisko z drugiej strony i spuścili grad strzał i włóczni na wojowników, którzy stali zbici w jedną gromadę. Jeden z Kargów upadł, wijąc się pod ciosem włóczni, która, wciąż jeszcze ciepła od kucia, przeszła na wylot przez jego ciało. Innych trafiały strzały; wszyscy Kargowie wpadli we wściekłość. Rzucili się do ataku, aby powalić słabych napastników, ale wokoło była tylko pełna głosów mgła. Ścigali te głosy, dźgając mgłę przed sobą swoimi wielkimi, upierzonymi, zbroczonymi krwią pikami. Rycząc przemierzyli całą długość ulicy; nie wiedzieli nawet, że przebiegli przez całą wieś, jako że puste chaty i domy wyłaniały się i znikały znowu w wijących się pasmach szarej mgły. Wieśniacy pędzili w rozsypce; większość z nich, znając teren, odbiegła daleko naprzód, ale niektórzy, chłopcy lub starcy, uciekali za wolno. Natykając się na nich Kargowie wbijali w nich piki albo rąbali mieczami, wydając przy tym swój przenikliwy okrzyk wojenny złożony z imion Białych Braci Boga z Atuanu:

— Wuluah! Atwah!

Niektórzy ze zgrai wrogów zatrzymali się, gdy poczuli, że ziemia pod nogami stała się nierówna, ale pozostali wciąż pędzili naprzód, szukając widmowej wioski, ścigając niewyraźne, chwiejne kształty, które tuż przed nimi umykały z ich zasięgu. Cała mgła była jakby żywą istotą, pełną tych pierzchających postaci, które wymykały się, migały i znikały ze wszystkich stron naraz. Część Kargów pognała w

ślad za widmami prosto na Wysokie Zbocze, ku krawędzi urwiska nad źródłami Aru; ścigane przez nich kształty wymknęły się i rozpłynęły w rzednącym tumanie, ścigający zaś runęli z wrzaskiem poprzez mgłę i nagły blask słońca sto stóp pionowo w dół, prosto w płytkie rozlewiska pomiędzy głazami. Ci natomiast, którzy biegli za nimi i nie spadli, stali na krawędzi urwiska nasłuchując.

Trwoga napełniła teraz serca Kargów: zaczęli szukać w niesamowitej mgle już nie wieśniaków, lecz siebie nawzajem. Zgromadzili się na stoku, widma i upiorne postacie wciąż jednak były wokół nich, inne zaś kształty podbiegały od tyłu, dźgając ich włócznią lub nożem i znowu znikając. Kargowie, wszyscy naraz, rzucili się pędem w dół zbocza, potykając się, bez słowa, póki nie wyrwali się z szarej ślepej mgły i nie ujrzeli rzeki oraz parowów poniżej wioski, odsłoniętych i jasnych w porannym świetle. Wtedy zatrzymali się, zebrali w gromadę i obejrzeli za siebie. Ściana płynnej, falującej szarości zalegała nietknięta w poprzek ścieżki, skrywając wszystko, co leżało za nią. Paru maruderów wypadło jeszcze stamtąd, wyrywając się naprzód i potykając, długie, piki podrygiwały im na ramionach. Żaden Karg nie obejrzał się więcej niż ten jeden raz. Wszyscy pośpieszyli w dół, jak najdalej od zaczarowanego miejsca.

W dalszej drodze w dół Doliny Północnej kargijscy wojownicy zaznali walki aż nadto. Miasteczka Lasu Wschodniego, od Ovarku aż do wybrzeża, zebrały swoich mężczyzn i wysłały ich przeciw najeźdźcom wyspy Gont. Hordy, jedna po drugiej, zstępowały ze wzgórz i w ciągu tego samego dnia oraz nazajutrz Kargowie, nękani przez Gonty jeżyków, zostali zepchnięci na plaże przy Porcie Wschodnim, gdzie znaleźli swoje okręty spalone; walczyli więc, mając morze za plecami, aż wszyscy polegli, a piaski wokół ujścia Aru były brunatne od krwi aż do najbliższego przypływu.

Ale owego ranka w wiosce Dziesięć Olch i ponad nią na Wysokim Zboczu wilgotna szara mgła wisiała jeszcze jakiś czas, po czym nagle rozwiała się, rozpłynęła i ulotniła. Ten i ów wieśniak podniósł się w wietrznej jasności poranku i rozglądał ze zdumieniem. Tu leżał martwy Karg o żółtych włosach, długich, rozpuszczonych i skrwawionych; ówdzie wiejski garbarz, który poległ w bitwie królewską śmiercią.

W dole wioski podpalony dom wciąż jeszcze płonął. Wieśniacy pobiegli gasić ogień, albowiem ich bitwa była wygrana. Na ulicy, pod wielkim cisem, znaleźli Duny'ego, syna kowala; chłopiec stał o własnych siłach i nie odniósł ran, ale był niemy i oszołomiony jak od ogłuszenia. Wiedzieli dobrze, co zdziałał; zaprowadzili go do domu jego ojca i poszli wywołać z jaskini czarownicę, aby uzdrowiła chłopca, który uratował ich życie i majątek — jeśli nie liczyć czterech ludzi zabitych przez Kargów i jednego spalonego domu.

Chłopcu nie zadano żadnej rany bronią, nie mógł jednak mówić ani jeść, ani spać, zdawało się, że nie słyszy, co się do niego mówi, ani nie widzi tych, którzy go odwiedzają. Nie było w tych stronach czarnoksiężnika, który potrafiłby uleczyć jego dolegliwość. Ciotka Duny'ego powiedziała: „Nadużył swojej mocy", ale nie znała sztuk, które mogłyby mu pomóc.

Kiedy tak leżał posępny i niemy, historia chłopca, który utkał mgłę i kłębowiskiem widm odstraszył kargijskich wojowników, opowiadana była w całej Dolinie Północnej i we Wschodnim Lesie, a także wysoko w górach i po drugiej stronie gór, nawet w Wielkim Porcie wyspy Gont. Zdarzyło się wiec, że na piąty dzień po rzezi u ujścia Aru zjawił się w wiosce Dziesięć Olch nieznajomy człowiek ani stary, ani młody, który przybył okryty płaszczem i z gołą głową, niosąc lekko wielką dębową laskę długości równej jego wzrostowi. Nie szedł w górę rzeki Ar jak większość ludzi, lecz w dół, z lasów rosnących na wyższy/n zboczu góry. Wiejskie gospodynie rozpoznały w nim od razu czarnoksiężnika i kiedy oznajmił im, że jest uzdrowicielem, zaprowadziły go wprost do domu kowala. Nieznajomy kazał wyjść wszystkim z wyjątkiem ojca i ciotki chłopaka, po czym schylił się nad posłaniem, na którym leżał wpatrzony w ciemność Duny, i zrobił tylko tyle, że położył mu dłoń na czole i dotknął raz jego ust.

Duny usiadł powoli i rozejrzał się. Po małej chwili przemówił, a siła i głód zaczęły weń powracać. Dano mu trochę pić i jeść; położył się znowu, wciąż obserwując nieznajomego ciemnymi, zdziwionymi oczyma. Kowal zwrócił się do nieznajomego:

— Nie jesteś zwykłym człowiekiem.

— Ten chłopiec też nim nie będzie — odparł przybysz. — Opowieść o tym, co uczynił z mgłą, doszła do Re Albi, gdzie mieszkam. Przybyłem tu aby nadać mu imię, jeśli to prawda, co mówią, że nie odbył jeszcze dotąd swojego Przejścia w wiek męski.

Czarownica szepnęła do kowala:

— Bracie, to z pewnością musi być mag z Re Albi, Ogion Milczący, ten sam, co to powstrzymał trzęsienie ziemi…

— Panie — rzekł kowal, który nie dał się zastraszyć wielkim imieniem — mój syn skończy trzynaście lat w przyszłym miesiącu, ale chcieliśmy urządzić obrzęd jego Przejścia dopiero zimą, w czasie święta Powrotu Słońca.

— Niech otrzyma imię jak najwcześniej — odpowiedział mag — albowiem potrzebuje imienia. Mam teraz inne sprawy, ale wrócę tutaj w dzień, który wybierzesz. Jeśli uznasz to za słuszne, zabiorę go z sobą, kiedy potem stąd odejdę. A jeśli okaże się zdolny, zatrzymam go jako ucznia albo dopilnuję, aby go kształcono stosownie do jego uzdolnień. Bo niebezpieczną jest rzeczą utrzymywać w ciemności

umysł kogoś zrodzonego do czarów.

Ogion mówił bardzo łagodnie, ale stanowczo, i nawet uparty kowal musiał przystać na wszystko, co mag powiedział. W dniu, w którym chłopiec ukończył trzynaście lat, gdy trwał wczesny przepych jesieni, a na drzewach pełno jeszcze było jaskrawych liści, Ogion powrócił do wioski z wędrówek po górze Gont i odbył się obrzęd Przejścia. Czarownica odebrała chłopcu imię Duny, imię, które nadała mu matka jako niemowlęciu. Bez imienia, nagi wchodził w zimne źródła Aru, tryskające pośród głazów, pod wysokimi urwiskami. Gdy wstąpił w wodę, chmury przesłoniły twarz słońca: wielkie cienie spłynęły i zmieszały się na powierzchni rozlewiska wokół niego. Chłopiec przeszedł do odległego brzegu; drżał z zimna, lecz kroczył powoli, wyprostowany, tak jak należało, poprzez lodowatą, bystrą wodę. Gdy dobrnął do brzegu, czekający nań Ogion wyciągnął rękę i ściskając ramię chłopca szepnął mu jego prawdziwe imię: Ged.

Tak więc nadał mu imię ktoś, kto znał się dobrze na użyciu czarodziejskiej mocy.

Uczta świąteczna trwała w najlepsze i wszyscy wieśniacy wesel]li się jedząc obficie, pijąc piwo i słuchając barda z Doliny śpiewającego Czyny Władców Smoków, kiedy mag odezwał się do Geda spokojnym głosem:

— Chodź, chłopcze. Pożegnaj swych braci i odejdź, niech biesiadują.

Ged przyniósł to, co miał zabrać ze sobą, a co składało się z wykutego dlań przez ojca dobrego noża z brązu, ze skórzanego płaszcza, który skroiła na jego miarę wdowa po garbarzu, i z olchowej laski, która zaczarowała dla niego ciotka; to było wszystko, co posiadał, oprócz koszuli i spodni. Pożegnał wieśniaków, jedynych ludzi, których znal w całym świecie, i raz jeszcze rozejrzał się po wiosce rozproszonej i stłoczonej pod urwiskami, nad źródłami rzeki. Potem wraz ze swym nowym mistrzem ruszył w drogę poprzez lasy porastające strome zbocza górzystej wyspy, poprzez liście i cienie jasnej jesieni.

2. CIEŃ

Ged sądził najpierw, że jako uczeń wielkiego maga dostąpi od razu wtajemniczenia i od razu osiągnie biegłość w czarodziejskiej mocy. Myślał, że będzie rozumieć język zwierząt i mowę liści w lesie, że swoim słowem będzie poruszał wiatry i nauczy się przeistaczać siebie w każdy kształt, w jaki zapragnie; że być może obaj z Mistrzem pobiegną obok siebie pod postacią jeleni lub pofruną do Re Albi ponad górą na orlich skrzydłach.

Ale wcale tak nie było. Wędrowali najpierw w dół Doliny, a potem coraz bardziej na południe i zachód naokoło góry, szukając noclegu w małych wioskach albo spędzając noc na bezludziu jak ubodzy najemni czarownicy, wędrowni rzemieślnicy albo żebracy. Nie wkroczyli w żadną tajemniczą dziedzinę. Nic się nie zdarzyło. Dębowa laska maga, którą Ged oglądał po raz pierwszy z pełną entuzjazmu trwogą, była tylko grubą laską do podpierania się w marszu. Minęły trzy dni i cztery dni, a wciąż jeszcze Ogion nie wypowiedział ani jednego zaklęcia w obecności Geda, ani też nie nauczył go niczego, o imionach, runach lub czarach.

Mimo że bardzo małomówny, Ogion był tak łagodny i spokojny, że Ged wkrótce przestał się go lękać, a dzień czy dwa później ośmielił się już na tyle, że spytał swego mistrza:

— Kiedy zacznie się moja nauka, panie?

— Już się zaczęła — odpowiedział Ogion. Zapadło milczenie, jak gdyby Ged starał się powstrzymać coś, co musiał powiedzieć. Wreszcie powiedział to:

— Ale ja się jeszcze niczego nie nauczyłem!

— Bo nie zdałeś sobie jeszcze sprawy, czego uczę — odparł mag, stąpając dalej miarowym, długonogim krokiem po drodze, która wiodła przez wysoką przełęcz między Ovark i Wiss. Jak większość Gontyjczyków, miał skórę śniadą, miedzianobrązową o ciemnym odcieniu; był siwowłosy, szczupły i żylasty jak chart, niestrudzony. Odzywał się rzadko, jadł mało, spał jeszcze mniej. Wzrok i słuch miał bardzo wyostrzone, a na jego twarzy często pojawiał się wyraz zasłuchania.

Ged nie odpowiedział mu. Nie zawsze jest łatwo odpowiedzieć magowi.

— Chcesz czynić czary — powiedział Ogion po chwili, krocząc naprzód. — Zbyt wiele wody czerpałeś z owej studni. Czekaj. Dojrzałość to cierpliwość. Biegłość to cierpliwość dziewięciokrotna. Co to za ziele przy ścieżce?

— Słomianka.

— A tamto?

— Nie wiem.

— Czworolistek, tak to nazywają.

Ogion przystanął, stawiając już przy roślince okuty miedzią koniec swej laski; Ged przyjrzał się więc chwastowi z bliska, oderwał od niego uschnięty strączek i wreszcie, ponieważ Ogion nie powiedział nic więcej, zapytał:

— Jaki jest z niego pożytek, Mistrzu?

— Żaden, o ile wiem.

Ged trzymał przez chwilę strączek, gdy szli dalej, potem odrzucił go na bok.

— Gdy poznasz czworolistek we wszystkich porach roku, jego korzeń, liść i kwiat, gdy poznasz go po wyglądzie, zapachu i nasieniu, wtedy będziesz mógł nauczyć się jego prawdziwego imienia, bo będziesz znał jego istotę: a to więcej niż pożytek. Ostatecznie, jaki jest pożytek z ciebie? Albo ze mnie? Czy Góra Gont jest użyteczna? Alba Morze Otwarte? — Ogion maszerował dalej chyba z pół mili, po czym odezwał się wreszcie: — Aby słyszeć, należy milczeć.

Chłopiec nachmurzył się. Nie podobało mu się, że zmuszano go, aby czuł się jak głupiec. Zataił jednak urazę i zniecierpliwienie; starał się być posłuszny, tak aby Ogion zgodził się w końcu nauczyć go czegoś. Albowiem Ged łaknął nauki, pragnął posiąść moc. Co prawda zaczynało mu się wydawać, że nauczyłby się więcej towarzysząc jakiemuś zbieraczowi ziół czy wiejskiemu czarownikowi, i gdy okrążając górę szli na zachód w odludne lasy za Wiss, zastanawiał się coraz bardziej, na czym polega potęga i magia tego wielkiego maga Ogiona. Gdy bowiem padało, Ogion nie próbował nawet odegnać ulewy zaklęciem znanym każdemu zaklinaczowi pogody. W kraju takim jak Gont czy Enlady, gdzie gęsto od czarowników, można nieraz widzieć „ chmurę deszczową błądzącą wolno z miejsca na miejsce w różnych kierunkach, przetaczaną przez jedno zaklęcie ku następnemu, aż wreszcie zostanie wypchnięta nad morze, gdzie może się spokojnie wypadać. Natomiast Ogion pozwalał deszczowi padać tam, gdzie padał. Znajdował grubą jodłę i układał się pod nią. Ged przykucał wśród ociekających wodą krzaków, mokry i markotny, zadając sobie pytanie, co za pożytek z posiadania mocy, jeśli jest się zbyt mądrym, aby z niej korzystać; żałował, że nie poszedł terminować do owego starego zaklinacza pogody z Doliny, u którego przynajmniej można byłoby spać w suchym odzieniu. Nie wypowiadał na głos żadnej ze swych myśli. Nie mówi ani słowa. Jego Mistrz uśmiechał się i wśród deszczu zapadał w sen.

Gdy zbliżał się Powrót Słońca i pierwsze obfite śniegi zaczynały padać na wyżynach wyspy Gont, przybyli do Re Albi, miejsca zamieszkania Ogiona. Re Albi to miasteczko na wysokim skalistym grzbiecie Overfell, a nazwa jego oznacza Sokole Gniazdo. Można z

niego ujrzeć daleko w dole głęboką przystań i wieże Portu Gont oraz statki wpływające i wypływające zeń pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami, stanowiącymi wejście do zatoki; a daleko na zachodzie dają się dostrzec ponad morzem błękitne wzgórza wyspy Oranśa, najdalej wysuniętej na wschód spośród Skrytych Wysp.

Dom maga, choć obszerny i zbudowany z tęgich bali, mający wewnątrz nie palenisko, lecz kominek i dymnik, przypominał raczej chaty z wioski Dziesięć Olch: stanowił cały jedną izbę,, z dobudowaną z jednej strony komórką dla kóz. W zachodniej ścianie izby była jakby alkowa, w której sypiał Ged. Nad jego legowiskiem znajdowało się okno z widokiem na morze, ale najczęściej okiennice musiały być zamknięte dla ochrony przed silnymi wichrami, które dęły przez całą zimę z zachodu i północy. W mrocznym cieple tego domu Ged spędził zimę, słysząc na dworze szum deszczu i wiatru albo ciszę padającego śniegu oraz ucząc się pisania i czytania Sześciuset Runów Hardyckich. Rad był bardzo, że zgłębia tę wiedzę, albowiem bez niej samo tylko zwyczajne uczenie się na pamięć czarów i zaklęć nie pozwala nikomu osiągnąć prawdziwej biegłości w czarnoksięstwie. Hardyckie narzecze Archipelagu nie ma wprawdzie w sobie więcej magicznej mocy niż jakikolwiek inny język ludzki, ale swymi korzeniami sięga Dawnej Mowy, owego języka, w którym rzeczy nazywa się ich prawdziwymi imionami; a droga wiodąca do zrozumienia tej mowy zaczyna się od runów, które zapisano, gdy wyspy świata wynurzyły się po raz pierwszy z morza.

Nie zdarzały się jednak żadne cuda ani czary. Przez całą zimę nie było niczego poza odwracaniem ciężkich stronic Księgi Runów, poza deszczem i śniegiem; a Ogion wchodził do izby, wracając z włóczęgi po lodowatych lasach albo od doglądania kóz, tupał, aby otrząsnąć śnieg z butów, i siadał w milczeniu przy ogniu. I długie, zasłuchane milczenie maga napełniało izbę, napełniało myśli Geda, aż zdawało się czasami, że zapomniał, jak brzmią słowa; i gdy Ogion odzywał się wreszcie, było tak, jak gdyby właśnie w tym momencie i po raz pierwszy wynalazł mowę. Mimo to słowa, które wymawiał, nie dotyczyły wielkich spraw, a obracały się jedynie wokół prostych rzeczy, chleba i wody, pogody i snu.

Gdy nadeszła rychła i pełna światła wiosna, Ogion często wysyłał Geda na zbieranie ziół na łąkach ponad Re Albi i pozwalał mu zajmować się tym, jak długo miał ochotę; Ged mógł swobodnie spędzać cały dzień na wędrowaniu brzegiem wezbranych od deszczu potoków, poprzez las, po wilgotnych zielonych polach, skąpanych w słońcu. Za każdym razem szedł z radością i zostawał na dworze do późnego wieczora; lecz nie zapominał całkiem i o ziołach. Wypatrywał ich, gdy wspinał się, włóczył, brnął przez potoki i zagłębiał się w gąszcze, i nigdy nie powracał z pustymi rękami.

Kiedyś trafił na łąkę pomiędzy dwoma strumieniami, gdzie rósł gęsto kwiat zwany białym świątkiem, a ponieważ kwiecie to jest rzadkie i cenione przez znachorów, powrócił tam następnego dnia. Na łące był już ktoś inny, dziewczyna, którą znał z widzenia jako córkę starego władcy Re Albi. Nie odezwałby się do niej, ale dziewczyna podeszła doń i pozdrowiła go miło:

— Znam ciebie, jesteś Krogulec, uczeń naszego maga. Opowiedz mi o czarach, dobrze?

Patrzał w dół na białe kwiaty, które muskały jej białą spódnicę, i z początku, onieśmielony i pochmurny, ledwie odpowiadał. Ona mówiła jednak dalej, w otwarty, beztroski i kapryśny sposób, który po trochu pozwolił mu pozbyć się skrępowania. Była wysoką dziewczyną mniej więcej w jego wieku, bardzo bladą, o skórze niemal białej; jej matka, jak mówiono w wiosce, pochodziła z Osskil czy z innej obcej krainy. Włosy dziewczyny, długie i proste, spadały jak czarny wodospad. Ged uważał, że jest bardzo brzydka, ale czuł pragnienie podobania się jej, zyskania jej podziwu, i pragnienie to narastało w nim w trakcie rozmowy. Dziewczyna skłoniła go, aby opowiedział całą historię swoich sztuczek z mgłą, która pokonała kargijskich wojowników, i słuchała go jak gdyby pełna zdumienia i podziwu, ale nie pochwaliła ani słowem a zaraz potem skierowała rozmowę na inne tory, pytając:

— Czy potrafisz przywoływać do siebie ptaki i zwierzęta?

— Potrafię — odpowiedział Ged.

Wiedział, że w urwisku nad łąką kryje się gniazdo sokoła, i przywołał ptaka po imieniu. Sokół przyfrunął, ale nie chciał usiąść na przegubie Geda, zapewne spłoszony obecnością dziewczyny. Skwirzył i bił powietrze szerokimi pręgowanymi skrzydłami, po czym wzbił się w górę w podmuchach wiatru.

— Jak się nazywa ten rodzaj czarów, który każe przyfrunąć sokołowi?

— Zaklęcie Przywołania.

— A czy potrafisz też przywołać do siebie duchy zmarłych?

Pomyślał że tym pytaniem dziewczyna natrząsa się z niego, ponieważ sokół nie był w całej pełni posłuszny jego wezwaniom. Nie zamierzał pozwolić jej na drwiny.

— Mógłbym, gdybym zechciał — odparł spokojnym głosem.

— Czy przywołanie ducha nie jest bardzo trudne, bardzo niebezpieczne?

— Trudne, owszem. Niebezpieczne? — wzruszył ramionami. Tym

razem był prawie pewien, że w jej oczach jest podziw.

— A czy umiesz rzucać uroki miłosne?

— Do tego nie trzeba wielkiej biegłości.

— To prawda — zgodziła się — każda wiejska czarownica to, umie. A czy potrafisz czynić czary Przemiany? Czy umiesz odmienić swą własną postać, jak to podobno czynią czarnoksiężnicy?

Znowu nie był całkiem pewien, czy dziewczyna nie naigrawa się zeń tym pytaniem, odpowiedział więc ponownie:

— Mógłbym to zrobić, gdybym zechciał.

Zaczęła go usilnie prosić, aby przeistoczył się w cokolwiek zechce — w jastrzębia, w byka, w ogień, w drzewo: Zbył ją kilkoma tajemniczymi słowami, jakich używał jego Mistrz, ale nie umiał odmówić stanowczo, kiedy zaczęła się doń przymilać; zresztą nie wiedział, czy sam wierzy w swoje przechwałki, czy też nie. Pożegnał się z nią mówiąc, że mag, jego mistrz, czeka na niego w domu, nazajutrz zaś nie powrócił na łąkę. Ale dzień później przyszedł znowu mówiąc sobie, że powinien narwać więcej kwiatów, póki jeszcze kwitną. Dziewczyna była na łące; wspólnie brnęli na bosaka przez podmokłą trawę, rwąc ciężkie kwiaty białego świątka. Świeciło wiosenne słońce i dziewczyna rozmawiała z Gedem wesoło jak pierwsza lepsza młoda pasterka z jego rodzinnej wsi. Pytała go znów o czary i słuchała z rozszerzonymi oczyma wszystkiego, co opowiadał, tak że ponownie zaczął się przechwalać. Wtedy spytała go, czy nie uczyniłby czaru Przemiany, a gdy próbował ją zbyć, spojrzała na niego, odgarniając z twarzy czarne włosy, i powiedziała:

— Boisz się to zrobić?

— Nie, nie boję się.

Uśmiechnęła się z odrobiną lekceważenia i rzuciła:

— Jesteś chyba za młody.

Tego już nie mógł ścierpieć. Nie powiedział wiele, ale postanowił, że pokaże jej, co jest wart. Powiedział dziewczynie, aby przyszła jutro znowu na łąkę, jeśli ma ochotę, w ten sposób pożegnał się z nią i wrócił do domu, w którym jego Mistrza jeszcze nie było. Ged podszedł wprost do półki i zdjął z niej dwie Księgi Wiedzy, których Ogion nigdy jeszcze nie otworzył w jego obecności.

Poszukiwał zaklęcia Samoprzemienienia, ale ponieważ czytanie runów szło mu jeszcze wolno i mało z tego rozumiał, nie mógł znaleźć tego, czego szukał. Księgi te były bardzo stare. Ogion odziedziczył je po swoim Mistrzu Helecie Proroku, a Heleth po swoim Mistrzu Magu z Perregalu, i tak dalej wstecz aż do mitycznych czasów. Pismo było drobne i osobliwe; między jego wierszami pełno było dopisków poczynionych przez liczne ręce, które teraz wszystkie były prochem. Mimo to Ged rozumiał gdzieniegdzie coś z tego, co usiłował czytać, i mając wciąż w pamięci pytania i szyderstwa dziewczyny, zatrzymał

się na stronicy, która zawierała zaklęcie przywołujące duchy zmarłych.

Gdy czytał, odcyfrowując jeden po drugim runy i znaki, opanowywała go trwoga. Utkwił oczy w stronicy i nie był w stanie ich podnieść, dopóki nie przeczytał całego zaklęcia do końca.

Potem podnosząc głowę ujrzał, że w domu jest ciemno. Czytał przed chwilą bez żadnego światła, w ciemności. Teraz zaś nie mógł odczytać runów, gdy spuścił wzrok; na księgę. Trwoga wciąż w nim rosła; nie mógł wstać z krzesła, jak gdyby strach go spętał. Było mu zimno. Oglądając się przez ramię dostrzegł, że obok zamkniętych drzwi coś się kuli, jakaś bezkształtna bryła cienia ciemniejszego niż ciemność. Zdawało mu się, że cień sięga w jego stronę, że szepcze, że szeptem coś do niego woła; nie mógł jednak zrozumieć słów.

Nagle drzwi rozwarły się na oścież. Pojawił się w nich człowiek otoczony jaskrawym białym światłem, wielka jasna postać, która przemówiła głośno, gwałtownie i niespodziewanie. Ciemność i szept ustały i rozwiały się.

Trwoga opuściła Geda, ale wciąż jeszcze był śmiertelnie wylękniony, bowiem to mag Ogion stał w drzwiach otoczony jasnością, a dębowa laska w jego dłoni płonęła białym blaskiem.

Nie mówiąc ani słowa, mag przeszedł obok Geda, zapalił lampę i odłożył księgi na półkę. Potem obrócił się do chłopca i rzekł:

— Nie wolno ci nigdy używać tego zaklęcia, chyba żeby ci groziła utrata mocy i życia. Czy to dla tego zaklęcia otwarłeś księgi?

— Nie, Mistrzu — wymamrotał chłopak i pełen wstydu opowiedział Ogionowi, czego i z jakiej przyczyny poszukiwał.

— Czy nie pamiętasz, co ci mówiłem — że matka tej dziewczyny, małżonka władcy, jest czarodziejką?

W istocie, Ogion kiedyś to powiedział, ale Ged nie zwrócił wtedy na to uwagi, choć od obecnej chwili wiedział już, że Ogion nigdy nie mówi mu niczego, jeśli nie ma po temu istotnego powodu.

Sama dziewczyna jest już na wpół czarownicą. Być może, to matka przysłała ją, aby z tobą porozmawiała. Być może to ona otwarła księgę na stronicy, którą czytałeś. Moce, którym ona służy, nie są tymi, którym służę ja; nie znam jej zamiarów, ale wiem, że nie życzy mi dobrze. Ged, posłuchaj mnie teraz. Czy nigdy nie pomyślałeś, że tak jak cień musi otaczać światło, tak samo niebezpieczeństwo musi otaczać czarodziejską moc? Te czary to nie gra, w którą się bawimy dla przyjemności albo własnej chwały. Pomyśl o tym: o tym, że każde słowo, każde działanie naszej sztuki wypowiadamy i wprawiamy w ruch na korzyść albo dobra, albo zła. Zanim przemówisz albo uczynisz cokolwiek, musisz znać cenę, jaką trzeba zapłacić!

Zdjęty wstydem, Ged zakrzyknął:

— Jakże mam znać sprawy, skoro mnie niczego nie uczysz? Od

czasu gdy żyję przy tobie, niczego nie zrobiłem, nie zobaczyłem…

— Teraz coś zobaczyłeś — odparł mag. — Przy drzwiach, w ciemności, wtedy gdy wszedłem.

Ged milczał.

Ogion ukląkł, ułożył drwa w kominku i rozniecił ogień, gdyż w domu było zimno. Potem, wciąż klęcząc, rzekł swym spokojnym głosem:

— Ged, mój młody sokole, nikt cię nie zmusza, abyś przebywał ze mną lub mi służył. Nie ty przyszedłeś do mnie, lecz ja do ciebie. Jesteś bardzo młody jak na taki wybór, ale nie mogę go uczynić za ciebie. Jeśli sobie życzysz, wyślę cię na wyspę Roke, gdzie nauczają wszystkich wysokich kunsztów. Nauczysz się każdego kunsztu, jakiego się podejmiesz, gdyż twoja moc jest wielka. Większa nawet, mam nadzieję, niż twoja pycha. Zatrzymałem cię tu przy sobie, posiadam bowiem to, czego tobie brakuje, ale nie będę cię zatrzymywał wbrew twej woli. Wybieraj więc teraz między Re Albi a Roke.

Ged stał bez słowa, serce tłukło mu się w piersi. Zdążył już przecież pokochać Ogiona, tego wyzbytego gniewu człowieka, który uzdrowił go dotknięciem; kochał go i aż do tej pory nie wiedział o tym. Spojrzał na dębową laskę opartą w kącie przy kominku, przypominając sobie jej blask, który wypłoszył z mroku złego ducha, i zatęsknił za tym, aby pozostać z Ogionem, aby iść wraz z nim przez lasy w długiej i dalekiej wędrówce, ucząc się sztuki milczenia. Jednakże odzywały się w nim inne pragnienia, które nie dawały się uciszyć: żądza sławy, chęć czynu. Ogion rysował przed nim długą drogę ku czarodziejskiemu mistrzostwu, powolny marsz bocznymi ścieżkami, podczas gdy on mógł pożeglować z morskim wiatrem wprost na Morze Najgłębsze, na Wyspę Mędrców, gdzie powietrze rozświetlają czary i gdzie Arcymag przechadza się pośród cudów.

— Mistrzu — powiedział — popłynę na Roke.

Tak więc w parę dni później, w słoneczny wiosenny poranek, Ogion schodził wraz z nim spadzistą drogą wiodącą z Overfell do odległego o piętnaście mil Wielkiego Portu Gont. Tam, przy bramie strzeżonej z obu stron przez rzeźbione smoki, strażnicy z miasta Gont na widok maga przyklękli z obnażonymi mieczami w dłoniach i pozdrowili go. Znali Ogiona i oddawali mu cześć na rozkaz księcia oraz z własnej woli, gdyż dziesięć lat wstecz Ogion uratował miasto przed trzęsieniem ziemi, które mogło obalić w gruzy wieże należące do zamożnych mieszkańców i zasypać lawiną kanał pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami. Ogion przemówił wtedy do Góry Gont, uciszając ją, i uśmierzył dygoczące przepaście Overfell, tak jak uspokaja się przerażone zwierzę. Ged słyszał niegdyś opowieści o tym zdarzeniu i wspominał je teraz, widząc z podziwem, jak uzbrojeni strażnicy klękają przed jego łagodnym Mistrzem. Podniósł wzrok

prawie ze strachem na tego człowieka, który powstrzymał trzęsienie ziemi ale twarz Ogiona była łagodna jak zawsze.

Zeszli na nadbrzeże, gdzie Zarządca Porta zjawił się pośpiesznie na przywitanie Ogiona i zapytał, czym może im służyć. Mag wyjaśnił mu, w czym rzecz, zaś Zarządca od razu wymienił mający wyruszyć na Morze Najgłębsze statek, na którego pokładzie Ged mógł wypłynąć jako pasażer.

— Lub też wezmą go jako wywoływacza wiatru — dodał — jeśli posiada tę umiejętność. Nie mają na pokładzie zaklinacza pogody.

— Chłopak ma trochę wprawy, jeżeli chodzi o mgłę, ale nie zna się na wiatrach morskich — odpowiedział mag, kładąc lekko dłoń na ramieniu Geda. — Nie próbuj żadnych sztuczek z morzem i morskimi wiatrami, Krogulcze; jesteś jeszcze szczurem lądowym. Jak nazywa się ten okręt, Zarządco?

— „Cień", płynie z Andradów do miasta Hort z ładunkiem futer i wyrobów z kości słoniowej. To dobry statek, Mistrzu Ogionie.

Twarz, maga pociemniała na dźwięk nazwy statku, ale rzekł:

— Niech tak będzie. Oddaj to pismo Przełożonemu Szkoły na wyspie Roke, Krogulcze. Pomyślnych wiatrów. Żegnaj!

To było ich całe rozstanie. Mag odwrócił się i, krocząc w górę ulicy, odszedł z nadbrzeża. Ged stał samotnie i spoglądał' za odchodzącym Mistrzem.

— Chodź ze mną, chłopcze — odezwał się Zarządca Portu i poprowadził go przez opadające ku morzu nadbrzeże do tnola, przy którym „Cień" przysposabiał się do rejsu.

Mogłoby wydawać się dziwne, że na wyspie szerokości pięćdziesięciu mil, w wiosce u stóp urwisk wiecznie wpatrzonych w morze, dziecko może dorosnąć do wieku męskiego nie stanąwszy nigdy w łodzi i ani razu nie zanurzywszy palca w słonej wodzie — ale tak bywa. Rolnik, pasterz kóz czy bydła, myśliwy albo rzemieślnik — mieszkaniec lądu patrzy na ocean jak na słony, rozkołysany obszar, który nie ma z nim w ogóle nic wspólnego. Wioska oddalana od jego wsi o dwa dni marszu jest obcym krajem, zaś wyspa odległa o dzień żeglugi od jego wyspy to już tylko legenda, mgliste wzgórza widoczne za wodą, nie stały ląd, po którym on sam stąpa.

Tak też i dla Geda, który nigdy dotąd nie zszedł z wyżyn górskich, Port Gont był miejscem groźnym i cudownym — wielkie domy i wieże z ciosanego kamienia, nadbrzeże, na które składały się mola, doki, baseny i miejsca do cumowania, przystań, gdzie pół setki łodzi i galer kołysało się przy brzegu, leżało na nim" do góry dnem do naprawy albo stało zakotwiczone na redzie ze zwiniętymi żaglami i zamkniętymi otworami na wiosła, żeglarze pokrzykujący w dziwnych narzeczach, objuczeni robotnicy portowi spieszący pomiędzy baryłkami, skrzyniami, zwojami lin i ułożonymi w kozły wiosłami,

brodaci kupcy w podbitych futrem szatach, rozmawiający półgłosem i stąpający ostrożnie po śliskich nadbrzeżnych kamieniach, rybacy wyładowujący swój połów, bednarze wyklepujący obręcze i walący młotami szkutnicy, i śpiewający sprzedawcy małżów, i wydzierający się ’szyprowie, a poza tym wszystkim cicha, jaśniejąca zatoka. Mając oczy, uszy i myśli pełne oszołomienia, Ged zmierzał w ślad za Zarządcą Portu do obszernego doku, gdzie przycumowany był „Cień”; Zarządca zaprowadził go do kapitana statku.

Nie mówiąc wiele, kapitan zgodził się zabrać Geda jako pasażera na wyspę Roke, jako że prosił o to sam mag. Zarządca Portu zostawił więc chłopca u niego. Kapitan „Cienia” był mężczyzną dużym i grubym, odzianym w czerwony płaszcz oblamowany futrem z pełławi, taki jakie noszą kupcy z Wysp Andradzkich. Nie spojrzał ani razu na Geda, ale zapytał go władczym głosem:

— Czy potrafisz zaklinać pogodę, chłopcze?

— Potrafię.

— A wywoływać wiatr?

Musiał się przyznać, że nie umie, po czym kapitan przykazał mu, żeby znalazł sobie jakieś miejsce na uboczu i nie ruszał się stamtąd.

Wioślarze wchodzili właśnie na pokład, gdyż statek miał wypłynąć na redę przed zapadnięciem zmierzchu i pożeglować z odpływem, gdy zacznie się świt. Żadnego miejsca na uboczu nie było, ale Ged wspiął się jak umiał na obwiązany linami, przymocowany do pokładu i przykryty skórami ładunek na rufie statku i przylgnąwszy do niego, przyglądał się wszystkiemu, co działo się naokoło. Na pokład wskakiwali wioślarze, silni mężczyźni o potężnych ramionach, podczas gdy robotnicy portowi napełniali dok łoskotem przetaczanych baryłek z wodą, które ustawiali pod ławami wioślarzy. Kształtny statek osiadał nisko, objuczony ciężarem; jednocześnie, gotów do drogi, kołysał się lekko na chlupoczących przybrzeżnych falach. Potem sternik zajął miejsce ha rufie, po prawej stronie stewy, czekając ;na kapitana, który stał na desce wpuszczonej w spojenie stępki z dziobnicą wyrzeźbioną na kształt Starego Węża Andradzkiego. Kapitan potężnym rykiem wydawał rozkazy; „Cień” został odcumowany i wypłynął daleko z doków, holowany z mozołem przez dwie łodzie wiosłowe. Wtedy ryk szypra oznajmił: „Otworzyć luki!” — i wysunęły się ze stukotem wielkie wiosła, po piętnaście z każdej burty. Wioślarze pochylali swoje mocne plecy do taktu, wybijanego na bębnie przez chłopaka, który siedział na górze obok kapitana. Statek sunął teraz lekko jak mewa wiosłująca skrzydłami, a szum i harmider miasta ustały nagłe gdzieś z tyłu. Wpłynęli w ciszę wód zatoki, a ponad nimi wznosił się wysoki wierzchołek Góry, jak gdyby wiszący ponad morzem. ˆW płytkiej zatoczce po zawietrznej stronie południowego Zbrojnego Urwiska zarzucili kotwicę i stali tam przez noc. Z

siedemdziesięciu członków załogi statku niektórzy byli, tak jak Ged, bardzo młodzi, choć wszyscy odbyli już swoje Przejście w wiek męski. Chłopcy ci przywołali Geda, aby podzielić się z nim jadłem i napojem; odnosili się doń przyjaźnie, choć szorstko i z mnóstwem żartów i kpinek. Przezwali go oczywiście Kozim Pastuchem, bo pochodził z Gontu, ale nie pozwalali sobie na więcej. Ged był wysoki i silny jak piętnastolatek oraz równie skory do rewanżowania się dobrym słowem, jak drwiną; przyjął się więc wśród nich i już tej pierwszej nocy zaczął żyć jak każdy z nich, ucząc się ich pracy. Odpowiadało to oficerom statku, na pokładzie nie było bowiem miejsca dla bezczynnych pasażerów.

Miejsca ledwie starczało dla załogi i nie było zupełnie wygód na tej pozbawionej ozdób galerze, zapchanej ludźmi, sprzętem i ładunkiem; lecz cóż znaczyły wygody dla Geda? Leżał tej nocy między obwiązanymi powrozem zwojami skór z północnych wysp, przyglądał się wiosennym gwiazdom ponad wodami portu i żółtym światełkom miasta za rufą; zasnął i obudził się znowu, pełen zachwytu. Przed świtem zaczął się odpływ. Podnieśli kotwicę i wypłynęli, wiosłując lekko pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami. Gdy wschód słońca zarumienił Górę Gont za nimi, podnieśli wielki żagiel i pomknęli po Morzu Gontyjskim w kierunku południowo-zachodnim.

Przepłynęli z lekkim wiatrem pomiędzy wyspami Barnisk i Torheven i na drugi dzień w zasięgu ich wzroku ukazał się Havnor, Wielka Wyspa, serce Archipelagu. Przez trzy dni widzieli na horyzoncie zielone wzgórza Havnoru, posuwając się wzdłuż jego wschodniego wybrzeża, ale nie przybijając do brzegu. Wiele lat miało jeszcze upłynąć, zanim Ged postawił stopę na tym lądzie i zanim ujrzał białe wieże Wielkiego Portu Havnoru, wznoszące się w samym środku świata.

Stanęli na jedną noc w Ujściu Kember, północnym porcie wyspy Way, następnej nocy zarzucili kotwicę koło miasteczka u wejścia do Zatoki Felkway, nazajutrz zaś minęli północny przylądek wyspy O i wpłynęli do Cieśniny Ebavnor. Tam zwinęli żagiel i powiosłowali, mając stale ląd z obu boków, a w zasięgu głosu widząc wciąż inne statki, wielkie i małe, należące do bogatych kupców i drobnych handlarzy, niektóre płynące z Zewnętrznych Rubieży z egzotycznym ładunkiem po trwającym całe lata rejsie, i inne, które przeskakiwały jak wróble z wyspy na wyspę Morza Najgłębszego. Wypływając z zatłoczonej cieśniny i skręcając na południe, zostawili za rufą Havnor i pożeglowali pomiędzy dwiema pięknymi wyspami, Ark i Hien, upstrzonymi wieżami i tarasami miast, a potem zaczęli, poprzez deszcz i coraz silniejszy wiatr, przebijać się Morzem Najgłębszym w stronę wyspy Roke.

W nocy, gdy wiatr pochłodniał i nastał sztorm, spuścili zarówno

żagiel, jak i maszt i nazajutrz przez cały dzień wiosłowali. Długi statek leżał pewnie na falach i dzielnie sunął przed siebie, ale sternik przy długim wiośle sterowym na rufie wpatrywał się w deszcz siekący morze i nie widział nic prócz deszczu. Płynęli na południowy zachód za wskazówką kompasu, wiedząc, w jakim kierunku płyną, ale nie wiedząc, przez jakie wody. Ged słyszał, jak ludzie mówią o mieliznach na północ od Roke i Skałach Boryiskich na wschodzie; inni utrzymywali, że statek mógł prze? ten czas znacznie zboczyć z kursu i zbłądzić na puste wody na południe od wyspy Kamery. Wiatr wciąż się nasilał, rozrywając grzbiety wielkich fal w lotne strzępy piany, a oni niezmiennie wiosłowali z wiatrem na południowy zachód. Czas pracy jednej zmiany przy wiosłach został skrócony, bo robota była bardzo ciężka; młodszych chłopaków posadzono po dwu przy jednym wiośle i Ged wykonywał swoją część pracy wraz z innymi, tak jak to czynił, odkąd opuścili Gont. Kiedy nie pracowali przy wiosłach, wylewali czerpakami wodę, bowiem bałwany załamywały się całym ciężarem na statku. Tak posuwali się z trudem pośród fal, które wiatr pędził jak dymiące góry, podczas gdy ostry, zimny deszcz siekł plecy wioślarzy, a łoskot bębna niósł się przez szum sztormu jak bicie serca.

Jeden z mężczyzn podszedł, aby zmienić Geda ’przy wiośle, i posłał go do kapitana na dziób Woda deszczowa ściekała z oblamowania płaszcza kapitana, ale on minio to stał, przysadzisty jak beczka wina, na swoim kawałku pokładu; spoglądając z góry na Geda, spytał:

— Czy potrafisz uśmierzyć ten wiatr, chłopcze?

— Nie, panie.

— Czy znasz się na sztukach z żelazem?

Chciał w ten sposób spytać, czy Ged mógłby zmusić igłę kompasu, aby wskazywała im drogę ku Roke, czyniąc tak, że magnes kierowałby się nie ku północy, ale wedle ich potrzeby. Ta umiejętność jest tajemnicą Mistrzów Morskich, więc Ged znów musiał odpowiedzieć przecząco.

— W takim razie — ryknął kapitan przez wiatr i deszcz — musisz znaleźć jakiś statek, który cię zabierze na Roke z miasta Hort. Roke jest teraz pewnie na zachód od nas i tylko czary mogłyby nas tam zaprowadzić poprzez to morze. Musimy trzymać kurs na południe.

Gedowi nie spodobało się to, słyszał już bowiem opowieści żeglarzy o mieście Hort jako o miejscu pełnym bezprawia i zła; chwytano tam często ludzi i sprzedawano jako niewolników na Południowe Rubieże. Powróciwszy do pracy przy wiośle, ciągnął je z całych sił wraz ze swym towarzyszem, krzepkim chłopakiem z Andradów, słyszał wybijający rytm bęben i widział zawieszoną na rufie latarnię, jak huśtała się i mrugała, gdy wiatr szarpał ją na wszystkie strony, udręczoną plamkę światła w chłostanym przez

deszcz zmierzchu. Spoglądał wciąż na zachód, tak często, jak mu na to pozwalał ciężki rytm ciągnięcia wiosła. I gdy statek podniósł się na wzbierającej wysoko fali, Ged ujrzał przez chwilę nad ciemną, dymiącą wodą światło między chmurami, jak gdyby ostatni błysk zachodzącego słońca; ale było to jasne światło, nie czerwone.

Jego sąsiad przy wiośle tego nie dostrzegł, ale Ged zawołał na cały głos, że widzi światło. Sternik wypatrywał go teraz przy każdym spiętrzeniu się wielkich fal i dostrzegł światło, w chwili gdy Ged ujrzał je znowu, ale odkrzyknął, że to tylko zachodzące słońce. Wtedy Ged zawołał jednego z chłopaków, który czerpał i wylewał wodę, aby zajął na chwilę jego miejsce na ławie, a sam znów pobrnął naprzód zatarasowanym przejściem między ławami i, chwytając za rzeźbiony dziób, aby nie zostać zmytym za burtę, wykrzyknął do szypra:

— Kapitanie! To światło na zachodzie to wyspa Roke!

— Nie widziałem żadnego światła — ryknął szyper, ale właśnie gdy to mówił, Ged wyrzucił przed siebie ramię wskazującym ruchem i wszyscy ujrzeli światło migoczące jasno na zachodzie ponad falującym pędem i tumultem morza.

Nie przez wzgląd na swego pasażera, ale aby uratować statek przed niebezpieczeństwem sztormu, kapitan wykrzyknął natychmiast do sternika, aby brał kurs, na zachód, w stronę światła. Rzekł jednak do Geda:

— Chłopcze, gadasz niczym Mistrz Morski, ale powiadam ci, jeśli wskazujesz nam w tej niepogodzie złą drogę, wyrzucę cię za burtę, abyś sam płynął na Roke!

Zamiast uciekać przed sztormem, musieli teraz wiosłować w poprzek kierunku wiatru; było to trudne: fale, bijąc w trawersujący statek, spychały go wciąż na południe z nowo obranego kursu, rzucały statkiem i napełniały go wodą, toteż czerpać trzeba było bez ustanku, a wioślarze musieli uważać, żeby przy bocznym kołysaniu statku pociągnięcia wiosłami nie wynurzały ich z wody i w ten sposób nie rzucały ich między ławy. Pod burzowymi chmurami było prawie ciemno, ale od czasu do czasu dostrzegali na zachodzie światło, dość wyraźne, aby brać na nie kurs, i tak borykali się dalej. Nareszcie wiatr osłabł trochę i światło przed nimi rozrosło się wszerz. Wiosłowali wciąż, gdy, jakby przechodząc przez zasłonę, pomiędzy jednym a drugim pociągnięciem wioseł, przepłynęli ze strefy sztormu w czyste powietrze, gdzie poświata po zachodzie słońca jarzyła się na niebie i morzu. Ponad zwieńczonymi pianą falami ujrzeli w niezbyt wielkiej odległości wysokie, okrągłe i zielone wzgórze, a pod nim miasto, rozłożone na brzegu zatoczki, w której stały na kotwicy łodzie, wszystkie nieporuszone.

Sternik, wsparty o swoje długie wiosło, pokręcił głową i zawołał:

— Kapitanie! Czy to prawdziwy ląd, czy sztuczka czarownika?

— Trzymaj kurs, tępa pało! Wiosłować, wy mięczaki, synowie niewolników! To Zatoka Thwil i Pagórek Roke, każdy dureń by je poznał! Wiosłować!

I tak przy biciu bębna powiosłowali, znużeni, w głąb zatoki. Było tam tak cicho, że mogli słyszeć głosy ludzi w mieście i dźwięk dzwonu, a tylko gdzieś hen, daleko, świst i huk sztormu. Ciemne chmury wisiały na północy! na wschodzie, na południu, wokół całej wyspy, oddalone o milę od jej brzegów. Ale nad Roke jedna po drugiej wschodziły gwiazdy na jasnym i spokojnym niebie.

3. SZKOŁA CZARNOKSIĘŻNIKÓW

Ged spał tej nocy na pokładzie „Cienia"; wczesnym rankiem rozstał się ze swymi pierwszymi w życiu towarzyszami żeglugi, a oni życzyli mu powodzenia, wołając wesoło w ślad za nim, gdy szedł w górę portu. Miasteczko Thwil nie jest duże, jego wysokie domy tłoczą się ponad kilkoma spadzistymi, wąskimi uliczkami. Gedowi jednak wydawało się ono wielkim miastem; nie wiedząc, dokąd pójść, zapytał pierwszego napotkanego mieszkańca Thwil, gdzie można znaleźć Przełożonego Szkoły na wyspie Rnke. Człowiek popatrzył nań przez chwilę z ukosa i odparł. „Mądrzy nie muszą pytać, głupiec pyta na próżno" — po czyni ruszył dalej ulicą Ged poszedł pod górę, aż wreszcie znalazł się na placu obramowanym z trzech stron przez domy o spadzistych łupkowych dachach, a z czwartej przez ścianę wielkiego budynku, którego nieliczne i małe okna znajdowały się wyżej niż szczyty kominów na domach: robiło to wrażenie fortecy lub zamku zbudowanego z potężnych szarych bloków kamiennych. Na placu u stóp budynku rozstawione były targowe stragany, wokół których kręciło się trochę ludzi. Ged zadał swoje pytanie starej kobiecie z koszem pełnym małżów, a ona odparła: „Nie zawsze można znaleźć Przełożonego tam, gdzie jest, ale czasem znajduje się go tam, gdzie go nie ma" — i dalej zachwalała krzykiem swoje małże W wielkim budynku, tuż przy jednym z węgłów, widniały skromne drewniane drzwiczki. Ged podszedł do nich i głośno zastukał. Starcowi, który otworzył drzwi, powiedział:

— Mam list od maga Ogiona z Gontu do Przełożonego Szkoły na tej wyspie. Chcę znaleźć Przełożonego, ale nie mam już zamiaru słuchać zagadek i kpin!

— To właśnie jest Szkoła — odparł starzec łagodnie. — Jestem odźwiernym. Wejdź, jeśli potrafisz.

Ged zrobił krok naprzód. Wydawało mu się, że przeszedł przez próg; jednakże stał wciąż na chodniku na dworze, tam gdzie przedtem.

Raz jeszcze uczynił krok naprzód i raz jeszcze pozostał przed drzwiami. Odźwierny, stojąc wewnątrz, przyglądał mu się łagodnymi oczyma.

Ged był nie tyle zmieszany, co wściekły, bo wyglądało to na dalsze naigrawanie się z niego. Głosem i gestem uczynił zaklęcie Otwierania, którego kiedyś, dawno temu, nauczyła go ciotka; z całego jej zasobu uroków ten był najcenniejszy i Ged wykonał go teraz jak należy. Lecz była to sztuczka wiejskiej czarownicy i moc, która ogarniała to wejście, pozostała nieporuszona.

Kiedy zaklęcie zawiodło, Ged stał długą chwilę na chodniku.

Wreszcie spojrzał na starca, który czekał w środku.

— Nie mogę wejść — powiedział niechętnie — chyba że mi pomożesz.

Odźwierny odpowiedział:

— Wymów swoje imię.

Ged znów stał przez chwilę bez ruchu; albowiem mężczyzna nigdy nie wymawia głośno swego imienia, dopóki nie wchodzi w grę coś więcej niż zagrożenie jego życia.

— Jestem Ged — powiedział głośno. Potem, robiąc krok naprzód, wszedł w otwarte drzwi. Zdawało mu się tylko, że choć światło miał za sobą, cień podążając za nim, kładł się z tyłu.

Zobaczył też, gdy się obejrzał, że odrzwia, przez które wszedł, nie były ze zwykłego drewna, jak przedtem myślał, ale z kości słoniowej pozbawionej spoin czy styków; wyrzezano je, jak się później dowiedział, z zęba Wielkiego Smoka. Drzwi, które starzec za nim zamknął, były z polerowanego rogu, przez który mętnie przeświecało światło dzienne, a na ich wewnętrznej płaszczyźnie wyrzeźbione było Tysiąclistne Drzewo.

— Witaj w tym domu, chłopcze. — rzekł odźwierny i, nią mówiąc nic więcej, poprowadził go przez przedsionki i korytarze na otwarty dziedziniec daleko w głębi budynku. Dziedziniec był po części wyłożony kamieniem, lecz nie miał dachu; na trawniku pod młodymi drzewkami szemrała w słońcu fontanna. Tutaj Ged czekał samotnie przez jakiś czas. Stał bez ruchu i serce biło mu mocno, zdawało mu się bowiem, że czuje działające niewidocznie wokół niego istoty i moce, i wiedział, że dom ten zbudowano nie tylko z kamienia, ale i z magii mocniejszej niż kamień. Stał w najskrytszym pomieszczeniu Domu Mędrców i pomieszczenie to otwierało się ku niebu. Wtedy nagle zdał sobie sprawę, że jakiś ubrany na biało człowiek obserwuje go przez spadającą wodę fontanny.

Gdy ich oczy się spotkały, jakiś ptak zaśpiewał głośne w gałęziach drzewa. W tym momencie Ged zrozumiał śpiew ptaka, język wody spadającej do zbiornika fontanny, kształt chmury, początek i koniec wiatru poruszającego liśćmi: wydało mu się, że on sam jest słowem wypowiedzianym przez blask słońca.

Potem ów moment minął; i Ged, i świat byli tacy sami jak przedtem albo prawie tacy sami. Postąpił naprzód, aby uklęknąć przed Arcymagiem i wręczyć mu list napisany przez Ogiona.

Arcymag Nemmerle, Przełożony z Roke, był stary, starszy — powiadano — niż jakikolwiek żyjący wtedy człowiek. Jego głos drżał jak głos ptaka, gdy odezwał się, witając życzliwie Geda. Włosy, broda i szata Arcymaga były białe; sprawiał wrażenie, jak gdyby powolne działanie lat wypłukało zeń całą ciemność i ciężar, tak iż stał się biały i lekki jak unoszone przez morze drewno, które sto lat kołysało się na

falach.

— Mam stare oczy, nie mogę przeczytać, co pisze twój Mistrz — powiedział drżącym głosem. — Przeczytaj mi ten list, chłopcze.

Ged odcyfrował więc i przeczytał na głos pismo, które złożone było z runów hardyckich i oznajmiało tylko tyle: „Nemmerle, Panie mój! Posyłam ci kogoś, kto będzie największym z czarowników gontyjskich, jeśli świst wiatru mówi prawdę". List był podpisany przez Ogiona, ale nie jego prawdziwym imieniem, którego Ged nigdy dotąd nie poznał, lecz runem Ogiona, Zamkniętymi Ustami.

— Przysłał cię tutaj ten, kto utrzymuje w ryzach trzęsienia ziemi, bądź przeto podwójnie pozdrowiony. Młody Ogion był bliski memu sercu, gdy przybył tu z wyspy Gont. Opowiedz mi teraz o morzach i o dziwach twej podróży, chłopcze.

— Nie najgorsza podróż, panie, jeśli nie liczyć wczorajszego sztormu.

— Jaki statek przywiózł cię tutaj?

— „Cień", wiozący towary z Andradów.

— Czyja wola cię tu przysłała?

— Moja własna.

Arcymag spojrzał na Geda i odwrócił wzrok; zaczął mówić językiem niezrozumiałym dla Geda, mamrocząc tak, jak czyni to bardzo stary człowiek, którego rozum błąka się pośród lat i wysp. Mimo to w jego mamrotaniu dawały się rozróżnić słowa mówiące o tym samym, o czym śpiewał ptak i o czym mówiła spadająca woda. Arcymag nie wypowiadał żadnego zaklęcia, a jednak była w jego głosie moc, która tak bardzo poruszyła duszę Geda, że chłopiec czuł się oszołomiony i przez moment zdawało mu się, iż widzi siebie stojącego w dziwnym rozległym pustkowiu; samego pośród cieni. A jednak przez cały czas znajdował się na rozsłonecznionym dziedzińcu i słyszał plusk fontanny.

Wielki czarny ptak, kruk z Osskil, podszedł do nich, drepcząc po kamiennym tarasie i po trawie. Zbliżył się do rąbka szaty Arcymaga i stał tam, cały czarny, z dziobem jak sztylet i agatowymi oczyma wpatrzonymi z ukosa w Geda. Dziobnął trzy razy w białą laskę, którą podpierał się Nemmerle, i stary czarnoksiężnik przerwał swoje mamrotanie i uśmiechnął się.

— Pobiegaj sobie i pobaw się, chłopcze — powiedział wreszcie jak do małego dziecka.

Ged przykląkł znów przed nim na jedno kolano. Gdy się podniósł, Arcymag już znikł. Tylko kruk stał nadal, przyglądając się Gedowi, z dziobem wyciągniętym, jakby chciał dziobnąć laskę, która znikła.

Wtem kruk przemówił; odezwał się mową, która wedle przypuszczeń Geda mogła być językiem Osskil.

— Terrenon ussbuk! — wykrakał. — Terrenon ussbuk orrek! — I

odmaszerował wyniośle, tak jak przybył.

Ged odwrócił się, aby opuścić dziedziniec; zastanawiał się, dokąd powinien pójść. Pod arkadą natknął się na wysokiego młodzieńca, który pozdrowił go bardzo grzecznie chyląc głowę:

— Jestem Jasper, syn Enwita z Księstwa Eolg na wyspie Havnor. Jestem dziś na twe usługi; mam ci pokazać cały Wielki Dom i odpowiedzieć, na ile potrafię, na twe pytania. Jak mam cię zwać, mój panie?

Gedowi, wieśniakowi z gór, który nigdy przedtem nie przebywał wśród synów bogatych kupców i panów wielkiego rodu, wydawało się, że ten chłopak kpi z niego swoimi „usługami", swoim „mój panie", swoimi ukłonami i szuraniem nogami. Odparł krótko:

— Nazywają mnie Krogulcem.

Tamten odczekał chwilę, jak gdyby spodziewając się jakiejś układniejszej odpowiedzi; nie otrzymawszy żadnej, wyprostował się trochę i odchylił. Był dwa lub trzy lata starszy od Geda, bardzo wysoki; nosił się i poruszał ze sztywną gracją, przybierając (jak sądził Ged) pozy tancerza. Miał na sobie szary płaszcz z odrzuconym w tył kołnierzem. Pierwszym pomieszczeniem, do którego zaprowadził Geda, była garderoba, gdzie jako uczeń Szkoły, Ged mógł znaleźć dla siebie podobny płaszcz na swoją miarę, a także wszelką inną odzież, jakiej by potrzebował. Wdział wybrany przez siebie ciemnoszary płaszcz, a Jasper powiedział:

— Teraz jesteś jednym z nas.

Jasper miał zwyczaj przy mówieniu ledwie widocznie się uśmiechać, w sposób, który sprawiał, że Ged doszukiwał się w jego uprzejmych słowach ukrytej drwiny.

— Czy to szaty czynią z nas magów? — odparł ponuro.

— Nie — odpowiedział starszy chłopak. — Choć słyszałem, że dobre wychowanie czyni z nas ludzi. Dokąd teraz?

— Dokąd zechcesz. Nie 'znam tego domu.

Jasper powiódł go korytarzami Wielkiego Domu, pokazując mu otwarte podwórce i kryte dachem sale, Komnatą Półek, gdzie przechowywano księgi wiedzy i tomy runów, wielką Salę Kominkową, w której cała Szkoła gromadziła się w dni świąteczne, i wreszcie na górze, w wieżach i na poddaszach, małe cele, gdzie spali uczniowie i mistrzowie. Cela Geda znajdowała się w Wieży Południowej; miała okno wyglądające w dół, na spadające ku morzu strome dachy miasteczka Thwil. Podobnie jak inne sypialnie, cela była pozbawiona mebli, jeśli nie liczyć siennika w kącie.

— Żyjemy tu bardzo skromnie — powiedział Jasper. — Ale spodziewam się, że nie będzie ci to przeszkadzać.

— Jestem do tego przyzwyczajony. — l zaraz, próbując dorównać temu uprzejmemu i wyniosłemu młodzieńcowi, Ged dodał: — Tyś

chyba nie był przyzwyczajony, kiedy zjawiłeś się tu po raz pierwszy.

Jasper spojrzał na niego, a jego spojrzenie mówiło baz słów: „Cóż ty w ogóle możesz wiedzieć o tym, do czego ja, syn Władcy Księstwa Eolg na wyspie Havnor, jestem czy też nie jestem przyzwyczajony?" To co Jasper rzekł na głos, brzmiało po prostu:

— Chodź dalej tędy.

Gdy byli na piętrze, zabrzmiał gong, zeszli więc na dół, aby spożyć południowy posiłek przy Długim Stole w refektarzu, wraz z setką lub. więcej chłopców i młodzieńców. Każdy obsługiwał się sam, żartując z kucharzami przez wychodzące na refektarz okienka kuchni, ładując na swój talerz jedzenie z wielkich mis parujących na parapetach, siadając, gdzie się komu podobało, przy Długim Stole.

— Mówi się — powiedział Gedowi Jasper — że choćby nie wiem ilu siadło przy tym stole, pozostaje zawsze dosyć miejsca.

Z pewnością było tu dość miejsca zarówno dla licznych hałaśliwych, gadających i jedzących obficie grup chłopców, jak i dla starszych, ubranych w srebrne płaszcze spięte srebrną klamrą pod szyją, którzy siedzieli spokojnie, parami lub pojedynczo, z poważnymi, zadumanymi twarzami, jak gdyby mieli wiele do przemyślenia. Jasper i Ged usiedli wraz z krępym chłopakiem imieniem Vetch, który po przedstawieniu się nie powiedział nic więcej, a tylko z zapałem pakował sobie jedzenie do ust. Miał akcent ze Wschodnich Rubieży i był ciemnoskóry, nie czerwonobrązowy, jak Ged i Jasper oraz większość mieszkańców Archipelagu, lecz ciemnobrązowy. Był to prosty chłopak i jego obyczajom brakowało oglądy. Posarkał trochę na obiad, kiedy skończył jeść, ale potem zwracając się do Geda rzekł:

— Przynajmniej nie jest to złudzenie jak tyle rzeczy tutaj naokoło: trzyma się to żeber.

Ged nie wiedział, co Vetch miał na myśli, ale poczuł do niego niejaką sympatię i rad był, kiedy po posiłku Vetch został z nimi.

Zeszli do miasta, aby Ged mógł się w nim zorientować. Uliczki Thwil były wprawdzie nieliczne i krótkie, ale kręciły się i wiły dziwacznie pomiędzy domami o wysokich dachach, toteż łatwo było zgubić drogę. Było to dziwne miasto i dziwni byli też jego mieszkańcy, rybacy, robotnicy i rzemieślnicy niczym się nie wyróżniający, ale tak przyzwyczajeni do czarów, które są na porządku dziennym na Wyspie Mędrców, że sami zdawali się na wpół czarownikami. Rozmawiali (jak się już Ged wcześniej przekonał) zagadkami i żaden z nich nie mrugnąłby okiem, gdyby ujrzał chłopca przemieniającego się w rybę albo dom wzlatujący w powietrze, ale wiedząc, że to tylko figiel uczniaka, dalej łatałby buty albo siekał baraninę nieporuszony.

Mijając Tylne Drzwi i idąc przez ogrody dookoła Wielkiego Domu, trzej chłopcy przeszli następnie po drewnianym moście ponad czystym nurtem Thwilburn i maszerowali dalej na północ pomiędzy

łaskami i pastwiskami. Ścieżka wiła się i pięła w górę. Mijali dąbrowy, w których mimo całej jasności słońca leżały gęste cienie. Był jeden zagajnik, niezbyt daleko po lewej stronie, którego Ged ani razu nie mógł ujrzeć całkiem wyraźnie. Ścieżka nigdy do tego gaju nie dochodziła, choć wciąż zdawało się, że zaraz doń zaprowadzi. Ged nie potrafił nawet rozpoznać gatunku drzew. Yetch widząc, jak Ged się wpatruje, powiedział łagodnie:

— To Wewnętrzny Gaj. Nie możemy do siego wejść… na razie…

Na gorących, skąpanych w słońcu pastwiskach kwitły żółte kwiaty.

— Iskiernik — powiedział Jasper. — Rośnie tam, gdzie wiatr rzucił popioły płonącego Hien, gdy Erreth-Akbe obronił Skryte Wyspy przed Ognistym Władcą. — Dmuchnął w wyschniętą koronę kwiatu i oderwane nasiona wzbiły się z wiatrem, szybując w słońcu jak ogniste iskry.

Ścieżka powiodła ich w górę, okrążając podnóże wielkiego zielonego wzgórza, krągłego i pozbawionego drzew, wzgórza, które Ged widział ze statku, gdy wpływali na zaklęte wody wyspy Roke. Na zboczu Jasper przystanął.

— W domu na Havnor słyszałem wiele o gontyjskiej sztuce czarnoksięskiej i zawsze ją chwalono, toteż czekałem długi czas, aby zobaczyć, na czym polega. Teraz mamy tu Gon ty jeżyka i stoimy na stokach Pagórka Rfeke, którego korzenie zagłębiają się aż do środka ziemi. Wszystkie czary mają tu szczególną moc. Uczyń dla nas jakąś sztuczkę, Krogulcze. Pokaż nam swój styl.

Ged, zmieszany i zaskoczony, milczał.

— Później Jasper — rzekł prosto Veteh. — Daj mu na razie spokój.

— Posiada albo umiejętności, albo moc, inaczej odźwierny nie wpuściłby go. Czemu nie miałby nam tego pokazać, równie dobrze teraz jak później? Prawda, Krogulcze?

— Posiadam i umiejętność, i moc — powiedział Ged. — Pokaż mi, o jakich rzeczach mówisz.

— O złudzeniach oczywiście — o sztuczkach, grze pozorów. Na przykład o tym!

Wskazując palcem, Jasper wymówił parę dziwnych słów i tam gdzie wskazywał, na zboczu wzgórza, pociekła pomiędzy zielonymi trawami niteczka wody; po chwili urosła i już tryskało źródło, a woda zaczęła spływać ze wzgórza wartkim strumieniem. Ged zanurzył rękę w nurt i poczuł wilgoć, napił się wody i poczuł jej chłód. Mimo to jednak woda nie gasiła pragnienia: była tylko złudzeniem. Jasper za pomocą innego słowa zatrzymał wodę i w słońcu zafalowała sucha trawa.

— Teraz ty, Yetch — powiedział ze swoim chłodnym uśmiechem.

Yetch podrapał się w głowę i spojrzał posępnie, ale wziął w dłoń grudkę ziemi i zaczął śpiewać nad nią niemelodyjnie, urabiając ją swymi ciemnymi palcami, kształtując ją, ugniatając, wygładzając; i nagle grudka stała się małym stworzeniem, jakby trzmielem czy włochatą muchą, która uleciała z bzykiem nad Pagórek Roke i znikła.

Ged stał zapatrzony i zbity z tropu. Cóż on znał oprócz pospolitych wiejskich guseł, zaklęć przywołujących kozy, leczących brodawki, przesuwających ciężary albo naprawiających garnki?

— Ja nie robię żadnych sztuczek w tym rodzaju — rzekł. Była to wystarczająca odpowiedź dla Yetcha, który chciał już przystąpić do dalszej zabawy, ale Jasper zapytał:

— Dlaczego nie?

— Czary to nie zabawa. My, Gontyjczycy, nie czynimy ich dla przyjemności ani dla pochwały — odparł Ged hardo.

— Po co zatem je czynicie? — dopytywał się Jasper. — Dla pieniędzy?

— Nie!… — Ale nie umiał wymyślić jakiejś innej odpowiedzi, która ukryłaby jego niewiedzę i ocaliła dumę. Jasper zaśmiał się, nie tracąc humoru, i ruszył dalej, prowadząc ich wokół Pagórka Roke. I Ged poszedł za nim, markotny i z urazą w sercu, wiedząc, że zachował się jak głupiec, i winiąc za to Jaspera.

Tej nocy, gdy leżał owinięty w płaszcz na sienniku w swojej zimnej, nie oświetlonej kamiennej celi, w zupełnej ciszy Wielkiego Domu na Roke, osobliwość tego miejsca i myśl o wszystkich zaklęciach i czarach, które tu czyniono, poczęła stopniowo opanowywać go i nękać. Otaczała go ciemność, wypełniał go lęk. Pragnął być gdziekolwiek, byle nie na Roke. Ale do drzwi celi podszedł Vetch z małą niebieskawą kulą błędnego ognika, która unosiła się nad jego głową i oświetlała mu drogę, i spytał, czy może wejść i chwilę porozmawiać. Wypytywał Geda o wyspę Gont, a potem mówił z czułością o swoich rodzinnych wyspach na Wschodnich Rubieżach, opowiadając, jak dym z wiejskich palenisk snuje się wieczorem ponad spokojnym morzem, pomiędzy wysepkami o zabawnych nazwach: Korp, Kopp i Holp, Yenway i Yemish, Iffish, Koppish i Sneg. Kiedy szkicował palcem zarysy tych lądów na kamieniach posadzki, aby pokazać Gedowi ich położenie, linie, które rysował, świeciły blado przez chwilę, jakby na-Kreślone srebrnym pręcikiem, po czym gasły. Vetch przebywał w szkole trzy lata i wkrótce miał być pasowany na czarownika: wykonywaniu pomniejszych sztuk magicznych poświęcał niewiele więcej uwagi, niż ptak poświęca lataniu. Posiadł przy tym jeszcze większą, nie wyuczoną umiejętność: była nią sztuka dobroci. Tej nocy, odtąd już na zawsze, ofiarował Gedowi swoją przyjaźń, niezawodną i szczerą przyjaźń, której Ged nie mógł się oprzeć i którą musiał odwzajemnić.

A jednak Yetch był tak samo przyjazny wobec Jaspera, który ośmieszył Geda owego pierwszego dnia na Pagórku Roke. Ged nie zapomniał o tym, podobnie chyba jak Jasper, który zawsze zwracał się do niego uprzejmym tonem i z drwiącym uśmiechem. Ambicja Geda nie cierpiała lekceważenia i nie zadowalała się byle czym. Poprzysiągł, że udowodni Jasperowi i całej reszcie chłopaków, pomiędzy którymi Jasper był kimś w rodzaju przywódcy, jak wielka jest naprawdę jego moc — któregoś dnia. Albowiem żaden z nich, mimo wszystkich ich sprytnych sztuczek, nie ocalił wsi za pomocą czarów. O żadnym z nich nie napisał Ogion, że będzie największym czarownikiem gontyjskim.

Tak podsycając swoją dumę, skoncentrował całą siłę woli na pracy, którą mu wyznaczono, na lekcjach, na kunsztach, opowieściach i umiejętnościach, których nauczali przyodziani w szare płaszcze mistrzowie z Roke, zwani Dziewięcioma Mistrzami.

Przez część każdego dnia uczył się u Mistrza Pieśni, gdzie poznawał Czyny Bohaterów i Pieśni Mądrości, poczynając od najstarszej ze wszystkich pieśni, Stworzenia Ea. Potem wraz z tuzinem innych chłopaków ćwiczył u Mistrza Wiatrów sztuki związane z wiatrem i pogodą. Wiosną i wczesnym latem spędzali całe dnie w Zatoce Roke na pokładzie lekkich jednomasztowców, ćwicząc sterowanie za pomocą słowa, uśmierzanie fal, zaklinanie wiatru naturalnego i wywoływanie magicznego. Są to umiejętności bardzo zawiłe; Ged nieraz obrywał po głowie rozhuśtaną, reją, gdy łódź, w której się znajdował, stawała dęba w wietrze nagle dmuchającym wstecz lub gdy zderzała się z inną łodzią, choć miała na żeglowanie całą zatokę, albo też gdy wszyscy trzej Chłopcy w jego żaglówce znajdowali się nieoczekiwanie po szyję w wodzie, ponieważ na łódź spadała ogromna, niechcący wywołana fala. Były też inne dni, spokojniejsze wyprawy na lądzie, z Mistrzem Ziół, który opowiadał im o właściwościach wszystkiego, co rośnie; a Mistrz Sztuk nauczał sztuczek magicznych, kuglarstwa i pomniejszych sztuk Przemieniania.

We wszystkich tych dziedzinach nauki Ged okazywał swoją pojętność; po miesiącu prześcigał już chłopaków, którzy przebywali w szkole o rok dłużej. Szczególnie sztuczki iluzyjne przychodziły mu tak łatwo, że zdawało się, iż urodził się już z ich znajomością i teraz musiał je sobie tylko przypomnieć. Mistrz Sztuk był łagodnym i niefrasobliwym starcem, znajdującym nieskończoną uciechę w dowcipie i pięknie kunsztów, których uczył; Ged wkrótce nie czuł już przed nim lęku, ale zapytywał go o to czy tamto zaklęcie, a. Mistrz zawsze uśmiechał się i pokazywał, czego sobie Ged życzył. Pewnego dnia jednak, myśląc stale o tym, aby wreszcie zawstydzić Jaspera, Ged zwrócił się do Mistrza, gdy przebywali na Podwórcu Pozorów:

— Panie, wszystkie te czary są prawie takie same; znając jeden, zna się wszystkie. I gdy tylko działanie uroku ustaje, złudzenie znika.

Jeśli zaś teraz zrobię z kamyka diament — i zrobił to przy pomocy zaklęcia i szybkiego ruchu nadgarstka — co mam uczynić, aby zmusić ten diament do pozostania diamentem? W jaki sposób można unieruchomić czar Przemiany i doprowadzić go do końca?

Mistrz Sztuk spojrzał na klejnot błyszczący na dłoni Geda, jasny jak zdobycz wyniesiona ze smoczego skarbca. Stary Mistrz mruknął jedno słowo: Tolk — i na dłoni leżał znów kamyk, nie drogi kamień, ale chropawy, szary okruch skały. Mistrz wziął go i położył na swojej dłoni.

— To jest skała; tolk w Prawdziwej Mowie — powiedział, podnosząc na Geda łagodne oczy. — Okruch kamienia, z którego składa się wyspa Roke, maleńki odłamek suchego lądu, na którym żyją ludzie. Jest samym sobą. Jest częścią świata. Dzięki Złudnej Przemianie możesz sprawić, aby wyglądał jak diament — albo kwiat, albo mucha, albo oko, albo płomień… — Kamień błyskawicznie zmieniał postacie, gdy Mistrz je wymieniał, aż wreszcie powrócił do postaci kamienia. — Ale to tylko pozory. Złudzenie mami zmysły patrzącego;, każe mu widzieć, słyszeć i czuć, że rzecz się zmieniła… Nie zmienia jednak samej rzeczy. Aby zmienić tę skałę w diament, musisz zmienić jej prawdziwe imię. A uczynić to, mój synu, nawet wobec tak małego ułamka świata, oznacza zmienić świat. To da się zrobić. Tak jest, to się da zrobić. Jest to sztuka Mistrza.

Przemian i nauczysz się jej, gdy będziesz gotów do jej poznania. Ale nie wolno ci zmieniać ani jednej rzeczy, ani jednego kamyka, ani jednego ziarnka piasku, dopóki nie będziesz wiedział, jakie dobro i zło wywoła ten czyn. Świat jest w Równowadze. Czarodziejska moc Przemieniania i Przywoływania może zakłócić równowagę świata. Niebezpieczna to moc. Najbardziej ryzykowna. Musi być poprzedzona wiedzą i służyć potrzebie. Zapalić świecę znaczy rzucić cień… — Spojrzał znów na kamyk. — A poza tym skała jest niezłą rzeczą, wiesz? — rzekł mniej uroczystym tonem. — Gdyby wyspy Światomorza były całe z diamentu, wiedlibyśmy na nich ciężki żywot. Ciesz się złudzeniami, chłopcze, i pozwól, aby skały były skałami. — Uśmiechnął się, lecz Ged odszedł niezadowolony. Gdy próbuje się wydobyć z maga jego tajemnice, on mówi zawsze, tak jak Ogion, o Równowadze, o niebezpieczeństwie, o mroku. Ale czarnoksiężnik, taki który wyszedł już poza te dziecinne sztuczki ze złudzeniami i posiadł prawdziwy kunszt Przywoływania i Przemieniania, jest z pewnością dość potężny, aby czynić, co mu się podoba, nadawać światu równowagę, jaka jemu zdaje się najlepsza, i przeganiać ciemność swoim własnym światłem.

Na korytarzu spotkał Jaspera; odkąd talenty Geda zaczęto chwalić w całej Szkole, Jasper zwracał się doń w sposób, który zdawał się przyjazny, ale w istocie był kpiący.

— Wyglądasz na przygnębionego, Krogulcze — powiedział tym razem. — Czyżby nie udawały ci się twoje kuglarskie czary?

Próbując jak zawsze dorównać Jasperowi, Ged odpowiedział na pytanie, ignorując jego ironiczny ton.

— Mam już dość kuglarstwa — rzekł — dość tych sztuczek ze złudzeniami, zdatnych jedynie do zabawiania gnuśnych władców w ich zamkach i księstwach. Jedyna prawdziwa magia, jakiej mnie dotąd nauczono na Roke, to wytwarzanie błędnych ogników i trochę, zaklinania pogody. Reszta to zwykłe głupstwa.

— Nawet głupstwo jest niebezpieczne — zauważył Jasper — w rękach głupca.

Na te słowa Ged szarpnął się, jakby go spoliczkowano, i zrobił krok w kierunku Jaspera, ale starszy chłopak uśmiechnął się, jak gdyby nie zamierzał był nikogo obrazić, skinął głową na swój sztywny, pełen gracji sposób i ruszył dalej.

Stojąc z wściekłością w sercu i spoglądając w ślad za Jasperem, Ged przysięgał sobie, że prześcignie swego rywala, i to nie w jakimś zwyczajnym współzawodnictwie na złudzenia, ale w próbie mocy. Sprawdzi siebie samego i upokorzy Jaspera. Nie pozwoli, aby tamten stał spoglądając nań z góry, pełen gracji, lekceważenia i nienawiści.

Nie przestawał rozmyślać o przyczynach, dla których Jasper mógł go nienawidzić. Wiedział tylko, dlaczego sam nienawidzi Jaspera. Inni uczniowie rychło się przekonali, że rzadko kiedy mogą dorównać Gedowi, zarówno we współzawodnictwie dla zabawy, jak i w poważnej rywalizacji, i powiadali o nim, jedni tonem pochwały, inni niechętnie: „To urodzony czarnoksiężnik, nigdy nie da się pobić". Jeden tylko Jasper ani go nie chwalił, ani nie unikał, lecz po prostu spoglądał nań z góry, z lekkim uśmieszkiem. I dlatego właśnie Jasper był jego jedynym rywalem, którego należało zawstydzić.

Ged nie widział albo nie chciał widzieć, że w tej rywalizacji, przy której trwał i którą podsycał jako składnik swej własnej ambicji, było coś z niebezpieczeństwa, z ciemności, przed którą łagodnie go ostrzegał Mistrz Sztuk.

Kiedy nie powodowała nim czysta wściekłość, Ged wiedział doskonale, że na razie nie jest jeszcze godnym przeciwnikiem Jaspera ani któregokolwiek ze starszych chłopców, toteż pracował wytrwale i kontynuował zwykłą naukę. Pod koniec lata praca straciła nieco na intensywności, było zatem więcej czasu na rozrywki: regaty poruszanych czarami łodzi w porcie, pokazy złudzeń na podwórcach Wielkiego Domu, a w długie wieczory, w zagajnikach, zapamiętałe zabawy w chowanego, gdzie ci, co się chowali, i ten, co szukał, byli w równej mierze niewidzialni i tylko głosy krążyły ze śmiechem i nawoływaniami pośród drzew, w uliczce, w pogoni za szybkimi, ledwie widocznymi błędnymi ognikami. Potem, gdy nadeszła jesień,

uczniowie zabrali się na nowo do swych zadań, ćwicząc dalsze sztuki magiczne. Tak więc pierwsze miesiące Geda na Roke minęły szybko, pełne gwałtownych namiętności i nadprzyrodzonych zdarzeń.

W zimie było inaczej. Ged został wysłany wraz z siedmioma innymi chłopcami na najdalej wysunięty na północ przylądek wyspy Roke, gdzie stała Wieża Osobna. Mieszkał tutaj samotnie Mistrz Imion, którego nazywano imieniem nie posiadającym znaczenia w żadnym języku: Kurremkarmerruk. W promieniu całych mil od Wieży nie było żadnej zagrody ani domu mieszkalnego. Groźnie wznosiła się Wieża ponad północnymi urwiskami, szare były chmury nad zimowym morzem, nieskończone spisy, szeregi i ciągi imion, których musiało się uczyć ośmiu uczniów Mistrza. Pomiędzy nimi w wysokiej komnacie Wieży siedział na wysokim zydlu Kurremkarmerruk, spisując listy imion, których trzeba się było nauczyć, zanim atrament zblaknie o północy, pozostawiając znów czysty pergamin. Było zimno, panowały półmrok i wieczna cisza, jeśli nie liczyć skrzypienia Mistrzowego pióra i wzdychania — zapewne jednego z uczniów, który musiał przed północą wyuczyć się imion każdego przylądka, cypla, zatoki, cieśniny, przystani, kanału, portu, mielizny, rafy i skały na wybrzeżach Lossow, małej wysepki na Morzu Pelnijskim. Gdyby uczeń się skarżył, Mistrz mógłby nic nie powiedzieć, ale wydłużyć listę, albo mógłby rzec: „Kto chce być Mistrzem Morskim, musi znać prawdziwe imię każdej kropli wody w morzu".

Ged wzdychał czasami, ale się nie skarżył. Widział, że w tym nudnym i niezgłębionym przedmiocie, polegającym na uczeniu się prawdziwych imion każdego miejsca, rzeczy i stworzenia, moc, której pragnął, leży jak klejnot na dnie wyschniętej studni. Albowiem magia zawiera się w tym właśnie, w prawdziwym nazywaniu rzeczy. Tak powiedział im Knrremkarmerruk pierwszej nocy, którą spędzili w Wieży; nigdy tego nie powtórzył, ale Ged nie zapomniał jego słów. — Wielu magów o wielkiej mocy — powiedział wtedy mistrz — spędziło cale życie na odkrywaniu imienia jednej tylko rzeczy — jednego tylko zgubionego albo ukrytego imienia. A wciąż jeszcze spisy nie są zakończone. I nie będą aż do końca świata. Posłuchajcie, a zrozumiecie, dlaczego. W tym świecie pod słońcem, i w tym innym świecie, który nie ma słońca, jest wiele rzeczy, co nie mają nic wspólnego z ludźmi i ludzką mową, i są moce przekraczające naszą moc. Ale magia, prawdziwa magia, jest dziełem tylko tych istot, które mówią hardyckim narzeczem Światomorza albo też Dawną Mową, z której to narzecze wyrosło.

Dawna Mowa to język, którym mówią smoki, język, którym mówił Segoy, ten, co stworzył wyspy świata, język naszych ballad i pieśni, zaklęć, czarów i wezwań. Jego słowa spoczywają, ukryte i zmienione, pomiędzy naszymi hardyckimi słowami. Nazywamy pianą

fal sukien: to słowo utworzone jest z dwu słów Dawnej Mowy, suk, pióropusz, i inien, morze. Pióropusz morza — to piana. Ale nie można zaczarować piany nazywając ją sukien; trzeba użyć jej prawdziwego imienia w Dawnej Mowie, które brzmi essa. Każda czarownica zna parę słów w Dawnej Mowie, a mag zna ich wiele. Ale jest ich o wiele więcej, niektóre zaginęły w ciągu wieków, inne ukryły się, inne znów znane są tylko smokom i Dawnym Mocom Ziemi, a jeszcze innych nie zna żadne stworzenie żyjące; i żaden człowiek nie mógłby nauczyć się ich wszystkich. Albowiem ten język nie ma końca.

A to dlaczego. Nazwa morza brzmi inien — zgoda. Ale to, co nazywamy Morzem Najgłębszym, ma również swoje własne imię w Dawnej Mowie. Jako że żadna rzecz nie może mieć dwu prawdziwych imion, inien może znaczyć tylko „całe morze z wyjątkiem Morza Najgłębszego". I oczywiście nie znaczy to nawet tyle, jest bowiem bez liku mórz i zatok, i cieśnin, które noszą swoje własne imiona. Toteż gdyby jakiś mag-Mistrz Morski był na tyle szalony, aby usiłował wzburzyć lub uciszyć czarami cały ocean, jego zaklęcie musi zawierać nie tylko ów wyraz inien, ale imię każdego obszaru, każdego skrawka, każdej odrobiny morza na przestrzeni całego Archipelagu i całych Zewnętrznych Rubieży, i jeszcze dalej, aż do miejsca, w którym imiona mają swój kres. W ten sposób to, co daje nam moc czynienia czarów, ustanawia zarazem granice tej mocy. Mag może panować tylko nad tym, co jest w jego pobliżu, co potrafi nazwać dokładnie i całkowicie. I tak jest dobrze. Gdyby tak nie było, nikczemność kogoś potężnego albo szaleństwo mędrca już dawno temu mogłyby usiłować zmienić to, czego zmienić się nie da, i Równowaga zostałaby zachwiana. Wytrącone z równowagi morze zalałoby wyspy, na których w ciągłym zagrożeniu mieszkamy, i w wiecznej ciszy zaginęłyby głosy i wszystkie imiona.

Ged rozmyślał długo nad tymi słowami i zapadły one głęboko w jego świadomość. Mimo to powaga zadania nie była w stanie w ciągli długiego roku w Wieży uczynić pracy mniej ciężką i oschłą; pod koniec zaś owego roku Kurremkarmerruk powiedział mu: — Zrobiłeś dobry początek. — Ale nic poza tym. Czarnoksiężnicy mówią prawdę i prawdą było, że cała biegłość w dziedzinie Imion, którą Ged z takim mozołem zdobywał w ciągu roku, była tylko początkiem tego, czego będzie musiał uczyć się dalej przez całe życie. Został zwolniony z Wieży Osobnej wcześniej niż ci, którzy przybyli wraz z nim, uczył się bowiem szybciej od nich; ale była to jedyna pochwała, jaką otrzymał.

Szedł przez wyspę na południe, sam wśród wczesnej zimy, pustymi drogami omijającymi miasta. Gdy zapadła noc, zaczęło padać. Nie wypowiedział zaklęcia, które by odpędziło od niego deszcz, pogoda na Roke była bowiem w rękach Mistrza Wiatrów i nie wolno się było do niej wtrącać. Schronił się pod wielkim drzewem pendiku i

leżąc tam, zawinięty w płaszcz, myślał o swoim dawnym mistrzu Ogionie, który zapewne wciąż jeszcze odbywał swe jesienne wędrówki po szczytach Gontu, nocując na dworze i mając bezlistne gałęzie za dach, a padający deszcz za ściany domu. To sprawiło, że Ged się uśmiechnął, zdał sobie bowiem sprawę, że myśl o Ogionie jest dla niego zawsze otuchą. Zasnął ze spokojnym sercem, w zimnej ciemności pełnej szeptu wody. O świcie budząc się podniósł głowę; deszcz ustał; Ged ujrzał schowane w fałdach płaszcza skulone, śpiące zwierzątko, które wpełzło tam w poszukiwaniu ciepła. Zdumiał się na jego widok, gdyż było to rzadkie i osobliwe zwierzę otak.

Stworzenia te spotyka się jedynie na czterech południowych wyspach Archipelagu; na Roke, Ensmer, Pody i Wathort. Są małe i gładkie, z szerokimi pyszczkami, z futrem ciemnobrązowym lub cętkowanym i wielkimi jasnymi oczami. Ich zęby są ostre, a usposobienie dzikie, toteż otaków nie oswaja się i nie pieści. Niezdolne są wołać, krzyczeć ani wydawać z siebie głosu. Ged pogłaskał zwierzątko, a ono obudziło się i ziewnęło, ukazując brązowy języczek i białe zęby, ale nie zdradzając przestrachu.

— Otak — powiedział Ged, a potem, mając w pamięci tysiąc imion zwierzęcych, których uczył się w Wieży, nazwał ptaka jego prawdziwym imieniem w Dawnej Mowie: Hoeg! Chcesz pójść ze mną?

Otak usadowił się na jego rozwartej dłoni i zaczął myć swoje futerko.

Ged umieścił go na ramieniu w fałdach kaptura i otak odbywał tam podróż. Niekiedy w ciągu dnia zeskakiwał i umykał do lasu, ale zawsze powracał do Geda, raz nawet ze złapaną leśną myszą. Ged zaśmiał się i kazał mu zjeść mysz, sam bowiem pościł: tej nocy wypadało Święto Powrotu Słońca. Nareszcie minął w wilgotnym zmierzchu Pagórek Roke i ujrzał jasne błędne ogniki, igrające w deszczu nad dachami Wielkiego Domu; wszedł w jego progi i został przywitany przez swoich Mistrzów i kolegów w oświetlonej ogniem sali.

Dla Geda, który nie miał domu, dokąd mógłby kiedykolwiek wrócić, było to właśnie jak powrót do domu. Rad był, że widzi tak wiele znajomych twarzy, a najbardziej rad, że widzi Yetcha, zbliżającego się na przywitanie z szerokim uśmiechem na ciemnym obliczu. Tęsknił przez ten rok za przyjacielem bardziej, niż przypuszczał. Vetch tej jesieni został pasowany na czarownika i nie był już uczniem, ale nie wytworzyło to pomiędzy nimi przegrody. Rozgadali się natychmiast i Gedowi zdawało się, że powiedział Vetchowi w ciągu tej pierwszej godziny więcej, niż wypowiedział był przez cały długi rok w Wieży Osobnej.

Otak wciąż siedział na jego ramieniu, usadowiony w fałdzie kaptura, gdy zasiedli do obiadu przy długich stołach, ustawionych z

racji święta w Sali Kominkowej. Vetch podziwiał stworzonko i raz podniósł nawet rękę, aby je pogłaskać, ale otak kłapnął na niego ostrymi zębami. Vetch zaśmiał się:

— Powiadają, Krogulcze, że człowiek darzony względami przez dzikie zwierzęta jest tym, do którego Dawne Moce kamieni i źródeł przemawiać będą ludzkim głosem.

— Podobno gontyjscy czarnoksiężnicy często żyją w zażyłości ze zwierzętami — odezwał się Jasper, który siedział po drugiej stronie Vetcha. — Nasz Mistrz Nemmerle ma kruka, a pieśni opowiadają, że Czerwony Mag z Ark wodził za sobą odyńca na złotym łańcuchu. Lecz nie słyszałem nigdy, aby czarnoksiężnik trzymał w kapturze szczura!

Wszyscy roześmiali się na to i Ged zaśmiał się wraz z nimi. Była to wesoła noc i radował się, że przebywa tutaj, w cieple i uciesze, obchodząc święto wspólnie z kolegami. Ale ten żart rozdrażnił go — jak wszystko, co mówił doń Jasper.

Tego wieczoru gościem Szkoły był Władca wyspy O, czarownik o wielkiej sławie. Był niegdyś uczniem Arcy-maga i powracał czasami do Roke na Święto Zimowe albo na Długi Taniec w lecie. Była z nim jego małżonka, smukła i młoda, promieniejąca jak nowy pieniążek, o czarnych włosach przyozdobionych opalami. Rzadko się zdarzało, aby jakaś kobieta zasiadała w salach Wielkiego Domu, toteż niektórzy ze starych Mistrzów spoglądali- na nią z ukosa, nieprzychylnie. Za to młodzi wlepiali w nią oczy z zachwytem.

— Dla takiej — powiedział Yetch Gedowi — potrafiłbym czynić czary, jakim nic nie dorówna… — Westchnął i zaśmiał się.

— To tylko kobieta — sprzeciwił się Ged.

— Księżniczka Elfarran była tylko kobietą — rzekł Vetch — aż jej powodu spustoszono cały Enład, poległ Mag-Bohater z Havnoru i wyspa Solea pogrążyła się w morzu.

— Stare baśnie — odpowiedział Ged. Ale od tej chwili on również zaczai przyglądać się Pani z O, zastanawiając się, czy istotnie ma przed sobą taką zabójczą piękność, o jakiej opowiadają stare baśnie.

Mistrz Pieśni odśpiewał Czyny Młodego Króla i wszyscy razem zaśpiewali Zimową Kolędę. Potem, gdy nastąpiła mała pauza przed powstaniem od stołów, Jasper podniósł się, podszedł do stojącego najbliżej kominka stołu, przy którym siedzieli Arcymag, goście i Mistrzowie, i przemówił do Pani z O. Jasper nie był już chłopcem, lecz młodym mężczyzną, wysokim i urodziwym, w płaszczu spiętym pod szyją srebrem; i, on bowiem został tego roku pasowany na czarownika, czego znakiem była właśnie srebrna klamra. Pani uśmiechnęła się na to, co powiedział, i opale błysnęły promiennie w jej czarnych włosach. Potem, gdy Mistrzowie skinęli głowami na znak życzliwego przyzwolenia, Jasper uczynił dla niej iluzyjną sztukę magiczną. Białe drzewo, które stworzył, wystrzeliło z kamiennej

posadzki. Jego konary dotykały wysokiego belkowania dachu sali, a na każdej gałązce każdego konara lśniło złote jabłko, każde jak słońce — było to bowiem Drzewo Roku. Pośród gałęzi przeleciał nagle ptak, cały biały, z ogonem jak świeżo spadły śnieg, a złote jabłka znikając przemieniły się w nasiona, każde jak kryształowa kropla. Nasiona opadły z drzewa z szelestem deszczu, wydając jednocześnie słodki aromat, zaś drzewo kołysząc się puściło liście z różowego ognia i białe kwiaty podobne do gwiazd. Wtedy złudzenie rozwiało się. Pani z O wydała okrzyk zachwytu i skłoniła swą promienną głowę przed młodym czarownikiem na znak uznania dla jego kunsztu.

— Jedź z nami, zamieszkaj z nami w O-tokne; czy on nie może pojechać, mój panie? — zapytała dziecinnie swego surowego męża.

— Ale Jasper rzekł tylko:

— Kiedy już wyuczę się sztuk godnych tych oto moich Mistrzów i godnych twej pochwały, pani, wówczas chętnie przybędę i zawsze z ochotą będę ci służył.

W ten sposób spodobał się wszystkim, z wyjątkiem Geda. Ged przyłączył się do pochwał głosem, ale nie sercem. „Umiałbym to zrobić lepiej”, powiedział sam do siebie w gorzkiej zawiści; i wszystko to przyćmiło już w jego oczach całą dotychczasową radość wieczoru.

4. UWOLNIONY CIEŃ

Tej wiosny Ged niewiele widywał zarówno Vetcha, jak i Jaspera, jako czarownicy bowiem uczyli się oni teraz u Mistrza Wzorów w tajemniczych gąszczach Wewnętrznego Gaju, gdzie uczniowie nie mieli wstępu. Ged pozostał w Wielkim Domu, pracując pod kierunkiem Mistrzów nad wszelkimi sztukami praktykowanymi przez czarowników, tych którzy dokonują sztuk magicznych, ale nie noszą lasek: nad wywoływaniem wiatru, zaklinaniem pogody, znajdowaniem przedmiotów i magią związywania, a także nad kunsztem magicznego kowalstwa i ciesielstwa, opowiadania legend i baśni, leczenia i zielarstwa. Nocą, sam w celi służącej mu za sypialnię, przy małej kuli błędnego ognika, płonącej nad księgą zamiast lampy czy świecy, Ged uczył się Dodatkowych Runów i Runów z Ea, których używa się w Wielkich Zaklęciach. Wszystkie te umiejętności przychodziły mu łatwo i wśród uczniów niosła się fama, jakoby ten czy ów Mistrz powiedział, iż chłopak z Gontu jest najbystrzejszym uczniem, jaki kiedykolwiek przebywał na Roke; urastały legendy na temat otaka, o którym mówiono, że jest zamaskowanym duchem wszeptującym wiedzę do ucha Geda; powiadano nawet, że kruk Arcymaga pozdrowił Geda w dniu jego przybycia jako „przyszłego Arcymaga". Niezależnie od tego, czy wierzyli w takie historie czy też nie i czy lubili bądź nie lubili Geda, jego koledzy w większości podziwiali go i chętnie go słuchali — wtedy gdy opanowywał go niecodzienny nastrój podniecenia i Ged przyłączał się do nich, aby przewodzić ich zabawom podczas coraz dłuższych wiosennych wieczorów. Przeważnie jednak istniały dlań tylko praca, ambicja i opanowanie i na ogół trzymał się, na osobności. Pośród wszystkich kolegów nie miał — w czasie nieobecności Yetcha — przyjaciela i nigdy nie czuł, że chciałby go mieć.

Miał lat piętnaście, był więc bardzo młody jak na naukę któregoś z Wyższych Kunsztów czarnoksiężników lub magów, tych którzy noszą laskę; ale tak prędko uczył się wszelkich sztuk iluzyjnych, że Mistrz Przemian, sam człowiek młody, wkrótce zaczął nauczać go w odosobnieniu od innych i opowiadać mu o prawdziwych Zaklęciach Nadawania Kształtu. Wyjaśniał Gedowi, w jaki sposób rzecz, która ma być naprawdę przeobrażona w inną, musi zostać przemianowana na tak długo, jak długo trwa działanie czarów, i opowiadał, jak oddziałuje to na imiona i istotne właściwości przedmiotów, które znajdują się w pobliżu przeistoczonej rzeczy. Mówił o związanych z przemianami niebezpieczeństwach — wtedy przede wszystkim, kiedy czarownik przeistacza swoją własną postać i w ten sposób naraża się na to, -że zostanie usidlony przez własne zaklęcie. Stopniowo zachęcony tym, że chłopiec rozumie wszystko niezawodnie, młody

Mistrz zaczął nie tylko opowiadać mu o tych tajemnicach. Nauczył go pierwszego, a potem następnego z Wielkich Zaklęć Przemiany i dał mu do przestudiowania Księgę Nadawania Kształtu. Uczynił to bez wiedzy Arcymaga i postąpił nieroztropnie, choć działał w dobrej wierze.

Ged pracował obecnie także pod kierunkiem Mistrza Przywołań, ten Mistrz jednak był człowiekiem surowym, postarzałym i zahartowanym przez głębię i posępność sztuki czarodziejskiej, której nauczał. Nie zajmował się złudzeniami, lecz wyłącznie prawdziwą magią, przywoływaniem takich energii, jak światło, gorąco, siła przyciągająca magnesu i te siły, które ludzie odbierają jako ciężar, kształt, barwę, dźwięk; przywoływał prawdziwe moce, Czerpane z niezmiernych, bezdennych zasobów energii wszechświata, których żadne ludzkie zaklęcia lub spożytkowania nie byłyby w stanie wyczerpać ani wytrącić z równowagi. Używane przez zaklinaczy pogody lub mistrzów morskich wezwania wiatru i wody były to umiejętności, które uczniowie już znali, ale dopiero Mistrz Przywołań wskazał im, dlaczego prawdziwy czarownik używa takich zakląć tylko w potrzebie: jako że przywołać takie siły ziemskie oznacza zmienić świat, którego część one stanowią. — Deszcz na Roke może być posuchą w Osskil — powiadał Mistrz — a cisza morska na Wschodnich Rubieżach może być burzą i zniszczeniem na Zachodzie, jeśli się nie wie, co się czyni.

Co do wzywania prawdziwych rzeczy i żyjących ludzi, wskrzeszania duchów zmarłych i zwracania się do Świata Niewidzialnego, a więc tych zaklęć, które są szczytem sztuki Przywoływania i mocy wyobrażania — o tym Mistrz ledwo im wspomniał. Raz czy dwa Ged próbował skłonić go, aby powiedział coś niecoś o tego rodzaju tajemnicach, ale Mistrz milczał, spoglądając nań przeciągle i srogo, póki Ged nie poczuł się nieswojo i nie zamilkł.

Czasami w istocie było mu nieswojo, kiedy czynił nawet te pomniejsze czary, jakich go uczył Mistrz Przywołań. Były pewne runy na niektórych stronicach Księgi Wiedzy, które zdawały mu się znajome, choć nie pamiętał, w jakiej księdze mógł je widzieć wcześniej. Były pewne zdania, które trzeba wypowiadać w zaklęciach Przywoływania, a których wypowiadać nie lubił. Nasuwały mu na mgnienie oka myśl o cieniach w mrocznej izbie, o zamkniętych drzwiach, o cieniach próbujących go dosięgnąć z kąta obok drzwi. Pośpiesznie odsuwał na bok takie myśli czy wspomnienia i dalej robił swoje. Te chwile grozy i ciemności, mówił sobie, były jedynie cieniami jego niewiedzy. Im więcej się uczy, tym mniej będzie musiał się bać, aż w końcu, mając jako czarnoksiężnik pełną władzę, nie będzie musiał lękać się niczego w świecie, zupełnie niczego.

Gdy nastał drugi miesiąc tego lata, cała Szkoła zgromadziła się znów w Wielkim Domu, aby święcić Noc Księżyca i Długi Taniec —

które to święta tego roku zbiegły się w jedno, trwające dwie noce, co nie zdarza się częściej niż raz na pięćdziesiąt dwa lata. Całą pierwszą noc, najkrótszą w roku noc pełni księżycowej, grały wśród pól piszczałki, wąskie uliczki Thwil pełne były bębnów i pochodni, a dźwięk śpiewu niósł się ponad oświetlonymi przez księżyc wodami Zatoki Roke. Gdy nazajutrz wzeszło słońce, Kantorzy z Roke zaczęli śpiewać długie Czyny Erreth-Akbego, opowieść o tym, jak zbudowano białe wieże Havnoru i jak Erreth-Akbe podróżował ze Starej Wyspy Ea poprzez cały Archipelag wraz z Rubieżami, aż w końcu na najdalszej Zachodniej Rubieży, na skraju Morza Otwartego, spotkał smoka imieniem Orm; i kości bohatera leżą w potrzaskanej zbroi między kośćmi smoka na brzegu odludnego Selidoru, ale jego miecz umieszczony na szczycie najwyższej wieży Havnoru wciąż płonie czerwono, gdy słońce zachodzi ponad Morzem Najgłębszym. Gdy śpiew się skończył, rozpoczął się Długi Taniec. Mieszczanie, Mistrzowie, uczniowie i chłopi, wszyscy razem, mężczyźni wraz z kobietami, ruszyli tańcząc w ciepłym zmierzchu i w tumanach kurzu wszystkimi drogami wyspy w dół ku plażom, w rytmie bębnów i przy zawodzeniu fujarek i piszczałek. W świetle księżyca, który zeszłej nocy był w pełni, dotarli tańcząc aż do samego morza i muzyka zginała w szumie przyboju. Gdy rozjaśniło się na wschodzie, wrócili idąc pod górę plażami i drogami; bębny zamilkły i tylko piszczałki grały cicho i przenikliwie. Tak działo się tej nocy na każdej wyspie Archipelagu: ten sam taniec, ta sama muzyka wiązały ze sobą lądy rozdzielone przez morze.

Gdy Długi Taniec się skończył, większość ludzi przespała cały dzień i wszyscy zeszli się znów wieczorem, aby jeść i pić. Gromadka młodzieży, uczniów i czarowników, wyniosła swą wieczerzę z refektarza, aby urządzić własną ucztę na dziedzińcu Wielkiego Domu; byli tam Vetch, Jasper i Ged oraz sześciu czy siedmiu innych, a także paru młodzików zwolnionych na krótko z Wieży Osobnej, bowiem to święto wywabiło z niej nawet Kurremkarmerruka. Wszyscy jedli, śmiali się i z czystej swawoli wyprawiali sztuczki, które mogłyby zadziwić królewski dwór. Jeden z chłopców oświetlił podwórzec setką gwiazd utworzonych z błędnych ogników, barwnych jak drogie kamienie: ich rozkołysana sieć przesuwała się powoli pomiędzy biesiadnikami a prawdziwymi gwiazdami; paru chłopców grało kulami z zielonego płomienia i kręglami, które podrygiwały i odskakiwały, gdy kula się zbliżała; Yetch, jedząc pieczone kurczę, siedział cały ten czas. ze skrzyżowanymi nogami, zawieszony ponad kolegami w powietrzu. Jeden z młodszych chłopców usiłował ściągnąć go na ziemię, ale Vetch uniósł się tylko trochę wyżej, poza jego zasięg, i uśmiechając się spokojnie siedział nad ich głowami. Od czasu do czasu odrzucał na bok kość kurczęcia, która zmieniała się w sowę i

latała pohukując w sieci gwiezdnych świateł. Ged strzelał do sów strzałami utworzonymi z okruchów chleba i strącał ptaki, a gdy dotykały ziemi, leżały już na niej tylko kości i okruchy — całe złudzenie rozwiewało się. Ged próbował też zasiąść obok Yetcha w powietrzu, nie mając jednak klucza do zaklęcia, musiał trzepotać ramionami, aby utrzymać się w górze, i wszyscy śmiali się z jego wzlotów, trzepotań i nagłych upadków. Wygłupiał się dalej, aby wzbudzić śmiech, i śmiał się razem z nimi, bowiem po tych dwu nocach tańca, światła księżycowego, muzyki i magii był w nastroju szalonym i nieokiełznanym, gotów na przyjęcie wszystkiego, cokolwiek się stanie.

Nareszcie zeskoczył lekko na ziemię obok Jaspera, a Jasper, który nigdy nie śmiał się głośno, odsunął się ze słowami:

— Krogulec, który nie umie latać…

— A czy Jasper nie oznacza „jaspis”? — odciął się Ged, szczerząc zęby. — O, klejnocie pośród czarowników, o, drogocenny kamieniu z Havnoru, zabłyśnij dla nas!

Chłopak, który wprawił w ruch światła ponad nimi, zmusił jedno z nich, aby spłynęło w dół i pląsając rzucało blaski wokół głowy Jaspera. Nie całkiem tak opanowany jak zwykle, marszcząc się gniewnie, Jasper zmiótł i zgasił światło jednym ruchem ręki.

— Mam już dość tych chłopców z ich hałaśliwością i pustotą — rzekł.

— Wchodzisz w wiek średni, bracie — rzucił z góry Yetch.

— Jeśli cisza i ponurość są przedmiotem twoich pragnień — wtrącił się jeden z młodszych chłopców — zawsze możesz wrócić do Wieży.

Ged zwrócił się do niego:

— Zatem cóż jest przedmiotem twoich pragnień, Jasper?

— Pragnę towarzystwa ludzi mnie równych — odparł Jasper. — Chodź, Vetch. Zostaw uczniaków z ich zabawkami.

Ged obrócił się, aby stanąć twarzą w twarz z Jasperem.

— Cóż takiego mają czarownicy, czego brakuje uczniom? — zapytał. Jego głos był spokojny, ale wszyscy pozostali chłopcy nagle ucichli, bowiem zarówno w tonie głosu Geda, jak i w tonie Jaspera ich wzajemna niechęć pobrzmiewała teraz jasno i wyraźnie jak stal wysuwająca się z pochwy.

— Moc — odpowiedział Jasper.

— Dorównam twej mocy we wszystkim, cokolwiek uczynisz.

— Rzucasz mi wyzwanie?

— Rzucam ci wyzwanie.

Vetch opadł już przedtem na ziemię, a teraz wkroczył pomiędzy nich ze stanowczym wyrazem twarzy.

— Pojedynki na czary są nam wzbronione i dobrze o tym wiecie.

Koniec z tym!

I Ged, i Jasper stali w milczeniu, bo prawdą było że znali prawo Roke, i wiedzieli także, że Yetchem powoduje miłość, a ich obydwu popycha nienawiść. Mimo to ich gniew został tylko okiełznany, ale nie ochłódł. Zaraz też Jasper odsuwając się trochę na bok, jak gdyby chciał być słyszany tylko przez Vetcha, odezwał się ze swym chłodnym uśmiechem:

— Byłoby chyba lepiej, gdybyś ponownie przypomniał swemu przyjacielowi pastuchowi o prawie, które go chroni. Wygląda na nadąsanego. Zastanawiam się, czy on naprawdę myślał, że przyjmę jego wyzwanie? Jegomość, którego czuć kozami, uczniak, który nie zna nawet Pierwszej Przemiany?

— Jasper — powiedział Ged — cóż ty wiesz o tym, co ja znam?

Na mgnienie, nie wymawiając żadnego słyszalnego słowa, Ged zniknął sprzed ich oczu, a na jego miejscu zawisł w powietrzu wielki sokół otwierający swój haczykowaty dziób, jakby chciał zaskwirzyć; trwało to jedno mgnienie, po czym Ged znów stał w migoczącym świetle pochodni, z mrocznym spojrzeniem utkwionym w Jaspera.

Jasper cofnął się był o krok, zdumiony, ale teraz wzruszył ramionami i wyrzekł jedno słowo:

— Złudzenie.

Inni zaszemrali. Vetch powiedział:

— To nie było złudzenie. To była prawdziwa przemiana. Dość już, Jasper, posłuchaj…

— Dość, aby udowodnić, że za plecami Mistrza zapuścił żurawia w Księgę Nadawania Kształtu: co z tego? Dalej, kozi pastuchu. Podoba mi się ta pułapka, którą sam na siebie zastawiasz. Im bardziej usiłujesz dowieść sobie, że jesteś mi równy, tym bardziej okazujesz się tym, czym jesteś w istocie.

Na te słowa Vetch odwrócił cię od Jaspera i powiedział bardzo łagodnie do Geda:

— Krogulcze, bądź mężczyzną i daj temu spokój, chodź ze mną…

Ged spojrzał na przyjaciela i uśmiechnął się, ale rzekł tylko:

— Potrzymaj mi przez chwilkę Hoega, dobrze?

Włożył w dłonie Yetcha małego otaka, który jak zwykle siedział był na jego ramieniu. Otak nie pozwalał nigdy dotykać się nikomu oprócz Geda, ale teraz poszedł do Yetcha i, wspiąwszy się po jego ręce, skulił mu się na ramieniu, wielkie jasne oczy kierując wciąż na swego pana.

— No — zwrócił się Ged do Jaspera, spokojnie jak poprzednio — co uczynisz, aby mi dowieść swojej wyższości?

— Nie muszę nic czynić, pastuchu. Mimo to uczynię. Dam ci szansę — dogodną sposobność. Zawiść zżera cię jak robak jabłko. Wypuśćmy tego robaka. Chełpiłeś się niegdyś przy Pagórku Roke, że

gontyjscy czarnoksiężnicy nie bawią się w sztuczki. Chodź teraz na Pagórek Roke i pokaż nam, co takiego robią w zamian. A potem, być może, ja ci pokażę troszkę czarów.

— Tak, chętnie to zobaczę — odpowiedział Ged.

Młodsi chłopcy, przyzwyczajeni do jego gniewu wybuchającego przy najmniejszym cieniu lekceważenia albo zniewagi, wpatrywali się weń, zdumieni jego obecnym opanowaniem. Vetch spoglądał na Geda nie ze zdumieniem, lecz z rosnącą trwogą. Spróbował znowu wmieszać się w spór, ale Jasper rzekł:

— Ty, Vetch, nie wtrącaj się. Co uczynisz z szansą, jaką ci dałem, pastuchu? Pokażesz nam jakieś złudzenie, kulisty piorun, zaklęcie, które leczy kozy ż parchów?

— Co chciałbyś, żebym uczynił, Jasper? Starszy chłopak wzruszył ramionami.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz przywołać ducha zmarłego!

— Zrobię to.

— Nie zrobisz. — Jasper spoglądał wprost na niego; wściekłość nagle przebiła się przez jego pogardę. — Nie zrobisz. Nie potrafisz. Przechwalasz się i przechwalasz…

— Klnę się, że to zrobię!

Wszyscy stali przez chwilę całkiem bez ruchu.

Wyrywając się Yetchowi, który starał się go powstrzymać ze wszystkich sił, Ged wyszedł wielkimi krokami z dziedzińca, nie oglądając się za siebie. Pląsające nad głowami błędne ogniki wygasły, opadając w dół. Jasper sekundę się wahał, potem podążył za Gedem. A reszta ruszyła bezładną gromadą z tyłu w milczeniu, z ciekawością i przestrachem.

Pagórek Roke wznosił swe ciemne zbocza w mrok letniej nocy, czekającej na wschód księżyca. Obecność tego wzgórza, na którym dokonano tylu cudów, ciążyła chłopcom jak wiszące w powietrzu brzemię. Gdy zbliżali się do stoku wzgórza, myśleli o tym, jak głęboko, głębiej od dna morskiego tkwią jego korzenie, sięgające w dół aż do odwiecznych, niewidzialnych, tajemnych ogni w jądrze świata. Zatrzymali się na zboczu wschodnim. Gwiazdy wisiały nad czarną trawą, która porastała widniejący wyżej wierzchołek wzgórza. Nie było wiatru.

Ged wspiął się parę kroków w górę zbocza, oddalając się od pozostałych, po czym odwracając się, powiedział czystym głosem:

— Jasper! Czyjego ducha mam przywołać?

— Wołaj, kogo chcesz. Nikt cię nie wysłucha. — Głos Jaspera zadrżał trochę, zapewne od gniewu. Ged odpowiedział łagodnie i drwiąco:

— Boisz się?

Nie słuchał nawet odpowiedzi Jaspera, jeśli ten cokolwiek

odpowiedział. Nie obchodził go już Jasper. Teraz, gdy stali na Pagórku Roke, nienawiść i wściekłość znikły, zastąpiła je całkowita pewność. Nie musiał nikomu zazdrościć. Wiedział, że tej nocy, na tym ciemnym zaczarowanym obszarze jego moc jest wielka jak nigdy dotąd; wypełniała go tak, że aż. zadrżał od poczucia siły ledwie utrzymywanej w ryzach. Wiedział teraz, że Jasper ustępuje mu znacznie, że został przysłany przez los zapewne tylko po to, aby go tu dzisiaj sprowadzić — nie rywal, lecz zwykły sługa przeznaczenia Geda. Pod stopami czuł korzenie wzgórza zagłębiające się w mrok, a nad głową widział suche, dalekie ognie gwiazd. Pośrodku — wszystko czekało na jego władzę, jego rozkazy. Stał w środku świata.

— Nie bój się — powiedział z uśmiechem. — Przywołam ducha kobiety. Kobiety nie musisz się lękać. Przywołam Elfarran, piękną panią z Czynów Enladzkich.

— Zmarła przed tysiącem lat, jej kości leżą w głębi Morza Ea, a zresztą taka kobieta może nigdy nie istniała.

— Czyżby lata i odległość znaczyły cokolwiek dla zmarłych? — Czyżby Pieśni kłamały? — zapytał Ged z tą samą uprzejmą drwiną, a potem mówiąc: — Obserwujcie powietrze między moimi dłońmi — odwrócił się od reszty chłopców i stanął bez ruchu.

Szerokim powolnym gestem rozpostarł ramiona, gestem przywitania, który rozpoczyna inwokację. Zaczął mówić.

Czytał niegdyś runy Zaklęcia Przywołania w księdze Ogiona, przeszło dwa lata temu, i od owego czasu ani razu ich nie widział; Wtedy czytał je w ciemności. W ciemności, która teraz go otaczała, było tak, jak gdyby czytał je na nowo na stronicy otwartej przed nim wśród nocy. Ale teraz rozumiał, co czyta, wymawiając na głos słowo po słowie, i widział oznaczenia, wskazujące, jak należy tworzyć zaklęcie dźwiękiem głosu oraz poruszeniami ciała i rąk.

Inni chłopcy stali zapatrzeni, bez słowa i bez ruchu, drżąc tylko z lekka; wielkie było bowiem to zaklęcie, które zaczynało swoje działanie. Głos Geda brzmiał wciąż łagodnie, ale zmienił się, miał w sobie głęboki zaśpiew, a słowa, które wymawiał, nie były chłopcom znane. Nagle Ged zamilkł. Znienacka podniósł się wiatr i zaszumiał w trawie. Ged opadł na kolana i zawołał wielkim głosem. Potem upadł przed siebie, jakby chciał wziąć ziemię w objęcie rozpostartych ramion, a gdy podniósł się trzymał w naprężonych dłoniach i ramionach coś ciemnego, coś tak ciężkiego, że dygotał z wysiłku, stając na nogi. Gorący wiatr zawodził w czarnych, falujących trawach na wzgórzu. Jeśli nawet świeciły gwiazdy, nikt ich teraz nie widział.

Słowa zaklęcia sykiem i mamrotaniem wydobywały się z ust Geda, aż wreszcie Ged wykrzyknął głośno i wyraźnie: — Elfarran!

Znowu wykrzyknął to imię: — Elfarran!

I po raz trzeci: — Elfarran!

Bezkształtna bryła mroku, którą był podźwignął, oderwała się od niego. Odłączyła się i pomiędzy jego rozwartymi ramionami zajaśniało blade wrzeciono światła, mglisty owal, sięgający od ziemi na wysokość jego uniesionych rąk. W świetlistym owalu przez chwilę poruszał się jakiś kształt, ludzka postać: smukła kobieta spoglądająca w tył przez ramię. Jej twarz była piękna, pełna smutku i trwogi.

Duch jaśniał w tym miejscu tylko przez chwilę. Potem żółtawy owal pomiędzy ramionami Geda zabłysnął silniej. Rozszerzył się i rozprzestrzenił jak rozdarcie w ciemności ziemi i nieba, rozprucie w tkaninie świata. Poprzez nie buchnęła straszliwa jasność. A poprzez jasną, niekształtną wyrwę wygramoliło się coś jak gruda czarnego cienia, szybka i ohydna, i to coś skoczyło wprost w twarz Geda.

Cofnąwszy się chwiejnie pod ciężarem owej rzeczy, Ged wydał z siebie krótki, chrapliwy krzyk. Mały otak patrzący z ramienia Yetcha, zwierzę pozbawione głosu, wydał także głośny krzyk i skoczył jak gdyby do natarcia.

Ged upadł szamocząc się i wykręcając, podczas gdy ponad nim rozszerzało się i rozciągało jasne rozprucie w ciemności świata. Chłopcy, którzy się przyglądali, uciekli, zaś Jasper zgiął się ku ziemi, osłaniając oczy przed straszliwym światłem. Jedynie Vetch wybiegł naprzód ku przyjacielowi. Toteż tylko on widział bryłę cienia, która wpiła się w Geda, rwąc jego ciało. Było to jakby czarne zwierzę, wielkości małego dziecka, choć zdawało się że puchnie, to znów się kurczy; nie miało głowy ani twarzy, jedynie cztery łapy z pazurami, którymi wpijało się w Geda i szarpało go Vetch zaszlochał ze zgrozy, mimo to jednak wyciągnął ręce, chcąc odciągnąć ową rzecz od Geda. Zanim jej wszakże dotknął, coś go unieruchomiło; stracił zdolność poruszania się.

Nieznośna jasność przygasała i stopniowo krawędzie rozdartego świata zrosły się z powrotem. Opodal przemawiał jakiś głos tonem łagodnym jak szmer drzewa albo tryskanie źródła.

Gwiazdy zabłysły na nowo, a trawy na zboczu pobieliło światło wschodzącego właśnie księżyca. Noc została uzdrowiona. Światło i ciemność trwały w przywróconej i stałej równowadze. Zwierz-cień zniknął. Ged leżał na wznak jak długi, z ramionami rozrzuconymi, jak gdyby zachowującymi jeszcze szeroki gest przywitania i inwokacji. Jego twarz pociemniała od krwi, a na koszuli widniały wielkie czarne plamy. Mały otak skulił się przy jego barku, drżąc. A ponad Gedem stał starzec, którego płaszcz jaśniał blado we wschodzącym księżycu: Arcymag Nemmerle.

Koniec laski Nemmerlego uniósł się srebrnym błyskiem nad piersią Geda. Dotknął delikatnie okolicy jego serca, potem jego warg, podczas gdy Nemmerle coś szeptał. Ged drgnął, a jego wargi rozchyliły się, łapiąc oddech. Wtedy stary Arcymag podniósł laskę,

postawił ją na ziemi i wsparł się na niej ciężko ze schyloną głową, jak gdyby ledwie starczało mu sił, aby ustać.

Yetch poczuł, że może się swobodnie poruszać. Rozglądając się wokół, dostrzegł, że byli tu już inni, Mistrz Przywołań i Mistrz Przemian. Akt wielkiego czarnoksięstwa nie może nie obudzić takich ludzi; mieli oni sposoby, aby zjawić się bardzo szybko, gdy wzywała ich potrzeba, choć żaden nie był tak szybki jak Arcymag. Posłano teraz po pomoc i część z tych, którzy się zjawili, odprowadziła Arcymaga, zaś inni, wśród nich Vetch, zanieśli Geda do komnat Mistrza Ziół.

Całą noc Mistrz Przywołań pozostał na Pagórku Roke, czuwając na straży. Nic się nie poruszało na zboczu wzgórza, tam gdzie materia świata rozdarła się na oścież. Żaden cień nie przypełzł poprzez światło księżycowe, szukając rozdarcia, przez które mógłby wgramolić się z powrotem w swoje królestwo. Cień uciekł był przed Nemmerlem i przed potężnymi ścianami czarów, które otaczają i chronią wyspę Roke, ale teraz przebywał w świecie. I gdzieś w świecie się ukrył. Gdyby Ged umarł tej nocy, cień mógłby próbować odnaleźć wejście, które przedtem otworzył, i wstąpić za Gedem w królestwo śmierci, wśliznąć się z powrotem w owo miejsce, z którego przybył; właśnie dlatego Mistrz Przywołań czekał na Pagórku Roke Ale Ged żył.

Położono go do łóżka w izbie uzdrowień i Mistrz Ziół zaopiekował się ranami, które Ged miał na twarzy, szyi i ramieniu. Były to głębokie, poszarpane i złośliwe rany. Płynąca z nich czarna krew nie dawała się zatamować, tryskając nawet mimo działania czarów i owiniętych w pajęczynę liści perriotu, które przykładano na rany. Ged, niewidomy i niemy, leżał w gorączce jak patyk w tlącym się ogniu i nie było zaklęcia, które mogłoby ochłodzić to, co go spalało.

Nie opodal, na otwartym podwórcu, gdzie tryskała fontanna, leżał Arcymag, również nieruchomy, lecz zimny, bardzo zimny: tylko jego oczy żyły, obserwując spadanie oświetlonej księżycem wody i poruszanie się oświetlonych księżycem liści. Ci, którzy byli z nim, nie wypowiadali zaklęć i nie czynili uzdrawiających czarów. Od czasu do czasu mówili coś spokojnie między sobą, po czym zwracali wzrok na Mistrza: leżał bez ruchu, a księżyc bielił jego orli nos, wysokie czoło i siwe włosy, nadając im barwę …kości. Aby opanować rozpętane czary i odpędzić cień od Geda, Nemmerle zużył całą swoją moc, a wraz z nią odeszła także jego siła cielesna. Leżał w agonii. Ale śmierć wielkiego maga, który w swym życiu wiele razy przechadzał się po wyschłych, spadzistych wzgórzach królestwa śmierci, jest osobliwą rzeczą: umierający bowiem, znający już drogę, odchodzi nie po omacku, lecz pewnie. Gdy Nemmerle spoglądał w górę poprzez liście drzewa, ci, co go otaczali, nie wiedzieli, czy patrzy na letnie gwiazdy blednące w świetle brzasku, czy też na tamte inne gwiazdy, które nigdy nie gasną nad wzgórzami nie znającymi świtu.

Kruk z Osskil, który był jego ulubieńcem przez trzydzieści lat, znikł. Nikt nie widział, dokąd odleciał. — Kruk leci przed nim — rzekł Mistrz Wzorów, gdy czuwali przy Arcymagu.

Dzień nastał ciepły i jasny. W Wielkim Domu i na uliczkach Thwil panowała cisza. Nikt nie podnosił głosu, póki koło południa nie odezwały się głośnym, ostrym tonem żelazne dzwony na Wieży Śpiewów.

Nazajutrz Dziewięciu Mistrzów z Roke zebrało się w miejscu ukrytym gdzieś pod ciemnymi drzewami Wewnętrznego Gaju. Nawet tam ustawili naokoło siebie dziewięć ścian ciszy, toteż żaden człowiek ani żadna moc nie mogły przemówić do nich ani ich usłyszeć, gdy wybierali spośród magów całego Światomorza tego, który miał być nowym Arcymagiem. Wybór padł na Genshera z wyspy Way. Natychmiast wysłano przez Morze Najgłębsze na wyspę Way statek, aby przywiózł Arcymaga na Roke. Mistrz Wiatrów stanął na rufie i zbudził magiczny wiatr, który dął w żagiel; statek szybko wypłynął z portu i zniknął w oddali.

O wydarzeniach tych Ged nic nie wiedział. Przez cztery tygodnie tego gorącego lata leżał ślepy, głuchy i niemy, choć czasami jęczał i krzyczał jak zwierzę. Nareszcie, gdy cierpliwe umiejętności Mistrza Ziół wywarły nań swoje uzdrawiające działanie, rany Geda zaczęły się zasklepiać i opuściła go gorączka. Po trochu zaczął sprawiać wrażenie, że znów słyszy, choć nigdy się nie odzywał. Pewnego pogodnego jesiennego dnia Mistrz Ziół otworzył okiennice izby, w której leżał Ged. Od czasu ciemności tamtej nocy na Pagórku Roke znał tylko ciemność. Teraz ujrzał światło dzienne i blask słońca. Schował w dłoniach pokrytą bliznami twarz i zapłakał.

Kiedy jednak nadeszła zima, Ged potrafił mówić tylko zająkując się i Mistrz Ziół wciąż trzymał go w izbie uzdrowień, próbując stopniowo przywrócić siłę jego ciału i umysłowi. Była wczesna wiosna, kiedy wreszcie Mistrz go wypuścił, poleciwszy mu, aby najpierw złożył hołd Arcymagowi Gensherowi. Poprzednio bowiem Ged nie był w stanie przyłączyć się do reszty Szkoły w spełnieniu tej powinności, kiedy Gensher przybył na Roke.

Żadnemu z kolegów Geda nie pozwalano odwiedzić go w miesiącach choroby i teraz, gdy przechodził mimo, niektórzy z nich zapytywali się wzajemnie: „Kto to taki?” Dawniej był zwinny, gibki i mocny. Teraz, złamany przez cierpienie, szedł niepewnie i nie podnosił twarzy, której lewa strona była biała od blizn. Unikał znajomych i nieznajomych, kierując się prosto na Podwórzec Fontanny. Tam, w miejscu gdzie on. sam niegdyś oczekiwał Nemmerlego, teraz oczekiwał go Gensher.

Jak poprzedni Arcymag, tak i nowy był odziany w biały płaszcz; ale, jak większość ludzi z Way i ze Wschodnich Rubieży, Gensher był

ciemnoskóry i ciemne było jego spojrzenie spod gęstych brwi.

Ged ukląkł, złożył mu hołd i przysiągł posłuszeństwo. Gensher milczał przez chwilę.

— Wiem, co uczyniłeś — powiedział wreszcie — ale. nie wiem, kim jesteś. Nie mogę przyjąć twojego hołdu.

Ged powstał i wsparł się dłonią o pień rosnącego koło fontanny drzewka, aby utrzymać równowagę. Wciąż jeszcze znajdowanie słów przychodziło mu z trudem.

— Czy mam opuścić Roke, mój panie?

— Czy chcesz opuścić Roke?

— Nie.

— A czego chcesz?

— Zostać. Uczyć się. Przemóc… zło…

— Sam Nemmerle nie umiał tego zrobić. Nie, nie pozwolę ci odejść z Roke. Nic cię nie chroni oprócz mocy tutejszych Mistrzów i wzniesionych wokół tej wyspy obwarowań, które nie dopuszczają złych istot. Gdybyś teraz odjechał — to coś, co spuściłeś z uwięzi, znalazłoby cię natychmiast, weszłoby w ciebie i wzięłoby cię w posiadanie. Byłby z ciebie nie człowiek, lecz gebbeth, kukiełka spełniająca wolę tego złego cienia, który podźwignąłeś w światło dnia. Musisz tu zostać, póki nie nabędziesz dosyć siły i mądrości, aby móc samemu się przed nim bronić — jeśli będziesz kiedyś do tego zmuszony. Nawet teraz to coś czeka na ciebie. Niechybnie czeka. Czy widziałeś to od czasu tamtej nocy?

— W snach, mój panie. — Po chwili Ged ciągnął dalej, mówiąc z bólem i wstydem: — Mistrzu Geńsherze, nie wiem, co to było — to coś, co wydostało się z czarów i wpiło we mnie…

— Ja również nie wiem. To nie ma imienia. Masz w sobie wielką wrodzoną moc i użyłeś tej mocy niewłaściwie: rzuciłeś zaklęcie, nad którym nie panowałeś, nie wiedząc, jak to zaklęcie wpływa na równowagę światła i mroku, życia i śmierci, dobra i zła. A do tego postępku przywiodły cię pycha i nienawiść. Czy można się dziwić, że skutek był opłakany? Wywołałeś ducha z ciała zmarłej, ale wraz z tym duchem zjawiła się jedna z Mocy Przeciw-Życia. Przybyła wezwania stamtąd, gdzie nie ma imion. Będąc złem, czynić zło za twoim pośrednictwem. Władza, która pozwoliła ci ją przywołać, daje jej władzę nad tobą: jesteście powiązani. Jest to cień twojej buty, cień twojej niewiedzy, który rzucasz. Czyż cień ma imię?

Ged stał chory i zmizerniały. Wreszcie odezwał się:

— Byłoby lepiej, gdybym wtedy umarł.

— Kim jesteś, aby to orzekać, ty, za którego Nemmerle oddał życie? Jesteś tu bezpieczny. Będziesz tu mieszkał i dalej się kształcił. Mówiono mi, że byłeś zdolny. Dalej więc, zabierz się do pracy. Wykonuj ją jak należy. To wszystko, co możesz zrobić.

Na tym Gensher zakończył i nagle zniknął, jak to jest w zwyczaju magów. Fontanna podskakiwała w słońcu; Ged przyglądał się jej przez chwilę i słuchał jej głosu myśląc o Nemmerlem. Niegdyś na tym dziedzińcu poczuł się słowem wymówionym przez światło słoneczne. Teraz przemówiła także ciemność: wymówiła słowo, którego nie można było cofnąć.

Ged opuścił dziedziniec, zmierzając do swej dawnej izby w Wieży Południowej: izbę tę trzymano dla niego pustą. Pozostał tam w samotności. Gdy gong obwieścił kolację, Ged poszedł na dół, ale niemal nie odzywał się do innych chłopców przy Długim Stole i nie podnosił ku nim twarzy, nawet ku tym, którzy pozdrawiali go najoględniej. Toteż po paru dniach wszyscy zostawili go w spokoju. Samotność była tym, czego pragnął, lękał się bowiem zła, które mógłby spowodować uczynkiem lub słowem, nie zdając sobie z tego sprawy.

W Szkole nie było ani Yetcha, ani Jaspera i Ged nie pytał o nich. Chłopcy, którym poprzednio przewodził i nad którymi górował, teraz wszyscy go wyprzedzili, z przyczyny miesięcy, które utracił; tej wiosny i lata uczył się więc z chłopcami młodszymi od siebie. Nie błyszczał też wśród nich, bowiem słowa każdego zaklęcia, nawet najprostszej sztuki iluzyjnej, wychodziły z jego ust z wahaniem, a jego ręce nie były pewne w swoim kunszcie.

Na jesieni miał udać się raz jeszcze do Wieży Osobnej na naukę u Mistrza Imion. Obowiązek ten, którego niegdyś się obawiał, teraz odpowiadał mu, gdyż tym, czego szukał, była cisza — a także długa nauka, przy której nie czyni się zaklęć i podczas której ta moc, o której wiedział, że wciąż w nim jest, nie musi być ani razu przywołana do działania.

W nocy poprzedzającej jego przeprowadzkę do Wieży odwiedził go w jego izbie człowiek ubrany w brązowy płaszcz podróżny i trzymający dębową laskę okutą żelazem. Ged podniósł się na widok laski czarnoksiężnika.

— Krogulcze…

Na dźwięk głosu Ged podniósł oczy: to Yetch stał przed nim, krępy i kwadratowy jak zawsze; jego ciemna, szczera twarz stała się starsza, ale uśmiech nie zmienił się. Na ramieniu Vetcha kuliło się zwierzątko o cętkowanym futerku i jasnych oczach.

— Został u mnie, gdy byłeś chory, i teraz przykro mi się z nim rozstawać. A jeszcze bardziej przykro rozstawać się z tobą, Krogulcze. Ale jadę do domu. Dalej, Hoeg! Idź do swojego prawdziwego pana! — Vetch poklepał otaka i posadził na podłodze. Zwierzątko ruszyło przed siebie, usiadło na sienniku Geda i zaczęło myć swoje futerko suchym brązowym językiem podobnym do listka. Yetch zaśmiał się, ale Ged nie potrafił się uśmiechnąć. Schylił się, głaszcząc otaka, aby ukryć

twarz.

— Myślałem, że nie przyjdziesz do mnie, Yetch — powiedział.

Nie miał zamiaru robić mu wymówek, ale Yetch odparł:

— Nie mogłem. Mistrz Ziół zabronił mi; a od zimy przebywałem z nim zamknięty w Gaju. Nie byłem wolny, póki nie zdobyłem swojej laski. Posłuchaj: gdy też będziesz wolny, przyjedź na Wschodnie Rubieże. Będę na ciebie czekał. W tamtejszych miasteczkach wesoło się żyje, a czarnoksiężnicy są mile widziani.

— Wolny… — mruknął Ged i wzruszył odrobinę ramionami, próbując się uśmiechnąć.

Yetch patrzył na niego, nie całkiem tak jak zwykle: z nie mniejszą miłością, ale zapewne z większą czarnoksięską wiedzą. Powiedział miękko:

— Nie pozostaniesz na zawsze na Kokę.

— Cóż… miałem nadzieję, że będę mógł pójść na naukę do Mistrza w Wieży, aby zostać jednym z tych, którzy szukają w księgach i gwiazdach zgubionych imion, i w ten sposób… w ten sposób nie czynić przynajmniej nic złego, jeśli już nic dobrego nie mogę…

— Zapewne — powiedział Yetch. — Nie jestem jasnowidzem, ale widzę przed tobą nie komnaty i księgi, lecz dalekie morza, ognie smoków, wieże miast i wszystko to, co widzi sokół, gdy leci wysoko i daleko.

— A za mną — co widzisz za mną? — spytał Ged i mówiąc powstał, tak że błędny ognik, który płonął pośrodku nad ich głowami, rzucił jego cień w tył, na ścianę i podłogę. Ged zwrócił twarz w bok i rzekł, zająkując się: — Ale opowiedz mi, dokąd ty się udasz, co ty będziesz robił.

— Pojadę do domu odwiedzić braci i siostrę, o której ci nieraz mówiłem. Zostawiłem ją jako małe dziecko, a wkrótce będzie obchodziła swoje święto Nadania Imienia — dziwnie jest o tym pomyśleć! A potem znajdę sobie zajęcie jako czarnoksiężnik gdzieś wśród małych wysp. Och, zostałbym dłużej i pogadał z tobą, ale nie mogę, mój statek wyrusza w rejs dziś wieczorem i przypływ już się zaczął. Krogulcze, jeśli kiedykolwiek twoja droga powiedzie na wschód, odwiedź mnie. A jeśli będziesz mnie kiedykolwiek potrzebował, sprowadź mnie, wezwij mnie moim imieniem: Estarriol.

Na te słowa Ged podniósł swoją pokrytą bliznami twarz; ich spojrzenia spotkały się.

— Estarriol — powiedział — mam na imię Ged.

Potem w milczeniu pożegnali się ze sobą; Vetch odwrócił się i zszedł do kamiennej sieni, po czym opuścił Roke.

Ged stał przez chwilę bez ruchu, jak ktoś, kto dowiedział się wielkich nowin i musi rozszerzyć swą duszę, aby je przyjąć. Wspaniałym darem było to, co ofiarował mu Vetch: znajomość jego

prawdziwego imienia.

Prawdziwego imienia mężczyzny nie zna nikt oprócz niego samego i tego, kto mu je nadał. Mężczyzna może się w ostateczności zdecydować, aby zdradzić je swemu bratu, żonie czy przyjacielowi, jednakże nawet ci nieliczni nie użyją nigdy owego imienia tam, gdzie może je usłyszeć ktoś trzeci. W obecności innych ludzi będą, tak jak inni, nazywać mężczyznę jego imieniem użytkowym, jego przydomkiem — takim imieniem, jak Krogulec, Vetch, co oznacza „wyka", albo Ogion, co oznacza „szyszka jodłowa". Jeśli zaś prości ludzie ukrywają swoje prawdziwe imię przed wszystkimi oprócz tych paru, których kochają i którym ufają bezgranicznie, tym bardziej muszą tak czynić ludzie zajmujący się czarnoksięstwem — bardziej niebezpieczni i bardziej narażeni na niebezpieczeństwo. Kto zna imię człowieka, ten ma w swojej mocy jego życie. I właśnie Gedowi, który utracił wiarę w siebie, Vetch ofiarował ten dar, na który stać tylko przyjaciela — dowód niezachwianego, nie dającego się zachwiać zaufania.

Ged usiadł na sienniku i pozwolił zgasnąć kuli błędnego ognia, od której, gdy znikała, doleciał słaby zapach bagiennego gazu. Pogłaskał otaka, który przeciągnął się rozkosznie i ułożył do snu na jego kolanach, jak gdyby nigdy nie sypiał gdzie indziej. W Wielkim Domu panowała cisza. Ged zdał sobie sprawę, że jest to przeddzień rocznicy jego własnego Przejścia, dnia, w którym Ogion nadał mu imię. Od owego dnia minęły cztery lata. Ged wspomniał chłód górskiego źródła, przez które brodził nagi i pozbawiony imienia. Pogrążył się w rozmyślaniach o innych lśniących rozlewiskach Rzeki Ar, gdzie zwykle pływał; o wiosce Dziesięciu Olch pod wielkimi, porastającymi zbocze góry lasami; o cieniach poranku padających w poprzek zakurzonej wiejskiej ulicy, o ogniu podrywającym się pod podmuchem miechów na kowalskim palenisku w zimowe popołudnie, o ciemnej i wonnej chacie czarownicy, gdzie powietrze było ciężkie od dymu i kłębiących się zaklęć. Nie myślał o tych rzeczach już od dawna. Powróciły doń teraz, w nocy, w której kończył siedemnaście lat. Wszystkie lata i miejsca, W których spędził swoje krótkie, rozbite na części życie, znalazły się w zasięgu umysłu i na powrót utworzyły całość. Nareszcie, po tym długim, gorzkim, zmarnowanym okresie wiedział raz jeszcze, kim jest i gdzie się znajduje.

Ale dokąd ma się udać w nadchodzących latach — tego nie potrafił dostrzec; i bał się ujrzeć.

Nazajutrz rano wyruszył w drogę przez wyspę, niosąc jak zwykle na ramieniu otaka. Tym razem dotarcie piechotą do Wieży Osobnej zajęło mu trzy, nie dwa dni: był śmiertelnie znużony, gdy w zasięgu jego wzroku znalazła się Wieża, wznosząca się ponad prychające, syczące wody północnego przylądka. Wewnątrz Wieży było ciemno,

tak jak pamiętał, i chłodno, tak jak pamiętał, a Kurremkarmerruk siedział na wysokim zydlu, spisując listy imion. Rzucił okiem na Geda i rzekł bez przywitania, jak gdyby chłopak nigdy się nie oddalał: — Idź do łóżka; kto zmęczony, ten głupi. Jutro możesz otworzyć Księgi Przedsięwzięć Stwórców i wyuczyć się zawartych w niej imion.

Pod koniec zimy Ged powrócił do Wielkiego Domu. Był już wtedy pasowany na czarownika i Arcymag Gensher tym razem przyjął jego hołd. Odtąd Ged zgłębiał wyższe sztuki i czary, porzucając sztuki iluzyjne na rzecz dzieł prawdziwej magii i ucząc się tego, co musiał wiedzieć, aby zasłużyć na swą laskę czarnoksiężnika. Trudność, jaką sprawiało mu poprzednio wymawianie zaklęć, znikła po paru miesiącach, a w jego ręce powróciła zręczność; mimo to me spieszył się do nauki tak jak dawniej: strach udzielił mu ostrej i długotrwałej lekcji. Jego czary nie wywoływały zresztą żadnych groźnych mocy ani konfliktów, nawet gdy wymawiał Wielkie Zaklęcia Stwarzania i Nadawania Kształtu, które są najbardziej ryzykowne. Nieraz Ged zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem uwolniony przezeń wówczas cień nie osłabł tymczasem albo jakimś sposobem nie umknął ze świata, nie nawiedzał go bowiem już więcej w snach. Ale w głębi serca wiedział, że taka nadzieja jest nierozumna. Od Mistrzów i ze starodawnych ksiąg wiedzy Ged uczył się, czego mógł, o istotach takich jak ów cień, który wtenczas uwolnił; niewiele jednak można się było o tym nauczyć. O żadnym takim stworzeniu nie pisało się ani nie mówiło wprost. W najlepszym razie trafiały się tu i ówdzie w starych księgach wzmianki o rzeczach, które mogły przypominać owego zwierza — cień. Nie był to duch człowieka i nie było to coś stworzonego przez Dawne Moce Ziemi, a mimo to sprawiało wrażenie, że ma z tym wszystkim jakieś powiązanie. W Rzeczy o Smokach, którą Ged przeczytał bardzo dokładnie, znajdowała się opowieść o starożytnym Władcy Smoków, który dostał się pod władanie jednej z Dawnych Mocy — mówiącego Kamienia, spoczywającego w dalekim północnym kraju.

„Na rozkaz Kamienia", głosiła księga, „przemówił, aby wywołać ducha z królestwa zmarłych, lecz jego czarnoksięstwo wypaczone zostało przez wolę Kamienia i wraz z duchem zjawiła się rzecz nie przywołana, która wywabiła Władcę z jego powłoki i w niej chodziła po świecie ludzi zabijając". Księga nie mówiła jednak, czym była ta rzecz, ani też nie zdradzała zakończenia opowieści. Mistrzowie zaś nie wiedzieli, skąd mógł przybyć taki cień: z Przeciw-Życia, powiedział Arcymag; ze złej strony świata, rzekł Mistrz Przemian, a Mistrz Przywołań powiedział: „Nie wiem". Mistrz Przywołań przychodził dawniej często, aby posiedzieć przy Gedzie w czasie jego choroby. Był srogi i poważny jak zawsze, ale Ged czuł teraz jego współczucie i kochał go bardzo.

— Nie wiem. Wiem o tej rzeczy tylko to: że przywołać ją mogła jedynie wielka moc, i to być może tylko jedna moc — tylko jeden głos — twój głos. Ale co to z kolei znaczy, nie wiem. Ty to odkryjesz. Musisz to odkryć albo umrzeć, gorzej niż umrzeć… — Mistrz mówił cicho i jego oczy były posępne, gdy spoglądał na Geda. — Myślałeś, będąc chłopcem, że mag to ktoś, kto potrafi uczynić wszystko. Tak i ja niegdyś myślałem. Tak myśleliśmy wszyscy. A prawda jest taka, że im bardziej rośnie prawdziwa moc człowieka, im bardziej poszerza się jego wiedza, tym bardziej zwęża się droga, którą może on kroczyć; aż wreszcie niczego już nie wybiera, lecz czyni tylko i wyłącznie to, co musi czynić…

Gdy Ged ukończył osiemnaście lat, Arcymag wysłał go na naukę do Mistrza Wzorów. O tym, co jest przedmiotem nauki w Wewnętrznym Gaju, nie mówi się wiele poza jego obrębem. Podobno nie czyni się tam wcale czarów, a mimo to miejsce to samo w sobie jest zaczarowane. Czasami drzewa Gaju są widoczne, czasami zaś nie są i nie zawsze znajdują się w tym samym miejscu i w tej samej części wyspy Roke. Podobno już same drzewa Gaju mają w sobie mądrość czarnoksięską. Podobno Mistrz Wzorów uczy się swej najwyższej magii tam, wewnątrz Gaju; gdy tylko drzewa obumrą, jego wiedza czarnoksięska obumrze również, a wówczas wody podniosą się i zatopią wyspy Światomorza, które Segoy wydźwignął z głębin w przedmitycznych czasach, zatopią wszystkie lądy, na których żyją ludzie i smoki.

Ale wszystko to tylko pogłoska; a od czarnoksiężników nie można się o tym niczego dowiedzieć.

Upływały miesiące, aż wreszcie pewnego wiosennego dnia Ged powrócił do Wielkiego Domu, nie mając pojęcia, czego odeń teraz zażądają. Przy drzwiach, które wychodzą na ścieżkę wiodącą przez pola do Pagórka Roke, natknął się na starca oczekującego u wejścia. Z początku Ged nie poznał go, ale po namyśle przypomniał go sobie jako tego, który wpuścił go do Szkoły w dniu przybycia, pięć lat temu.

Starzec uśmiechnął się, pozdrawiając go po imieniu, i zapytał:

— Czy wiesz, kim jestem?

Ged myślał właśnie przed chwilą o tym, że zawsze mówiło się Dziewięciu Mistrzów z Roke, a on znał tylko ośmiu: Mistrza Wiatrów, Sztuki, Ziół, Pieśni, Przemian, Przywołań, Imion, Wzorów. Zdawało się, że to o Arcymagu mówi się jako o dziewiątym. A przecież gdy wybierano nowego Arcymaga, w sprawie jego wyboru zebrało się Dziewięciu Mistrzów.

— Myślę, że jesteś Mistrzem Odźwiernym — powiedział Ged.

— Owszem. Ged, zdobyłeś prawo wejścia do Roke, wymawiając swoje imię. Teraz możesz zdobyć prawo odejścia stąd, wymawiając moje. — Tak rzekł starzec, uśmiechając się, i czekał. Ged stał bez

słowa.

Znał oczywiście tysiąc sposobów, sztuk i środków dowiadywania się imion rzeczy i ludzi; umiejętność taka wchodziła w skład tego wszystkiego, czego uczył się na Roke, bez niej bowiem magia na niewiele by się przydała. Ale odkryć imię maga i Mistrza — to była inna sprawa. Imię maga jest ukryte lepiej niż śledź w morzu, lepiej strzeżone niż jaskinia smoka. Zaklęcie podpatrujące natknie się na silniejsze zaklęcie, misterne fortele zawiodą, dociekania będą okrężnie udaremnione, a przemoc zostanie zwrócona zgubnie przeciw samej sobie.

— Wąskie są drzwi, które otwierasz, Mistrzu — powiedział wreszcie Ged. — Muszę chyba usiąść tu wśród pól i pościć, póki nie schudnę na tyle, aby się prześliznąć.

— Jak długo zechcesz — odparł Odźwierny uśmiechając się.

Tak więc Ged oddalił się trochę i usiadł pod olchą na brzegu Thwilburn; wypuścił otaka, który zbiegł nad wodę, aby igrać w strumieniu i przetrząsać błotniste brzegi w poszukiwaniu krabów. Słońce zniżało się, późne i jasne, wiosna bowiem była w pełni. Światła latarń i błędnych ogników zajaśniały w oknach Wielkiego Domu, a u stóp wzgórza uliczki miasta Thwil napełniły się mrokiem. Nad dachami pohukiwały sowy i nietoperze przelatywały w zmierzchu ponad strumieniem, a Ged wciąż siedział, rozmyślając nad tym, jak mógłby — przemocą, podstępem albo czarami — poznać imię Odźwiernego. Im więcej dumał, tym mniej był w stanie dostrzec pośród wszystkich sztuk czarodziejskich, jakich się wyuczył przez te pięć lat na Roke, tę jedną, która pozwoliłaby wydrzeć laka tajemnicę takiemu magowi. Położył się w polu i zasnął pod gwiazdami, wraz z otakiem, który umościł się w jego kieszeni. Gdy słońce wstało, podszedł, wciąż z pustym żołądkiem, do drzwi Domu i zapukał. Odźwierny otworzył.

— Mistrzu — rzekł Ged — nie potrafię wydobyć z ciebie twego imienia siłą, nie będąc dostatecznie silnym, i nie potrafię wydobyć go podstępem, nie będąc dostatecznie mądrym. Toteż wystarczy mi, że zostanę tutaj, aby się uczyć lub służyć, cokolwiek sobie życzysz: chyba że przypadkiem odpowiesz mi na jedno pytanie.

— Zapytaj.

— Jakie jest twoje imię?

Odźwierny uśmiechnął się i wymówił swoje imię; i Ged powtarzając je, wkroczył po raz ostatni w progi Domu.

Kiedy zeń na powrót wyszedł, miał na sobie ciężki ciemnobłękitny płaszcz, podarunek od mieszkańców Low Torning, dokąd się udawał, gdyż potrzebowano tam czarnoksiężnika. Niósł także laskę równą swemu wzrostowi, wyrzezaną z drzewa cisowego i okutą brązem. Odźwierny życzył mu szczęśliwej drogi, otwierając przed nim tylne

drzwi Wielkiego Domu, drzwi z, rogu i kości słoniowej, i Ged zszedł uliczkami Thwil do statku, który czekał nań na jasnych porannych falach.

5. SMOK Z WYSPY PENDOR

Na zachód od Roke, pomiędzy dwoma wielkimi lądami Hosk i Ensmer, leży stłoczona gromada Dziewięćdziesięciu Wysp. Najbliższa Roke jest wyspa Serd, a najdalsza to Seppish, -która znajduje się już niemal na Morzu Pelnijskim; czy jest ich w sumie dziewięćdziesiąt — to pytanie nigdy nie rozstrzygnięte, ponieważ jeśli liczyć tylko wyspy mające źródła słodkiej wody, można ich naliczyć siedemdziesiąt, jeśli natomiast brać pod uwagę każdą skałę, można się doliczyć stu i więcej; a w dodatku przypływy zmieniałyby wynik. Kanały pomiędzy wysepkami są wąskie, toteż umiarkowane przypływy i odpływy Morza Najgłębszego, napotykając tu ścieśnienia i przegrody, wznoszą się wysoko i opadają nisko; wskutek tego w miejscu, gdzie podczas przypływu mogły być trzy wyspy, w czasie odpływu bywa jedna. Mimo zresztą wszystkich niebezpieczeństw związanych z przypływami, każde dziecko umiejące chodzić potrafi tu wiosłować i ma swoją łódkę; gospodynie przepływają łodziami przez kanał, aby wypić z sąsiadką filiżankę ziółek; domokrążcy zachwalają swoje towary w rytm uderzeń wiosłami. Wszystkie tutejsze drogi to słona woda, którą przegradzają jedynie sieci, rozciągnięte od domu do domu w poprzek cieśnin dla połowu rybek zwanych turbikami — wytwarzany z nich olej jest bogactwem Dziewięćdziesięciu Wysp. Jest na nich parę mostów, nie ma zaś ani jednego większego miasta. Na każdej wysepce tłoczą się zagrody i domy rybaków; dziesięć do dwunastu wysepek tworzy wspólną gminę. Jedną z takich gmin był Low Torning, obszar wysunięty najdalej na zachód, otwierający się nie na Morze Najgłębsze, ale na zewnątrz, ku pustemu oceanowi, temu odludnemu skrajów, Archipelagu, gdzie znajduje się już tylko Pendor, wyspa spustoszona przez smoki, a poza nim rozciągają się niegościnne wody Zachodnich Rubieży.

Dom dla nowego czarnoksiężnika był już przygotowany. Stał na wzgórzu pośród zielonych pól jęczmienia, osłonięty od zachodniego wiatru przez pendikowy zagajnik, którego drzewa tonęły właśnie w czerwonych kwiatach. Od drzwi roztaczał się widok na inne strzechy, zagajniki i ogrody, na inne wyspy pełne strzech, gajów i ogrodów oraz na wijące się pomiędzy nimi niezliczone, błyszczące kanały morskie. Dom był skromny, pozbawiony okien, z glinianą podłoga, a mimo to lepszy niż ten, w którym Ged się urodził. Naczelnicy wysp z gminy Low Torning, czując lęk wobec czarnoksiężnika z Roke, prosili, aby im wybaczył ubóstwo domostwa. „Brak nam kamienia do budowy”, powiedział jeden z nich. „Nikt z nas nie jest bogaty, choć nikt nie głoduje”, dorzucił drugi, a trzeci: „Będzie tu przynajmniej sucho, panie, bo ja sam doglądałem krycia strzechą”. W oczach Geda dom był

nie gorszy od pałacu. Podziękował szczerze naczelnikom wysp, tak że cała ich osiemnastka powróciła, każdy w swojej łodzi wiosłowej, na rodzinne wyspy, aby oznajmić rybakom i gospodyniom, że nowy czarnoksiężnik to dziwny, posępny młodzieniec, który mówi mało, ale grzecznie i bez wyniosłości.

Zapewne, niewiele było powodów do wyniosłości na tej pierwszej posadzie maga, jaką Ged objął. Czarnoksiężnicy kształceni na Roke udawali się zwykle do miast lub zamków, aby służyć wielkim władcom, którzy gościli ich w wielkich domach. Ci rybacy z Low Torning normalną koleją rzeczy mieliby u siebie co najwyżej czarownicę albo prostego guślarza, który rzucałby urok na sieci, śpiewał nad nowymi łodziami oraz leczył ludzkie i zwierzęce dolegliwości. Ale w ostatnich latach Stary Smok z wyspy Pendor miał młode — i podobno dziesięć smoków miało teraz legowisko w ruinie wież Władców Morskich z Pendoru, wlokło pokryte łuską brzuchy w górę i w dół po marmurowych schodach i przez rozwalone bramy zamku. Potrzebując pożywienia na tej martwej wyspie, smoki wyleciały z niej któregoś roku, gdy podrosły i zaczął im doskwierać głód. Widziano już cztery smoki lecące nad południowo-zachodnimi wybrzeżami wyspy Hosk: nie siadały na ziemi, ale wypatrywały stajen, owczarni i osiedli ludzkich. Głód smoka budzi się powoli, lecz nasycić go trudno. Toteż naczelnicy wysp z gminy Low Torning posłali na Roke prośbę o czarnoksiężnika, który ochroniłby ich lud przed tym, co zagrażało mu spoza zachodniego horyzontu — i Arcymag osądził, że ich obawa jest całkiem uzasadniona.

— Nie ma tam wygód — mówił Arcymag Gedowi tego dnia, kiedy pasował go na czarnoksiężnika — nie ma sławy, nie ma bogactwa, zapewne nie ma też niebezpieczeństw. Pojedziesz?

— Pojadę — odparł Ged, nie tylko z posłuszeństwa. Od owej nocy na Pagórku Roke pragnął uniknąć popisywania się i sławy tak usilnie, jak usilnie przedtem do nich dążył. Teraz już bezustannie powątpiewał w swą siłę i lękał się wystawiać na próbę swą moc. Z drugiej strony, wieści O smokach zaciekawiły go ogromnie. Na wyspie Gont nie, było smoków od wielu setek lat, podobnie też żaden smok nie przelatywał w zasięg węchu, wzroku albo zaklęcia mieszkańców Roke, toteż i tam są one tylko tematem legend i pieśni, czymś opiewanym, ale nie widzianym. W Szkole Ged nauczył się o smokach wszystkiego, czego mógł, lecz co innego czytać o smokach, a co innego je spotkać. Dogodna sposobność otwierała się przed nim jasno, więc i ze szczerą ochotą odpowiedział:

— Pojadę.

Arcymag Gensher skinął wówczas głową, ale z mrocznym wyrazem twarzy.

— Powiedz mi — odezwał się wreszcie — czy lękasz się opuścić

Roke? Czy też pragniesz stąd odejść?

— I jedno, i drugie, Mistrzu. Gensher znów skinął głową.

— Nie wiem, czy postępuję słusznie wyprawiając cię stąd, gdzie jesteś bezpieczny — powiedział bardzo cicho. — Nie umiem ujrzeć twojej drogi. Kryje się cała w ciemności. Na Północy zaś istnieje jakaś moc, coś, co mogłoby cię zniszczyć, ale co to jest i gdzie się znajduje — czy na twojej przeszłej, czy przyszłej drodze — nie potrafię powiedzieć, wszystko okryte jest cieniem. Gdy przybyli tu ludzie z Low Torning, pomyślałem zaraz o tobie, bo gmina ta wydala mi się bezpieczna i na uboczu położona okolica, gdzie mógłbyś mieć czas na nabranie sił. Nie wiem jednak, czy jakiekolwiek miejsce jest dla ciebie bezpieczne, ani też dokąd prowadzi twoja droga. Nie chciałbym wyprawiać cię w głąb mroku…

Dom pod kwitnącymi drzewami wydał się jednak z początku Gedowi miejscem wystarczająco jasnym. Młodzieniec mieszkał w nim, przyglądał się często niebu na zachodzie i nastawiał swoje ucho czarnoksiężnika na szum łuskowatych skrzydeł. Ale żaden smok się nie zjawiał. Ged łowił m nadbrzeżu ryby i pielęgnował grządki w ogrodzie. Całe dnie spędzał na rozważaniu stronicy, linijki albo słowa w Księgach Wiedzy, które przywiózł z Roke, na przesiadywania na dworze, w letnim powietrzu pod drzewami pendikowymi; otak spał wtedy obok niego albo wyprawiał się na łowienie myszy w gąszczu traw i stokrotek. Ponadto Ged służył ludziom z Low Torning jako uzdrowiciel i zaklinacz pogody, ilekroć go o to poprosili. Nie przychodziło mu do głowy, że czarnoksiężnik miałby prawo czuć się upokorzony wykonywaniem tak prostych sztuk: bawił się przecież niegdyś jako dziecko gusłami pośród ludu uboższego niż ten- Ludzie z Low Torning rzadko go zresztą o coś prosili, obawiając się go, po części dlatego, że był czarnoksiężnikiem z Wyspy Mędrców, po części z racji jego milczenia i pokrytej bliznami twarzy. Choć był tak młody, było w nim coś, co sprawiało, że w jego towarzystwie czuli się nieswojo.

Mimo to Ged znalazł przyjaciela — budowniczego łodzi, który mieszkał na najbliższej od wschodu wyspie. Nazywał się Pechvarry. Spotkali się po raz pierwszy na jego nadbrzeżu, gdzie Ged przystanął, aby przyjrzeć się, jak Pechvarry stawia maszt na małej żaglówce. Cieśla, szczerząc zęby, podniósł oczy na czarnoksiężnika i powiedział:

— Cały miesiąc trwała ta robota; dopiero teraz zbliżam się do końca. Myślę sobie, że ty umiałbyś to zrobić w jednej chwili za pomocą słowa, co, panie?

— Mógłbym — rzekł Ged — ale zatonęłaby najpewniej w następnej chwili, gdybym nie podtrzymywał zaklęć. Lecz jeśli chcesz… — urwał.

— Tak, panie?

— To taka sobie zabawna sztuczka. Tej łodzi niczego nie brakuje. Ale jeśli chcesz, mógłbym rzucić zaklęcie związujące, które chroniłoby ją przed uszkodzeniem, albo zaklęcie znajdujące, które pomagałoby jej wrócić z morza do domu.

Mówił z wahaniem, nie chcąc urazić rzemieślnika, ale twarz Pechvarry'ego rozpromieniła się.

— To łódka dla mojego syna, panie, i jeśli zechciałbyś tak ją zaczarować, byłby to dowód wielkiej dobroci i życzliwości. — I wspiął się na nadbrzeże, aby od razu uścisnąć dłoń Geda i podziękować mu.

Po tym wydarzeniu często pracowali razem; Ged dołączał swoją sztukę czarodziejską do pracy ręcznej Pechvarry'ego przy budowie lub reperowaniu łodzi, w zamian zaś uczył się od rzemieślnika, jak łódź jest skonstruowana, a także, jak nią sterować bez pomocy magii; ta bowiem umiejętność zwykłego żeglowania była na Roke czymś w rodzaju uświęconego tabu. Często Ged i Pechvarry oraz jego synek Ioeth wypływali na kanały i laguny, żeglując i wiosłując na tej czy innej łodzi, póki Ged nie stał się niezłym żeglarzem, a przyjaźń pomiędzy nim a Pechvarrym nie okrzepła ostatecznie.

Pewnego razu, późna jesienią, syn budowniczego łodzi zachorował. Matka sprowadziła z wyspy Tesk czarownice, która była dobrą znachorką, i przez parę dni zdawało się, że wszystko jest w porządku. Potem, wśród burzliwej nocy, zjawił się Pechvarry, waląc w drzwi Geda i błagając go, aby przyszedł uratować dziecko. Ged popędził wraz z nim do łodzi i powiosłowali pośpiesznie, płynąc przez ciemność i deszcz do domu rzemieślnika. Tam Ged ujrzał leżące na wyrku dziecko, przykucniętą przy nim w milczeniu matkę oraz czarownicę, która kadziła dymem z korzenia corly i śpiewała Pieśń Nagiańską, co było najlepszym ze znanych jej środków leczniczych. Wyszeptała jednak do Geda:

— Czarnoksiężniku, ta gorączka to chyba róża i dziecko pewnie umrze na nią tej nocy.

Gdy Ged ukląkł i położył dłonie na dziecku, pomyślał to samo i cofnął się na moment. W końcowych miesiącach jego własnej długiej choroby Mistrz Ziół przekazał mu wiele z wiedzy uzdrowicielskiej, a pierwsze i ostatnie przykazanie tej wiedzy brzmiało: „Uzdrawiaj ranę i lecz chorobę, ale umierającemu duchowi pozwól odejść".

Matka dostrzegła jego ruch i zrozumiała jego znaczenie; zapłakała głośno z rozpaczy. Pechvarry schylił się nad nią, mówiąc:

— Nasz czarnoksiężnik Krogulec uratuje go, żono. Nie trzeba płakać! On jest teraz z nami. Potrafi to zrobić.

Słysząc matczyny lament i widząc ufność, jaka w nim pokładał Pechvarry, Ged poczuł, że nie może ich zawieść. Zwątpił w swoje własne rozeznanie i pomyślał, że może dałoby się uratować dziecko, gdyby można było obniżyć gorączkę. Powiedział:

— Zrobię, co będę mógł, Pechvarry.

Przystąpił do kąpania chłopca w zimnej deszczówce, którą, świeżo spadłą, przynieśli ze dworu, i zaczął wypowiadać jedno z zaklęć powstrzymujących gorączkę. Zaklęcie nie podziałało jeszcze i nie dobiegło do końca, gdy nagle Ged zdał sobie sprawę, że dziecko umiera w jego ramionach.

Przywołując całą swoją moc naraz i nie myśląc o sobie samym, wysłał swego ducha w pogoń za duchem dziecka, aby sprowadzić go z powrotem do domu. Wykrzyknął imię dziecka: — Ioeth! — Czując, że jakaś nikła odpowiedź dotarła do jego wewnętrznego słuchu, puścił się w dalszą pogoń i zawołał raz jeszcze. Wtedy ujrzał chłopczyka zbiegającego szybko, daleko przed nim, po ciemnej pochyłości, po zboczu jakiegoś ogromnego wzgórza. Żaden dźwięk nie mącił ciszy. Gwiazdy nad wzgórzem były takimi, jakich oczy Geda nigdy dotąd nie oglądały. Minio to znał nazwy konstelacji: Snop, Drzwi, Ten Co Się Obraca, Drzewo. Były to te gwiazdy, które nigdy nie zachodzą, które nigdy nie bledną przy nadejściu dnia. W pogoni za umierającym dzieckiem Ged zapędził się za daleko.

Wiedząc to zdał sobie sprawę, że pozostał sam na ciemnym zboczu wzgórza. Zawrócić z drogi było trudno, bardzo trudno.

Zawrócił powoli. Powoli postawił przed sobą jedną stopę, aby wspiąć się z powrotem na wzgórze, potem drugą. Szedł krok za krokiem, przymuszając się do każdego stąpnięcia. I każdy krok był trudniejszy niż poprzedni.

Gwiazdy nie drgnęły. Ponad suchym spadzistym obszarem ani razu nie powiał wiatr. W całym niezmierzonym królestwie mroku tylko Ged poruszał się, powoli wspinając pod górę. Dotarł do szczytu wzgórza i ujrzał tam niski kamienny mur. Ale za murem, naprzeciwko niego, był cień.

Cień nie miał postaci człowieka ani zwierzęcia. Był bezkształtny, ledwie widoczny, lecz szeptał coś do Geda, choć w tym szepcie nie było słów, i sięgał w jego stronę. I cień stał po stronie życia, a Ged po stronie śmierci.

Musiał albo zejść ze wzgórza w pustynne krainy i bez-świetlne miasta zmarłych, albo powrócić ku życiu przekraczając mur, za którym ten bezkształtny zły stwór czekał na niego.

Magiczna laska tkwiła w dłoni Geda; podniósł ją wysoko. Wraz z tym poruszeniem napłynęła weń siła. Gdy zbierał się do skoku przez niski kamienny mur wprost na cień, laska nagle zapłonęła białym światłem, które w tej ciemnej przestrzeni jaśniało oślepiająco. Skoczył; poczuł, że pada, i przestał widzieć.

Tymczasem Pechvarry, jego żona oraz czarownica widzieli, co następuje: młody czarnoksiężnik urwał w połowie zaklęcia i przez chwilę trzymał dziecko bez ruchu. Potem łagodnie złożył małego

Ioetha na sienniku, podniósł się i stanął bez słowa, z laską w dłoni. Naraz podniósł wysoko laskę; ta zapłonęła białym ogniem, jak gdyby trzymaj w garści błyskawicę, i wszystkie sprzęty w chacie wyłoniły się na moment z półmroku, dziwne i jaskrawe w tym krótkotrwałym świetle. Gdy z oczu patrzących ustąpiło olśnienie, ujrzeli, że młodzieniec leży skulony, twarzą do glinianej podłogi, obok siennika, na którym leżało martwe dziecko.

Pechvarry'emu wydawało się, że czarnoksiężnik też nie żyje. Żona rzemieślnika płakała, on sam zaś miał w głowie zupełny zamęt. Czarownica posiadała jednak trochę zasłyszanej wiedzy dotyczącej magii i sposobów postępowania prawdziwych czarnoksiężników; widziała przy tym, że Ged, choć leży zimny i bez życia, nie sprawia wrażenia człowieka martwego, lecz raczej kogoś chorego czy będącego w stanie odrętwienia. Zaniesiono go do domu i pozostawiono przy nim staruchę, aby miała nań baczenie i dostrzegła, czy zasnął, aby się. obudzić, czy też zasnął na zawsze.

Mały otak ukrywał się wciąż w krokwiach domu od chwili, gdy weszli nieznajomi ludzie. Pozostał tam nadal, podczas gdy deszcz bił o ściany, a ogień przygasał; noc wlokła się powoli, toteż starucha zdrzemnęła się wreszcie przy kominku. Wtedy otak spełznął z góry i zbliżył się do Geda, który leżał wyciągnięty sztywno i nieruchomo na łóżku. Otak zaczął lizać jego dłonie i przeguby, długo i cierpliwie, swoim suchym, brązowym jak liść języczkiem. Przycupnięty przy głowie Geda, lizał jego skroń, pokryty bliznami policzek i delikatnie muskał językiem jego zamknięte oczy. Pod tym miękkim dotknięciem Ged bardzo powoli zaczął się budzić. Ocknął się, nie wiedząc, gdzie był przedtem ani gdzie jest teraz, ani też czym jest blade, szare światło wokół niego — światło, które było spływającym na świat porannym brzaskiem. Wówczas otak zwinął się jak zwykłe w kłębek przy ramieniu Geda i ułożył do snu.

Później, kiedy Ged wracał myślą do owej nocy, wiedział, że gdyby nikt go nie dotknął wtedy, gdy leżał tak bez ducha, gdyby nikt w żaden sposób nie przywołał go z powrotem — byłby zapewne zgubiony na zawsze. Była to tylko niema, instynktowna mądrość zwierzęcia, które liże swojego zranionego towarzysza, aby dodać mu otuchy, a jednak w tej mądrości Ged widział coś pokrewnego swej własnej mocy, coś, co sięgało tak głęboko, jak czarnoksięstwo. Od owego czasu wierzył, że człowiek mądry to taki, który nigdy nie stroni od innych żywych stworzeń, niezależnie od tego, czy posiadają mowę, czy też nie; i później długo starał się nauczyć tego, czego można się nauczyć w milczeniu z oczu zwierząt, z lotu ptaków, z wielkich powolnych poruszeń drzew.

Po raz pierwszy udało mu się przebyć bez szwanku tam i z powrotem tę drogę, którą tylko czarnoksiężnik może przebyć z

otwartymi oczyma i której nawet największy mag nie może przebyć bez ryzyka. Ale droga powrotna przywiodła go do żalu i trwogi. Żal dotyczył jego przyjaciela Pechvarry'ego, trwoga jego samego. Nie wiedział, dlaczego Arcymag lękał się wyprawić go w świat i co zaciemniało mroczną chmurą nawet przewidywania maga co do jego przyszłości. Oczekiwała bowiem Geda właśnie ciemność, ta rzecz bez nazwy, istota nie należąca do świata, ten cień przez mego uwolniony czy stworzony. Przy murze granicznym, który w duchu oddzielał śmierć od życia, cień przez te długie lata czekał na Geda. Znalazł go tam nareszcie. Teraz będzie na jego tropie, będzie usiłował zbliżyć się do niego, przejąć w siebie jego siłę, wyssać zeń życie i oblec się w jego ciało. Wkrótce potem Ged miał sen: przyśniło mu się stworzenie podobne do niedźwiadka, bez głowy i bez twarzy. Zdawało mu się, że krążyło wokół domu, obmacując ściany w poszukiwaniu drzwi. Nie przyśniło mu się dotąd nic takiego od czasu uleczenia ran, które stwór niegdyś mu zadał. Gdy Ged się obudził, był słaby i czuł zimno, a blizny na jego twarzy i ramieniu ściągnęły się i bolały.

Odtąd zaczai się zły czas. Gdy Ged widział w snach cień albo gdy choćby tylko o nim pomyślał, czuł zawsze to samo zimne przerażenie: rozum i moc odpływały zeń, pozostawiając go bezmyślnym i zagubionym. Wściekał się na swoje tchórzostwo, ale to nic nie pomagało. Poszukiwał jakiejś obrony, lecz żadnej nie mógł znaleźć: ten stwór nie miał ciała, nie był istotą żywą, nie był duchem, nie miał imienia, nie posiadał innego istnienia prócz tego. które sam Ged mu nadał — był straszliwą mocą poza prawami słonecznego świata. Ged wiedział o tym stworzeniu tylko to, że coś przyciąga je ku niemu i że będzie próbowało spełniać swą wolę poprzez niego, jako że jest jego tworem. Ale w jakiej postaci może nadejść, skoro nie ma jak na razie własnego realnego kształtu, i w jaki sposób nadejdzie, i kiedy nadejdzie — tego Ged nie wiedział.

Wzniósł wszelkie możliwe czarodziejskie zapory wokół swego domu i wokół wyspy, na której mieszkał. Takie ściany czarów muszą być wciąż odnawiane, wkrótce więc Ged spostrzegł, że gdyby roztrwonił całą swoją siłę na te umocnienia, mieszkańcy wysp nie mieliby zeń żadnego pożytku. Co mógłby uczynić pomiędzy dwoma wrogami, gdyby smok przybył z wyspy Pendor?

Znów miał sen, ale tym razem śniło mu się, że cień jest wewnątrz domu, obok drzwi, i ze sięga ku niemu poprzez mrok, szepcząc słowa, których Ged nie rozumiał. Obudził się przerażony i posiał przez powietrze błędny ognik, który poty oświetlał swym płomieniem każdy kąt domku, póki Ged nie przekonał się, że cienia nigdzie nie ma. Potem ułożył na węglach w kominku świeże drwa i siedział w blasku ognia; dumał tak długo, słysząc, jak jesienny wiatr szeleści słomą strzechy i zawodzi w wielkich, ogołoconych z liści koronach drzew.

Dawny gniew obudził się w sercu Geda. Nie mógł ścierpieć tego bezradnego czekania, tego siedzenia w pułapce na małej wyspie i mamrotania bezużytecznych zaklęć, które miały go odgrodzić i ochronić. Jednakże nie umiał po prostu wymknąć się z potrzasku: uczynić tak znaczyłoby zawieść zaufanie mieszkańców wysp i zostawić ich bezbronnych na pastwę zagrażającego smoka. Pozostawała tylko jedna droga.

Nazajutrz rano Ged zszedł w tłum rybaków na głównej przystani Low Torning i znalazłszy tam starosty gminy powiedział doń:

— Muszę stąd odejść. Jestem w niebezpieczeństwie i narażam was na niebezpieczeństwo. Muszę sobie pójść. Dlatego też proszę cię o pozwolenie na wyjazd i zniszczenie smoków na wyspie Pendor, tak abym zakończył zadanie, jakiego się dla was podjąłem, i mógł odejść bez przeszkód. Jeśli zaś mi się nie uda, to nie udałoby mi się również, gdyby smoki tu się zjawiły, lepiej więc wiedzieć to teraz niż później.

Starosta gapił się nań z otwartą gębą.

— Krogulcze, panie mój — odezwał się — tam jest dziewięć smoków!

— Osiem z nich to podobno młode.

— Ale stary…

— Powiadam ci, muszę stąd odejść. Proszę cię o pozwolenie, abym mógł, jeśli potrafię, uwolnić was przedtem od groźby; smoków.

— Jak sobie życzysz, panie — przystał starosta ponuro.

Wszyscy, którzy słuchali tej rozmowy, uważali, że młody czarnoksiężnik pozwala sobie na szaleństwo albo akt wariackiej odwagi, toteż z markotnymi minami spoglądali na odjazd Geda, nie spodziewając się już wieści o nim. Niektórzy napomykali, że Ged ma zamiar po prostu popłynąć z powrotem przez Hosk na Morze Najgłębsze, pozostawiając ich własnemu losowi; inni, wśród nich Pechvarry, utrzymywali, że oszalał i że szuka śmierci.

W ciągu życia czterech pokoleń wszystkie statki brały kurs omijający z daleka wybrzeża wyspy Pendor. Nie przybył na nią nigdy żaden mag, aby stoczyć bój ze smokiem, wyspa leżała bowiem na nie uczęszczanym szlaku morskim, a jej władcy byli piratami, łowcami niewolników, sprawcami wojen, znienawidzonymi przez całą ludność południowo-zachodnich obszarów Światomorza. Z tej przyczyny nikt nie próbował pomścić władcy Pendoru, odkąd smok napadł nagle z zachodu na niego i na jego ludzi, gdy siedzieli w wieży przy uczcie, odkąd zalał ich płomieniami buchającymi z paszczy i wpędził do morza całą wrzeszczącą ludność miasta. Nie pomszczony, Pendor został wydany na pastwę smoka, wraz ze wszystkimi kośćmi zmarłych, z wieżami i z kosztownościami, które zrabowano dawno nieżyjącym książętom z wybrzeży wysp Paln i Hosk.

Wszystko to Ged dobrze wiedział, i nie tylko to, odkąd bowiem

przybył do Low Torning, stale miał w pamięci i przemyśliwał wszystko, czego się dotąd uczył o smokach. Gdy prowadził swoją małą łódź na zachód — nie wiosłując tym razem ani nie używając marynarskich umiejętności, których go nauczył Pechvarry, lecz żeglując czarodziejsko z magicznym wiatrem dmącym w żagiel i zaklęciem rzuconym na dziób i stępkę, aby utrzymać łódź w kursie — wypatrywał martwej wyspy wznoszącej się ponad linię morskiego horyzontu. Chciał płynąć szybko, dlatego też użył magicznego wiatru, gdyż bardziej obawiał się tego, co było za nim, niż tego, co przed nim. Lecz gdy dzień upłynął, niecierpliwość Geda przeistoczyła się z trwogi w jakąś radosną zawziętość. Nareszcie szukał tego niebezpieczeństwa z własnej woli; im bardziej się do niego zbliżał, tym pewniejszy był, że tym razem, w tej godzinie, być może przedśmiertnej, nareszcie jest wolny. Cień nie odważył się podążyć za nim w paszczę smoka. Fale, białe na wierzchołkach, sunęły po szarym morzu, szare chmury niosły się nad głową w północnym wietrze. Ged płynął na zachód z szybkim magicznym wiatrem w żaglu i wkrótce w zasięgu jego wzroku znalazły się skały Pendoru, wymarłe ulice miasta i wypalone, chylące się ku upadkowi wieże.

U wejścia do portu, w płytkiej półokrągłej zatoce, Ged uśmierzył wywołany zaklęciem wiatr i powstrzymał płynącą łódkę, tak że leżała, kołysząc się na falach. Wtedy przywołał smoka:

— Uzurpatorze z Pendoru, chodź bronić swojego skarbu!

Jego głos przepadł w szumie przybrzeżnych fal, bijących w wybrzeża barwy popiołu; ale smoki mają dobry słuch. Już po chwili jeden z nich, jakby olbrzymi czarny nietoperz o cienkich skrzydłach i kolczastym grzbiecie, wyfrunął z jakichś pozbawionych dachu miejskich ruin i zataczając koła w północnym wietrze nadleciał w kierunku Geda. Serce Geda urosło na widok stwora, który był takim mitem dla jego ludu; młodzieniec zaśmiał się i krzyknął:

— Wracaj i powiedz Staremu, żeby tu się zjawił, ty latający robaczku!

Był to bowiem jeden z młodych smoków, zrodzonych tutaj przed laty przez samicę z Rubieży Zachodnich, która złożyła swoje wielkie skórzaste jaja — jak podobno lubią to robić samice smocze — w jakiejś słonecznej, zburzonej komnacie wieży i odleciała, pozostawiając Starego Smoka z Pendoru, aby strzegł młodych, gdy już wypełzną z pękniętych błon jak złowieszcze jaszczurki.

Młody, smok nic nie odpowiedział. Nie był zbyt wielki jak na swój gatunek; mógł mieć długość czterdziestowiosłowego statku i był chudy jak robak mimo wielkiej rozpiętości swych czarnych, błoniastych skrzydeł. Nie osiągnął jeszcze dostatecznego wzrostu ani głosu, brak mu też było smoczej chytrości. Pomknął wprost na Geda stojącego w chybotliwej łódce i, rozwierając swoje długie, zębate

szczęki, spadł z nieba lotem strzały; toteż Gedowi wystarczyło jednym sprytnym zaklęciem unieruchomić i usztywnić jego skrzydła i członki, i sprawić w ten sposób, że gruchnął w morze obok jak spadający kamień. I szare morze zamknęło się nad smokiem.

Dwa smoki podobne do pierwszego wzleciały z podstawy najwyższej wieży. Tak jak pierwszy, zbliżyły się szybkim lotem wprost ku Gedowi, lecz mimo to złowił obydwa, strącił je i utopił; a nie podniósł jeszcze nawet swojej czarnoksięskiej laski.

Nie minęło wiele czasu, gdy nadleciały ku niemu z wyspy trzy następne. Jeden z nich był znacznie większy i jego paszczęka rzygała kłębiącym się ogniem. Dwa smoki pofrunęły ku Gedowi, plaskając skrzydłami, ale trzeci, ten większy, zbliżył się kolistym lotem z tyłu, bardzo chyżo, aby spalić wroga wraz z łodzią swym ognistym oddechem. Żadne zaklęcie unieruchamiające nie ogarnęłoby wszystkich trzech, gdyż dwa nadleciały z północy, a jeden z południa. W mgnieniu oka, gdy to zrozumiał, Ged uczynił czar Przemiany i pomiędzy jednym a drugim oddechem wzleciał z łodzi pod postacią smoka.

Rozpościerając szerokie skrzydła i wyciągając przed siebie szpony, starł się z dwoma smokami i spopielił je ogniem, a potem zwrócił się ku trzeciemu, większemu niż on sam i też uzbrojonemu w ogień. W wietrze wiejącym nad szarymi falami miotali się w gwałtownych skrętach, kłapali zębami, spadali nagle i rzucali się na siebie, aż powietrze wokół nich zamącił dym, czerwono prześwietlony żarem ich ognistych paszcz. Ged wzleciał nagle w górę, a smok, który pozostał niżej, rzucił się za nim w pogoń. W połowie lotu smok-Ged uniósł skrzydła, zawisł w powietrzu i rzucił się jak jastrząb z wyciągniętymi w dół szponami, zwalając się na przeciwnika i uderzając w jego szyję i bok. Czarne skrzydła zatrzepotały w popłochu i czarna smocza krew zaczęła kapać wielkimi kroplami w morze. Smok z wyspy Pendor wyrwał się prześladowcy i pofrunął niskim i niezdarnym lotem ku wyspie, gdzie ukrył się, wpełzając w jakąś studnię czy jamę w miejskich ruinach.

Natychmiast Ged przybrał swą zwykłą postać i powrócił do łodzi, było bowiem niezmiernym ryzykiem pozostawanie pod postacią smoka dłużej, niż tego wymagała potrzeba. Jego ręce były czarne od parzącej smoczej krwi; głowę miał osmaloną ogniem, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Poczekał tylko, aż mógł na nowo zaczerpnąć tchu, po czym zawołał:

— Widziałem sześć, zabiłem pięć, mówiono mi o dziewięciu: wyłaźcie, robaki!

Przez długą chwilę na wyspie nie poruszyło się żadne stworzenie ani nie odezwał żaden głos; tylko fale biły z hukiem o brzeg. Potem Ged uświadomił sobie, że najwyższa wieża z wolna zmienia swój

kształt, wybrzuszając się z jednej strony, jakby wyrastało jej ramię. Poczuł obawę przed smoczą magią, bowiem stare smoki władają wielką mocą i przebiegłością w czarach podobnych i niepodobnych do czarów ludzkich; po chwili jednak zrozumiał, że nie była to sztuczka smoka, lecz złudzenie jego własnych oczu. To, co wziął za część wieży, było ramieniem smoka z Pendoru, gdy rozprostowywał on swoje cielsko i powoli dźwigał się w górę.

Gdy smok był już na nogach, jego pokryty łuskami łeb, uwieńczony kolcami i ze zwisającym potrójnym jęzorem, wyrósł ponad zburzoną wieżę, a szponiaste przednie łapy potwora wsparły się na leżących niżej gruzach miasta. Łuski smoka były szaroczarne; odbijały światło dzienne jak rozłupany kamień.

Smok był chudy jak ogar i wielki jak pagórek. Ged wpatrywał się weń, przejęty grozą. Nie było takiej pieśni ani opowieści, która mogłaby przygotować umysł na ten widok. Ged omal nie zapatrzył się w oczy smoka i nie został usidlony; człowiek bowiem nie może spoglądać w smocze źrenice. Umknął wzrokiem przed lepkim, zielonym spojrzeniem, które go obserwowało, i wystawił przed siebie laskę wyglądającą w tej chwili jak drzazga, jak cienka gałązka.

— Ośmiu miałem synów, mały czarnoksiężniku — odezwał się potężny oschły głos smoka. — Pięciu zginęło, jeden umiera: wystarczy. Zabijając ich nie zdobędziesz mojego skarbu.

— Nie chcę twojego skarbu.

Żółty dym wydobył się z sykiem z nozdrzy potwora: był to smoczy śmiech.

— Nie chciałbyś zejść na brzeg i obejrzeć go, mały czarnoksiężniku? Jest wart obejrzenia.

— Nie, smoku.

Smoki są spokrewnione z wiatrem i ogniem, niechętnie zaś walczą ponad morzem. W tym kryła się jak na razie przewaga Geda, której nie chciał stracić; ale pas wody morskiej pomiędzy nim a wielkimi szarymi szponami nie wydawał się już teraz dostateczną ochroną.

Trudno było ustrzec się spojrzenia w głąb zielonych, bacznych oczu.

— Bardzo młody z ciebie czarnoksiężnik — rzekł smok. — Nie wiedziałem, że są ludzie, którzy swoją moc osiągają w tak młodym wieku. — Mówił, tak jak i Ged, Dawną Mową, bo ona właśnie jest do tej pory językiem smoków. Choć używanie Dawnej Mowy zmusza człowieka do mówienia prawdy — smoków to nie dotyczy. Jest to ich własny język, toteż mogą w nim kłamać, naginając prawdziwe słowa do fałszywych celów, chwytając niebacznego słuchacza w labirynt słów-luster, z których każde odbija prawdę, ale donikąd nie prowadzi. Ostrzegano przed tym często Geda i gdy smok przemówił, czarnoksiężnik słuchał go nieufnie, gotów do powątpiewania we

wszystko. Ale słowa zdawały się proste i jasne:

— Czy po to przybyłeś tutaj, aby prosić mnie o pomoc, mały czarnoksiężniku? :

— Nie, smoku.

— A jednak mógłbym ci pomóc. Będziesz potrzebował wkrótce pomocy w walce przeciwko temu, co ściga cię w ciemności.

Ged stał oniemiały.

— Czym jest to, co cię ściga? Powiedz mi jego imię.

— Gdybym mógł to nazwać… — Ged zawahał się. Żółty dym zakłębił się nad długim łbem smoka, wydobywając się z nozdrzy, z dwu okrągłych ognistych jam.

— Gdybyś mógł to nazwać, mógłbyś to zapewne ujarzmić, mały czarnoksiężniku. Może będę umiał zdradzić ci jego imię, kiedy ujrzę to z bliska. A to się zbliży, jeśli zaczekasz u brzegów mojej wyspy. To się zjawi wszędzie tam, dokąd ty przybędziesz. Jeśli nie chcesz, aby to się zbliżyło, musisz przed nim uciekać, uciekać, bez przerwy uciekać. I mimo wszystko będzie to szło w ślad za tobą. Czy chciałbyś znać jego imię?

Ged znów stał w milczeniu. Nie umiał odgadnąć, skąd smok dowiedział się o uwolnionym przezeń cieniu, ani też skąd może znać imię cienia. Arcymag powiedział kiedyś, że cień nie ma imienia. Lecz smoki mają swoją własną mądrość i stanowią rasę starszą niźli człowiek. Niewielu ludzi potrafi się domyślić, co smok wie i skąd się tego dowiedział; ci nieliczni — to Władcy Smoków. Dla Geda tylko jedno było pewne: choć smok mógł rzeczywiście mówić prawdę, choć byłby w samej rzeczy zdolny wyjawić istotę i imię owego cienia i w ten sposób dać Gedowi władzę nad nim — nawet wówczas, nawet jeśli mówił prawdę, czynił to wyłącznie dla swych własnych celów.

— Bardzo rzadko się zdarza — powiedział wreszcie młodzieniec — aby smoki chciały wyświadczać ludziom przysługi.

— Ale jest rzeczą bardzo zwyczajną — odparł smok — że koty bawią się myszami, zanim je zabiją.

— Ja jednak nie przybyłem tu, aby się bawić, czy też być czyjąś zabawką: Przybyłem, aby dobić z tobą targu.

Szpic smoczego ogona, ostry jak miecz, ale pięciokrotnie od miecza dłuższy, wygiął się łukowato ku górze jak ogon skorpiona ponad pokrytym łuską niczym kolczugą grzbietem smoka, wznosząc się wyżej niźli wieża. Smok przemówił oschle:

— Ja nie dobijam z nikim targu. Ja biorę. Co takiego możesz mi zaofiarować, czego nie potrafiłbym odebrać ci, kiedy tylko zechcę?

— Bezpieczeństwo. Twoje bezpieczeństwo. Przysięgnij, że nigdy nie polecisz na wschód od Pendoru, a ja przysięgnę, że pozostawię cię frez szwanku.

Zgrzytliwy odgłos wydobył się z gardzieli smoka, jak odległy

łoskot kamiennej lawiny spadającej pośród gór. Ogień tańczył po jego rozszczepionym na troje języku. Smok uniósł się wyżej, wyłaniając się spoza ruin.

— Ofiarujesz mi bezpieczeństwo! Grozisz mi! Czym?

— Twoim imieniem, Yevaud.

Głos Geda zadrżał przy wymawianiu tego imienia, lecz wypowiedział je wyraźnie i głośno. Na jego dźwięk Stary Smok zamarł w bezruchu. Minęła chwila, potem następna; wreszcie Ged, stojąc w swojej małej jak łupina, rozkołysanej łodzi, uśmiechnął się. Zaryzykował swym życiem, stawiając je na przypuszczenie zaczerpnięte ze starych historii o smoczej wiedzy, jakich uczył się na Roke, przypuszczenie, że smok z Pendoru jest tym samym, który ograbił zachodni Osskil w czasach Elfarran i Morreda, a potem został stamtąd przepędzony przez znającego się na imionach czarnoksiężnika nazwiskiem Elt. Przypuszczenie to okazało się trafne.

— Nasze siły są równe, Yevaud. Ty masz swoją moc: ja znam twoje imię. Zawrzesz ze mną układ?

Smok wciąż jeszcze nie odpowiadał. Przez wiele lat wylegiwał się na wyspie, gdzie napierśniki i szmaragdy walały się rozsypane w pyle pośród cegieł i kości; przyglądał się swojej czarnej, jaszczurczej dziatwie, igrającej między zmurszałymi domami i wypróbowującej skrzydła w lotach z urwisk; sypiał długo w słońcu i nie budził go nigdy głos ani żagiel. Zestarzał się. Trudno było teraz się ruszyć, stawić czoło temu niedorosłemu magowi, temu wątłemu przeciwnikowi, którego laska wywoływała grymas pogardy na paszczy starego smoka Yevauda.

— Możesz wybrać dziewięć drogich kamieni z mojego skarbu — odezwał się wreszcie głosem syczącym i skomlącym w długiej paszczęce. — Dziewięć najlepszych: wybieraj. Potem odejdź!

— Nie chcę twoich klejnotów, Yevaud.

— Gdzie się podziała ludzka chciwość? W dawnych czasach na Północy ludzie kochali błyszczące kamienie… Wiem, czego chcesz, czarnoksiężniku. Ja także mogę ofiarować ci bezpieczeństwo, bo wiem, co może cię ocalić. Znam to jedno, co może cię ocalić. Okropność idzie twoim śladem. Zdradzę ci jej imię.

Serce Geda zabiło mocniej; zacisnął w dłoni laskę, stojąc równie nieruchomo jak smok. Przez chwilę walczył z nagłą, wstrząsającą nim nadzieją.

To nie o swoje własne życie się targował. Mógł mieć nad smokiem jedną, i tylko jedną przewagę. Odsunął nadzieję i uczynił to, co uczynić musiał.

— Nie tego żądam, Yevaud.

Gdy wymawiał imię smoka, było to, jakby trzymał olbrzymiego potwora na delikatnej, cienkiej smyczy, zaciskając ją na jego gardzieli.

Mógł wyczuć odwieczną złośliwość i znajomość ludzi w spojrzeniu smoka, które na nim spoczywało, mógł widzieć stalowe szpony, każdy długości ludzkiego przedramienia, twardą jak kamień skórę, niszczący ogień, który czaił się w smoczej gardzieli; a jednak wciąż się zaciskała.

Ged znów przemówił:

— Yevaud! Przysięgnij na swoje imię, że ty ani twoi synowie nie zjawicie się na Archipelagu.

Płomienie buchnęły nagle jasno i głośno ze smoczej paszczy i smok odezwał się:

— Przysięgam na swoje imię!

Cisza zapadła na wyspie i Yevaud spuścił swój wielki łeb.

Gdy podniósł go znowu i spojrzał, czarnoksiężnika już nie było, a żagiel jego łodzi jawił się białą plamką ponad balami na wschodzie, plamką sterującą ku żyznym i obsypanym klejnotami wyspom wewnętrznych mórz. Wtedy Stary Smok z Pendoru dźwignął się w ataku wściekłości, burząc wieżę skrętem wijącego się cielska i bijąc skrzydłami, które sięgały na całą szerokość zrujnowanego miasta, Lecz był związany przysięgą — więc nie poleciał, ani wtedy, ani kiedykolwiek później w kierunku Archipelagu.

6. ŚCIGANY

Gdy tylko wyspa Pendor za jego plecami pogrążyła się za linią horyzontu, Ged, spoglądając na wschód, poczuł, że w jego serce znowu wpełza lęk przed cieniem; trudno było odwrócić się od jaskrawej grozy smoka ku owej bezkształtnej okropności, nie pozostawiającej żadnej nadziei. Ged pozwolił ucichnąć magicznemu wiatrowi i żeglował dalej z wiatrem naturalnym, teraz bowiem nie pragnął szybkości. Nie miał nawet wyraźnego planu tego, co powinien uczynić. Musiał uciekać, jak to powiedział smok; ale dokąd? Na Roke — pomyślał — tam miałby przynajmniej ochronę, a u mędrców mógł znaleźć dobrą radą.

Najpierw wszakże musiał udać się raz jeszcze do Low Torning i opowiedzieć wszystko naczelnikom wysp. Kiedy rozeszła się wieść, że po pięciu dniach Ged powrócił, naczelnicy wraz z połową ludności gminy przypłynęli i przybiegli, aby zebrać się wokół niego, wlepiać weń oczy i słuchać go. Opowiedział im swoją historią, po czym jeden z ludzi zabrał głos:

— Ale kto widział ten cud uśmiercenia smoków i udaremnienia ich zamiarów? A jeśli on…

— Cicho bądź! — rzekł szorstko starosta gminy, wiedział, jak większość słuchaczy, że czarnoksiężnik może mówić prawdą okrężnymi drogami i może zatrzymywać ją dla siebie ale jeśli; już coś mówi, to rzecz przedstawia się właśnie tak, jak mówi. Na tym bowiem polega jego sztuka. Toteż wszyscy, pełni podziwu, zaczęli zdawać sobie sprawę, że zdjęto z nich brzemię strachu; i wtedy poczęli się weselić. Stłoczyli się wokół swego młodego czarnoksiężnika i poprosili go o powtórzenie opowieści. Przybyli następni mieszkańcy wysp i znów prosili o to samo. Gdy zapadł zmrok, Ged nie musiał już powtarzać tej historii. Mieszkańcy potrafili uczynić to lepiej niż on. Wiejscy bardowie przystosowali już opowieść do starej melodii i śpiewali Pieśń o Krogulcu. Ogniska płonęły na znak radości nie tylko na wyspach Low Torning, ale i w dalszych gminach na południu i na wschodzie. Rybacy wykrzykiwali wieść z łodzi do łodzi i tak przedostawała się ona z wyspy na wyspę: — Zło zostało zażegnane, smoki nigdy nie przylecą z Pendoru!

Ta noc, ta jedna noc, była radosna dla Geda. Żaden cień nie mógł się doń przybliżyć poprzez jasność dziękczynnych ogni płonących na każdym pagórku i plaży, poprzez kręgi roześmianych tancerzy, które otaczały Geda, śpiewając na jego cześć i wymachując pochodniami w wietrznej jesiennej nocy, tak-że snopy jasnych iskier wzlatywały na mgnienie z wiatrem.

Nazajutrz Ged spotkał się z Pechvarrym, który zwrócił się doń:

— Nie wiedziałem, że jesteś tak potężny, panie.

Był w tym zdaniu lęk, ponieważ Pechvarry odważył się niegdyś zawrzeć z Gedem przyjaźń, ale był też i wyrzut. Ged nie uratował dziecka, choć uśmiercił smoki… Po tej rozmowie Ged na nowo odczuł niepokój i niecierpliwość, które zagnały go przedtem na Pendor, a teraz wypędzały z Low Torning. Następnego dnia, choć mieszkańcy zatrzymaliby go z ochotą na resztę jego życia, aby go sławić i chełpić się nim, opuścił dom na wzgórzu, nie mając żadnego bagażu prócz ksiąg, laski i otaka siedzącego mu na ramieniu.

Ged odpłynął łodzią wiosłową z paroma młodymi rybakami z Low Torning, którzy ubiegali się o zaszczyt zostania jego załogą. Przez cały czas, gdy wiosłowali pomiędzy statkami stłoczonymi w wiodących na wschód kanałach Dziewięćdziesięciu Wysp, pod wychylającymi się ponad wodą oknami i balkonami domów, wzdłuż nabrzeży wyspy Nesh, dżdżystych pastwisk wyspy Dromgan, cuchnących poletek naftowych wyspy Geath — przez cały ten czas słowo o bohaterskim czynie Geda wyprzedzało samego czarnoksiężnika. Ludzie pogwizdywali Pieśń o Krogulcu, gdy przepływał obok, współzawodniczyli w ubieganiu się o przenocowanie go i wysłuchanie opowieści młodzieńca o smokach. Kiedy wreszcie przybył na wyspę Serd, Ged poprosił kapitana o przewiezienie go na Roke, a ten skłonił się odpowiadając:

— To dla mnie zaszczyt, panie, i honor dla mojego statku!

Tak więc Ged pozostawił Dziewięćdziesiąt Wysp za swymi plecami; ale zaledwie statek wypłynął z Wewnętrznego Portu wyspy Serd i podniósł żagle, zadął silny, przeciwny wiatr ze wschodu. Było to dziwne zjawisko, gdyż zimowe niebo jaśniało, a pogoda zdawała się tego ranka ładna i ustalona. Od wyspy Roke dzieliło Serd tylko trzydzieści mil, żeglowali więc dalej i mimo że wiatr wciąż się wzmagał, nie przerywali żeglugi. Niewielki statek miał — podobnie jak większość statków handlowych z Morza Najgłębszego — wysoki sztaksel, którym można tak manewrować, aby złapać przeciwny wiatr, kapitan zaś był żeglarzem zręcznym i dumnym ze swych umiejętności. Toteż posuwali się w kierunku wschodnim, halsując to na północ, to na południe. Chmury i deszcz nadciągnęły z wiatrem, który zmieniał kierunek w dzikich porywach, tak że istniało poważne niebezpieczeństwo, iż statek stanie dęba.

— Krogulcze, panie mój — odezwał się kapitan do młodzieńca, którego usadowił obok siebie na honorowym miejscu na rufie; niełatwo było co prawda zachować godność w tym wichrze i deszczu, który moczył ich tak, że ich ciała w nasiąkniętych wodą płaszczach stały się dokuczliwie śliskie. — Krogulcze, czy mógłbyś rzec jakieś słowo temu wichrowi?

— Jak daleko jeszcze do Roke?

— Więcej niż połowa drogi. Ale przez całą ostatnią godzinę nie posunęliśmy się naprzód, panie.

Ged mówił do wiatru, który stracił nieco na sile i jakiś czas płynęło im się nie najgorzej. Potem jednak nagłe, ogromne podmuchy wionęły ze świstem z południa, zderzenie z nimi odepchnęło ich z powrotem na zachód.

Chmury na niebie rwały się i kłębiły; kapitan, ryknął z wściekłością:

— Ten durny wicher dmie we wszystkich kierunkach naraz! Tylko magiczny wiatr, panie, pomoże nam przebić się przez tę pogodą.

Ged sposępniał, ale statkowi wraz z załogą groziło przecież niebezpieczeństwo z jego powodu; wzbudził więc magiczny wiatr, który zadął w żagiel. Natychmiast statek zaczął pruć fale wprost ku wschodowi, a kapitan znowu się rozpogodził. Stopniowo jednak, choć Ged podtrzymywał zaklęcie, magiczny wiatr przycichał, stawał się coraz wątlejszy, aż wreszcie zdawało się przez chwilę, że statek znieruchomiał na falach, z żaglem obwisłym mimo nawałnicy deszczu i wichru. W tym momencie rozhuśtany bom z ogłuszającym trzaskiem zatoczył półkole; statek podał żagiel na wiatr i jak spłoszony kot dał susa na północ.

Ged złapał się mocno belki pokładowej, bo statek leżał nieomal na burcie, i wykrzyknął:

— Zawracaj na Serd, kapitanie!

Kapitan zaklął i odkrzyknął, że tego nie zrobi:

— Czarnoksiężnik na pokładzie i ja, najlepszy żeglarz floty handlowej, i ten statek, najzgrabniejszy, na jakim pływałem — i mamy zawrócić?

W tej samej chwili statek znów się okręcił, niemal tak, jakby jego kil dostał się w wir wodny; kapitan także chwycił się tylnej stewy, aby utrzymać się na pokładzie, a Ged zwrócił się doń:

— Zostaw mnie na wyspie Serd i płyń, dokąd zechcesz. To nie przeciw twojemu statkowi wieje ten wiatr, lecz przeciw mnie.

— Przeciw tobie, czarnoksiężniku z Roke?

— Czy nigdy nie słyszałeś o wietrze z Roke, kapitanie?

— No tak, ten wiatr nie dopuszcza złych mocy na Wyspę Mędrców, ale co to ma wspólnego z tobą, Pogromcą Smoków?

— To sprawa między mną a moim cieniem — odparł Ged krótko, jak przystało czarnoksiężnikowi; i nie powiedział nic więcej, gdy wracali przez morze na wyspę Serd, chyżo, z silnym wiatrem i pod przejaśniającym się niebem.

W sercu czuł ciężar i lęk, gdy szedł w stroną miasta z nabrzeży wyspy Serd. Dni ku zimie były coraz krótsze; zmierzch zapadł wcześnie. O zmierzchu niepokój Geda zawsze wzrastał, toteż zakręt każdej uliczki wydawał mu się teraz groźny, musiał uzbroić się w

męstwo, aby nie oglądać się stale przez ramię na to, co mogło podążać za nim. Udał się do Domu Morskiego wyspy Serd, gdzie podróżni i kupcy spożywali razem dobre jadło dostarczane przez okolicznych mieszkańców i gdzie mogli spać w podłużnej sali o belkowanym pułapie; taka jest gościnność dobrze prosperujących wysp Morza Najgłębszego.

Ged odłożył z obiadu kawałek mięsa i później przy kominku wywabił pieszczotliwie otaka z fałdu swego kaptura, w którym zwierzątko kuliło się przez cały ów dzień; próbował skłonić otaka do jedzenia, głaszcząc go i szepcząc doń: — Hoeg, Hoeg, mój mały, mój cichutki… — Ale zwierzątko nie chciało jeść i wpełzło w kieszeń, ukrywając się w niej. Po zachowaniu się otaka, po swojej własnej posępnej niepewności, po samym wyglądzie ciemności zalegającej w kątach wielkiej izby Ged poznał, że cień był niedaleko.

Nikt w tym domu nie znał Geda; byli tu podróżni z innych wysp, którzy nie słyszeli jeszcze Pieśni o Krogulcu. Nikt się do niego nie odzywał. Ged wybrał sobie wreszcie siennik i położył się, ale całą noc leżał z otwartymi oczyma w tej sali pod belkowanym pułapem, otoczony snem obcych ludzi. Całą noc próbował wybrać swą drogę, przemyśleć, dokąd powinien się udać, co czynić; ale każdy wybór, każdy zamiar tamowało przeczucie zguby. Na każdej drodze, którą Ged mógł się udać, czyhał cień. Tylko wyspa Roke była odeń wolna; i właśnie na Roke nie mógł popłynąć — zabraniały mu tego potężne, uczynione w dawnych czasach czary, które zapewniały bezpieczeństwo zagrożonej wyspie. To, że podniósł się przeciw niemu wiatr z Roke, było dowodem, że stwór ścigający Geda musi być teraz bardzo blisko. Ów bezcielesny stwór, ślepy na blask słońca, był istotą ze sfery pozbawionej światła, przestrzeni i czasu. Musiał iść po omacku za Gedem poprzez dni i morza świata oświetlonego słońcem, a widzialny kształt mógł przybierać- tylko we śnie i w mroku. ˆNie miał jak dotąd żadnej substancji ani formy istnienia, która mogłaby pojawić się w świetle dziennym; tak właśnie opiewają to Czyny Hode'a: „Świt stwarza wszelką ziemię i morze, z cienia wywołuje kształt, zapędza sen w mroczne królestwo". Ale gdyby cień dogonił wreszcie Geda, mógłby wyssać zeń jego moc, zabrać „mu nawet ciężar, ciepło i życie jego ciała oraz wolę, która nim rządzi.

Oto była zguba, którą Ged widział przed sobą czyhającą na każdej drodze. I wiedział, że może być pchnięty ku tej zgubie podstępem; albowiem cień, urastający w siłę, ilekroć się do Geda zbliżał, miał zapewne w tej chwili dość owej siły, aby użyć złych mocy lub złych ludzi do własnych celów — ukazując Gedowi fałszywe znaki albo przemawiając czyimś głosem. Mimo całej wiedzy Geda — w jednym z ludzi, którzy spali owej nocy w tym czy tamtym kącie izby Domu Morskiego, czaił się mroczny stwór, co znalazł w ciemnej duszy

oparcie i czekał tam, obserwując Geda i żerując, już teraz, na jego słabości, jego niepewności, jego trwodze. To było nie do wytrzymania. Musiał zaufać trafowi i uciekać tam, gdzie go traf poniesie. Przy pierwszym zimnym błysku świtu Ged wstał i pośpieszył pod blednącymi gwiazdami na nabrzeża wyspy, zdecydowany wsiąść na pierwszy odpływający z Serd statek, który go przyjmie. Jakaś galera ładowała właśnie tran; miała odpłynąć o wschodzie słońca w kierunku Wielkiego Portu na wyspie Havnor. Ged poprosił kapitana, aby go tam zabrał. Laska czarnoksiężnika jest przepustką i zapłatą na większości statków. Wzięto go chętnie na pokład i w niespełna godziną statek ruszył w rejs. Nastrój Geda poprawił się, gdy tylko po raz pierwszy podniesiono czterdzieści długich wioseł, a utrzymujące rytm wiosłowania bicie w bęben brzmiało w jego uszach jak dziarska muzyka.

Mimo to jednak nie wiedział, co będzie robił na wyspie Havnor i dokąd z niej odpłynie. Kierunek na północ był równie dobry, jak wszystkie inne. Ged sam pochodził z Północy; być może udałoby mu się znaleźć jakiś statek, który zabrałby go z Havnoru na wyspę Gont, i Ged mógłby wtedy ujrzeć znowu Ogiona. Lub mógłby też znaleźć statek płynący daleko w-kierunku Rubieży, tak daleko, że cień zgubiłby go i zaprzestał pościgu. Oprócz tego rodzaju mglistych v pomysłów Ged nie miał w głowie żadnego określonego zamiaru i nie widział sposobu postępowania, którego należałoby się trzymać. Pozostawało tylko uciekać…

Czterdzieści wioseł przeniosło statek sto pięćdziesiąt mil dalej po zimowym morzu, zanim jeszcze nastał zmierzch kończący drugi dzień podróży z Serd. Zawinęli do portu Orrimy na wschodnim wybrzeżu wielkiej wyspy Hosk, gdyż galery handlowe Morza Najgłębszego trzymają się blisko brzegów i stają na noc w portach, gdy tylko się da. Ged zszedł na ląd, było bowiem jeszcze jasno, i pogrążony w zadumie włóczył się bez celu po spadzistych uliczkach portowego miasta.

Orrimy to stare miasteczko, zbudowane solidnie z kamienia i cegły, otoczone murami dla obrony przed bezprawiem władców z głębi wyspy Hosk; składy w dokach przypominają fortece, a domy kupców mają wieże i obwarowania. Mimo to Gedowi błąkającemu się po ulicach te masywne siedziby zdawały się li tylko zasłonami, za którymi zalegał pusty mrok; a mijający go, pochłonięci swymi sprawami ludzie wydawali się nie rzeczywistymi ludźmi, lecz bezgłośnymi ludzkimi cieniami. Gdy słońce zaszło, zszedł z powrotem na nadbrzeża i nawet tam, w rozległym czerwonym blasku i wietrze kończącego się dnia, morze i ląd zdawały się, podobnie jak sam Ged, przygasłe i milczące.

— Dokąd droga prowadzi, czarnoksiężniku?

Tak zawołał do niego nagle ktoś z tyłu. Odwracając się, Ged ujrzał

mężczyznę w szarym stroju, dzierżącego laskę z ciężkiego drewna; nie była to laska czarnoksiężnika. Twarz nieznajomego osłaniał przed czerwonym światłem kaptur, ale Ged poczuł, że niewidoczne oczy spotykają się z jego oczami. Wzdrygając się i cofając nieco, wzniósł swą własną cisową laskę pomiędzy sobą a nieznajomym.

Mężczyzna zapytał łagodnie:

— Czego się lękasz?

— Tego, co idzie za mną.

— Tak? Ale ja nie jestem twoim cieniem.

Ged stał w milczeniu. Wiedział, że w samej rzeczy ten człowiek, kimkolwiek był, nie był tym, czego Ged się lękał; nie był ani cieniem, ani upiorem, ani też stworzeniem zwanym gebbeth. Pośród jałowej ciszy i zmroku, który zstąpił na świat, nieznajomy wyróżniał się nawet głosem i pewną materialnością. Odrzucił teraz kaptur. Miał dziwną, pokrytą bliznami łysą głowę i pobrużdżoną twarz. Choć podeszły wiek nie dawał znać o sobie w brzmieniu jego głosu, wyglądał na człowieka starego.

— Nie znam cię — powiedział mężczyzna w szarym odzieniu — a jednak sądzę, że być może spotykamy się nieprzypadkowo. Słyszałem niegdyś opowieść o młodzieńcu z bliznami na twarzy, który wędrując poprzez; ciemność posiadł wielką władzę, równą królewskiej. Nie wiem, czy to opowieść o tobie. Ale powiem ci jedno: udaj się na Dwór Terrenon, jeśli potrzeba ci miecza do walki z cieniami. Laska z cisowego drewna nie posłuży ci w tej potrzebie. Nadzieja walczyła w myślach Geda z nieufnością, gdy tego słuchał. Człowiek o czarnoksięskich zdolnościach wcześnie się uczy, że w gruncie rzeczy niewiele z jego spotkań ma przypadkowy charakter, niezależnie od tego, czy prowadzą do dobrego, czy do złego.

— W jakiej krainie jest ów Dwór Terrenon?

— Na wyspie Osskil.

Na dźwięk tej nazwy Ged ujrzał przez moment, dzięki kaprysowi pamięci, czarnego kruka na zielonej trawie, który spoglądał nań w górę, z ukosa, okiem jak wygładzony kamyk, i mówił; ale słów Ged nie pamiętał.

— Nazwa tej krainy ma w sobie coś mrocznego — rzekł, spoglądając wciąż na szaro odzianego mężczyznę i próbując ocenić, co to za człowiek. Było coś w jego sposobie bycia, co dawało do zrozumienia, że jest to czarownik, nawet czarnoksiężnik; i mimo że tak śmiało zwracał się do Geda, była w nim jakaś dziwaczna pokora, wyglądał: niemal na kogoś chorego, albo też więźnia czy niewolnika.

— Jesteś z Roke — odpowiedział Gedowi. — Czarnoksiężnicy z Roke nadają mroczne imiona czarom innym niż ich własne.

— Kim ty jesteś?

— Podróżnym; pośrednikiem kupca z wyspy Osskil; mam tu

interesy — odparł człowiek w szarym odzieniu. Gdy Ged nie zapytał o nic więcej, mężczyzna spokojnie życzył mu dobrej nocy i odszedł w górę wąskiej, pociętej stopniami uliczki ponad nadbrzeżem.

Ged odwrócił się niezdecydowany, czy wziąć pod uwagą ten znak, czy też nie, i spojrzał na północ. Czerwona poświata szybko spełzała ze wzgórz i z wietrznego morza. Nadchodził szary zmierzch, a tuż za nim noc.

Zdecydowawszy się nagle, Ged ruszył pośpiesznie nadbrzeżem w stronę rybaka, który składał właśnie sieci w swej płaskodennej łodzi, i zawołał doń:

— Czy znacie jakiś statek w tym porcie, który by płynął na północ — na wyspę Semel albo na Enlady?

— Ten tam długi statek jest z Osskil, możliwe, że zatrzyma się na Enladach.

Wciąż tak samo pośpiesznie Ged poszedł dalej, do wielkiego statku, który wskazał mu rybak; był to długi statek o sześćdziesięciu wiosłach, wysmukły jak wąż, z wysokim, wygiętym dziobem, rzeźbionym i inkrustowanym krążkami muszel loto, z malowanymi na czerwono pokrywami na otwory wiosłowe; runy Sifl nakreślone były na każdej z nich czarną farbą. Statek wyglądał na groźny i szybki, był gotowy do rejsu i z całą załogą na pokładzie. Ged odszukał kapitana i poprosił go o zabranie na wyspę Osskil.

— Masz czym zapłacić?

— Znam się trochę na wiatrach.

— Ja sam jestem zaklinaczem pogody. Nic nie masz? Żadnych pieniędzy?

W Low Torning naczelnicy wysp zapłacili Gedowi, jak mogli najlepiej, kawałkami kości słoniowej używanymi przez handlarzy na Archipelagu; wziął tylko dziesięć kawałków, choć chcieli dać mu więcej. Ged zaproponował je teraz Osskilczykowi, ale ten potrząsnął głową.

— My nie używamy tych liczmanów. Jeśli nie masz czym zapłacić, nie mam dla ciebie miejsca na pokładzie.

— Czy nie potrzeba ci rąk do pracy? Wiosłowałem kiedyś na galerze.

— Owszem, brakuje mi dwu ludzi. Znajdź sobie zatem ławę — powiedział kapitan i nie zwracał więcej uwagi na Geda.

I tak, złożywszy swoją laskę i worek z księgami pod wioślarską ławą, Ged stał się na dziesięć przykrych dni zimowych wioślarzem na statku z Północy. Wypłynęli z Orrimy o świcie; tego dnia Ged myślał, że nie będzie w stanie wytrwać przy pracy. Jego lewe ramię było nieco ułomne na skutek zastarzałych ran barku, całe zaś jego wiosłowanie po kanałach Low Torning nie zaprawiło go do nieubłaganego, nieprzerwanego ciągnięcia długiego wiosła galery w

takt uderzeń bębna. Jedna zmiana przy wiosłach trwała dwie eto trzech godzin, potem zaś na ławach siedziała druga grupa wioślarzy, ale wydawało się, że odpoczynek trwa akurat tyle, aby wszystkie mięśnie Geda zdążyły zesztywnieć, po czym znów trzeba było wracać do wioseł. A drugi dzień pracy był jeszcze gorszy; po nim jednak Ged uodpornił się na mozół i radził sobie wcale dobrze.

Wśród załogi nie było takiego koleżeństwa, jakie Ged zastał na pokładzie „Cienia", gdy po raz pierwszy płynął na Roke. Członkowie załóg statków andradzkich i gontyjskich są wspólnikami handlowymi, pracują razem dla wspólnego zysku; natomiast handlarze z Osskil używają niewolników lub wynajmują ludzi do wiosłowania, płacąc im drobnymi złotymi monetami. Złoto jest w wielkiej cenie na wyspie Osskil. Ale nie jest tam ono źródłem braterstwa, podobnieˆ jak wśród smoków, które także wysoko cenią złoto. Ponieważ połowa obecnej załogi składała się z niewolników zmuszanych do pracy, oficerowie statku byli właściwie ich nadzorcami, i to surowymi. Ich bicze nie lądowały nigdy na plecach wioślarza, który pracował dla zapłaty albo w zamian za przejazd; trudno wszakże o wzajemną życzliwość wśród załogi, z której jedni są chłostani, a inni nie. Towarzysze Geda niewiele się odzywali do siebie nawzajem, a jeszcze mniej do niego. Byli to przeważnie ludzie z wyspy Osskil, mówiący nie hardyckim językiem Archipelagu, ale swoim własnym narzeczem — srodzy mężczyźni o bladej cerze, czarnych obwisłych wąsach i prostych włosach. Kelub, „czerwony" — takim imieniem przezwali Geda. Choć wiedzieli, że jest czarnoksiężnikiem, nie okazywali mu względów, lecz raczej coś w rodzaju powściąganej niechęci. On sam też nie miał nastroju do nawiązywania przyjaźni. Nawet na swej ławie, ogarnięty przemożnym rytmem wiosłowania, jeden spośród sześćdziesięciu wioślarzy na statku mknącym po pustych, szarych wodach, Ged czuł się wydany na łup, bezbronny. Gdy zawijali o zmroku do obcych portów i gdy otulał się płaszczem chcąc spać, mimo zmęczenia śnił, budził się i śnił znowu; miał złe sny, których nie potrafił sobie przypomnieć po przebudzeniu, choć odnosił wrażenie, że dotyczyły statku i ludzi ze statku; toteż nie ufał nikomu z nich.

Wszyscy wolni Osskilczycy nosili u bioder długie noże; pewnego dnia, gdy cała zmiana spożywała wspólnie południowy posiłek, jeden z tych ludzi spytał Geda:

— Jesteś niewolnikiem albo krzywoprzysięzcą, Kelub?

— Ani jednym, ani drugim.

— To czemu nie masz noża? Boisz się walczyć? — pytał drwiąco ów człowiek imieniem Skiorh.

— Nie.

— Twój piesek walczy za ciebie?

— Otak — odezwał się inny, który się przysłuchiwał. — To nie

pies, tylko otak — i powiedział w języku osskilskim coś, co sprawiło, że Skiorh spojrzał spode łba i odszedł. W chwili gdy się odwracał, Ged dostrzegł jakąś zmianę na jego twarzy, jakieś zamazanie i przesunięcie rysów; jak gdyby na moment coś go zmieniło, posłużyło się nim, wyglądając z ukosa poprzez oczy na Geda. Ale już po chwili Ged ujrzał Skiorha obróconego doń twarzą; wyglądał jak zwykle, toteż młodzieniec powiedział sobie, że to, co widział przedtem, było jego własnym strachem, jego własną trwogą odbitą w cudzych oczach. Jednakże w nocy, gdy stali w porcie Esen, Gedowi przyśniło się coś i we śnie tym pojawił się Skiorh. Odtąd Ged unikał tego człowieka, jak tylko mógł, i zdawało się też, że Skiorh trzyma się odeń z dala; nie zamienili już z sobą ani słowa.

Ośnieżone szczyty Kawioru znikły za nimi na południu, zamazane mgłami wczesnej zimy. Wiosłowali dalej, mijając wylot Morza Ea, w którym dawno temu utopiła się Elfarren, a potem przepłynęli obok Enladów. Stali dwa dni w porcie Berila, Mieście Kości Słoniowej, bielejącym ponad zatoką w zachodniej części legendarnej wyspy Enlad. We wszystkich portach, do których zawijali, załoga musiała pozostawać na pokładzie statku i nie schodziła na ląd. Potem, gdy wstało czerwone słońce, wypłynęli na Morze Osskilskie, w północno-wschodnie wiatry, które dmą bez przeszkód z pozbawionego wysp przestworu Rubieży Północnych. Przez to nieprzyjemne morze przewieźli bezpiecznie swój ładunek, na drugi dzień po wypłynięciu z Berili docierając do portu Neshum, głównego ośrodka handlowego Wschodniego Osskilu.

Ged ujrzał niskie wybrzeże smagane przez słotny wiatr, szare miasteczko przycupnięte za długimi kamiennymi falochronami tworzącymi przystań, a za miastem bezdrzewne wzgórza pod zaćmionym przez śnieg niebem. Daleko odpłynęli od słonecznego Morza Najgłębszego.

Robotnicy portowi z Cechu Morskiego portu Neshum weszli na pokład, aby wyładować towar — złoto, srebro, klejnoty, cienkie jedwabie i gobeliny z Południa, wszystkie owe drogocenne wyroby, które władcy wyspy Osskil gromadzili w skarbcach — i wolnych członków załogi odprawiono. Ged zatrzymał jednego z nich, aby zapytać o drogę; aż do tej chwili podejrzliwość, jaką żywił wobec nich wszystkich, nie pozwalała mu wyjawiać, dokąd zmierza, ale teraz, sam w obcym kraju i zmuszony iść pieszo, musiał poprosić o wskazówkę. Zapytany człowiek szedł dalej niecierpliwie, odpowiadając, że nie wie, ale Sklorh, który podsłuchał pytanie, odezwał się:

— Dwór Terrenon? Na Wrzosowiskach Keksemt. Idę tą samą drogą.

Skiorh nie był towarzyszem, którego Ged byłby sobie wybrał, ale nie znając ani języka, ani drogi, nie miał wielkiego wyboru. Zresztą —

pomyślał — nie miało to wielkiego znaczenia; przybycie tutaj nie było wynikiem jego własnej decyzji. Ged był kierowany, i obecnie coś kierowało nim w dalszym ciągu. Naciągnął kaptur na głowę, wziął swoją laskę i worek i ruszył za Osskilczykiem ulicami miasteczka, a potem pod górę, stokami zaśnieżonych wzgórz. Mały otak nie chciał siedzieć na jego ramieniu, ale ukrył się w kieszeni tuniki z baraniej skóry, którą Ged nosił pod płaszczem: zawsze to robił w zimną pogodę. Wzgórza rozciągnęły się niegościnnie, faliste wrzosowiska, sięgające tak daleko, jak sięgał wzrok. Szli w milczeniu; cisza zimy spoczywała na całej okolicy.

— Jak daleko jeszcze? — zapytał Ged, gdy uszli już kilka mil; nigdzie wokoło nie widział ani śladu wioski czy zagrody i pomyślał właśnie o tym, że nie mają żywności. Skiorh odwrócił na chwilę głowę, naciągając kaptur, i odparł:

— Niedaleko.

Była to szpetna twarz, blada, z gruba ciosana i okrutna, ale Ged nie lękał się żadnego człowieka, choć mógł się lękać, tam gdzie jego przewodnikiem był taki człowiek Skinął głową i poszli dalej. Droga, którą szli, była tylko rysą na bezmiarze pokrytym cienką warstwą śniegu i bezlistnymi krzakami. Od czasu do czasu inne ścieżki krzyżowały się z tą drogą albo z niej odgałęziały. Teraz, gdy dym z kominów Neshum skrył się za wzgórzami w zmierzchającym popołudniu, nic już nie wskazywało szlaku, którym mieli iść albo który przeszli. Tylko wiatr dął niezmiennie ze wschodu. I gdy maszerowali już kilka godzin, Gedowi wydało się, że daleko na wzgórzach w kierunku północno-zachodnim, w którym wiodła ich droga, widzi na tle nieba maleńką kreseczkę bielejącą jak ząb. Ale światło krótkiego dnia szarzało i gdy droga znów się podniosła, Ged nie mógł dostrzec wyraźniej niż poprzednio tej rzeczy, wieży, drzewa czy cokolwiek to było.

— Czy idziemy tam? — zapytał, wskazując na tę rzecz.

Skiorh nie odpowiedział, lecz stąpał ciężko dalej, zakutany w swój pospolity płaszcz ze spiczastym osskilskim kapturem o futrzanym podbiciu. Ged w dalszym ciągu kroczył obok. Zaszli już daleko; czuł senność na skutek miarowego kroku, jakim maszerowali, i długotrwałego znużenia w ciągu trudnych dni i nocy spędzonych na statku. Zaczęło mu się wydawać, że szedł tak zawsze i będzie szedł wiecznie obok tej milczącej istoty, poprzez milczącą, pogrążającą się w ciemności krainę. Jego czujność i uwaga uległy przytępieniu. Kroczył jak w długim, długim śnie, w którym podąża się donikąd.

Otak poruszył się w kieszeni Geda, a nieznaczna, nieuchwytna trwoga również zbudziła się i poruszyła w sercu młodzieńca. Zmusił się, aby przemówić:

— Coraz ciemniej i śnieg pada. Jak daleko jeszcze, Skiorh?

Po chwili milczenia jego towarzysz odpowiedział, nie odwracając się:

— Niedaleko.

Jego głos brzmiał jednak nie jak głos człowieka, lecz tak, jakby to zwierz próbował przemówić, chrapliwie i gardłowo.

Ged zatrzymał się. Wszędzie naokoło w późnym, zmierzchającym świetle ciągnęły się wzgórza. Rzadki śnieg wirował z lekka opadając.

— Skiorh! — powiedział Ged; tamten przystanął i odwrócił się. Pod spiczastym kapturem nie było twarzy.

Zanim Ged zdążył wymówić swoje zaklęcie lub przywołać moc, gebbeth odezwał się swym chrapliwym głosem:

— Ged!

W tym momencie młodzieniec nie był w stanie dokonać żadnego przeistoczenia; został unieruchomiony w swej prawdziwej naturze, musiał zatem stawić czoło gebbethowi bezbronny. Nie mógł też wezwać pomocy w tym obcym kraju, gdzie nic nie było mu znane i nikt nie przybyłby na jego wezwanie. Ged stał w pojedynkę, nie odgrodzony od swego przeciwnika niczym prócz cisowej laski w prawej ręce.

Stwór, który pochłonął umysł Skiorha i wziął w posiadanie jego ciało, zmusił je, aby postąpiło krok w stronę Geda; ramiona wysunęły się ku niemu po omacku. Wściekłość i trwoga ogarnęły czarnoksiężnika; zamachnął się i ze świstem uderzył laską w kaptur skrywający ów cień w miejscu z twarzy. Kaptur i płaszcz pod tym zajadłym ciosem osunęły się niemal do samej ziemi, jak gdyby nic w nich nie było prócz wiatru, a potem, skręcając się i trzepocząc, podniosły się znowu. Ciało gebbetha, odsączone z rzeczywistej substancji, jest czymś niby powłoka lub opar w kształcie człowieka, nierealnym ciałem odziewającym cień, który jest realny. Szarpiąc się i falując jakby w podmuchach wiatru, cień rozpostarł ramiona i postąpił ku Gedowi, próbując dostać go w swe ręce, tak jak niegdyś pochwycił go na Pagórku Roke; i gdyby to uczynił, byłby odrzucił powłokę Skiorha i wszedł w Geda, pochłaniając go od wewnątrz, biorąc go w posiadanie — to właśnie było pragnieniem cienia. Ged uderzył weń znowu ciężką, dymiącą laską, odpierając go tym ciosem, ale cień powrócił; Ged uderzył raz jeszcze, a potem rzucił laskę, która płonęła i tliła się, parząc jego dłoń. Cofnął się, potem nagle odwrócił i zaczął uciekać.

Biegł, a gebbeth pędził równie szybko tuż za nim, nie mogąc go wyprzedzić, ale też nie zostając w tyle. Ged nie obejrzał się ani razu. Biegł, wciąż przez tę niezmierzoną północną krainę, gdzie nie można było znaleźć kryjówki. Gebbeth raz jeszcze zawołał nań po imieniu ochrypłym, świszczącym głosem, lecz choć poprzednio pozbawił go w ten sposób jego czarnoksięskiej mocy, nie mógł zawładnąć jego

cielesną i zmusić go do zatrzymania się. Ged biegł.

Noc gęstniała wokół ścigającego i ściganego, a cienka warstwa śniegu zawiała ścieżkę, której Ged nie mógł już dojrzeć. Czuł w oczach łomot tętna, oddech palił mu gardło; właściwie już nie biegł, ale potykając się i słaniając brnął naprzód: a jednak niezmordowany prześladowca najwyraźniej nie był w stanie go schwytać, choć postępował wciąż tuż za nim. Cień zaczął szeptać i mruczeć coś do niego, nawoływać go! Ged wiedział, że przez całe jego życie ten szept tkwił w jego uszach, tuż przed progiem słyszalności, teraz jednak mógł go słyszeć wyraźnie i musiał poddać się, musiał ulec, musiał się zatrzymać. Mimo to mozolił się dalej, z wysiłkiem wspinając się po długim, skrytym w ciemności zboczu. Zdało mu się nagle, że gdzieś przed nim widać światło i że przed sobą, gdzieś w górze, słyszy głos wołający: — Chodź! Chodź!

Usiłował odpowiedzieć, ale zabrakło mu głosu. Blade światło stało się wyraźniejsze, jaśniało teraz z bramy, która otwierała się tuż przed Gedem; nie mógł dojrzeć murów, ale widział bramę. Na jej widok zawahał się, gebbeth zaś pochwycił jego płaszcz, manipulując przy bokach Geda i usiłując złapać go z tyłu. Ostatkiem sił Ged rzucił się w to blado jaśniejące wejście. Spróbował odwrócić się, aby zamknąć bramę za sobą i nie wpuścić gebbetha, ale nie mógł utrzymać się na nogach. Słaniał się, szukając rękami jakiejś podpory. Światła migały i kręciły mu się przed oczami. Poczuł, że pada, i poczuł się schwytany w chwili, gdy upadł; ale jego świadomość w krańcowym wyczerpaniu ześliznęła się w mrok.

7. LOT SOKOŁA

Ged obudził się; przez długi czas leżał świadom tylko tego, Że przyjemnie było się obudzić — nie oczekiwał bowiem, że obudzi się znowu — i bardzo przyjemnie widzieć światło, Obfite, zwyczajne światło dnia otaczające go zewsząd. Miał uczucie, jak gdyby pływał w tym świetle albo był niesiony w łodzi przez prąd po bardzo spokojnych wodach, wreszcie zdał sobie sprawę, że leży w łóżku, ale nie w takim, w jakich dotąd sypiał. Było to łoże spoczywające na tamie, którą podtrzymywały cztery smukłe rzeźbione nogi; materace były wielkimi jedwabnymi worami puchu — to dlatego Gedowi zdawało się, że pływa — a nad tym wszystkim zwisał purpurowy baldachim dla osłony przed przeciągami. Zasłona po obu bokach była podwiązana i rozsunięta, toteż Ged miał widok na komnatę o kamiennych ścianach i kamiennej posadzce. Przez trzy wysokie okna widział gołe, brunatne wrzosowisko, z łatami śniegu tu i ówdzie, oświetlone łagodnym zimowym słońcem. Komnata musiała znajdować się wysoko nad ziemią, gdyż rozpościerał się z niej rozległy widok na okolicę.

Kołdra z wypchanego puchem atłasu ześlizgnęła się na gdy Ged usiadł; zobaczył, że jest odziany po wielkopańsku w tunikę z jedwabiu i materii tkanej ze srebrnych nici. Na krześle obok łoża leżały, czekając na niego, wysokie buty z miękkiej skóry i płaszcz oblamowany futrem pellawi. Ged siedział przez chwilę spokojny i otępiały jak ktoś pod działaniem uroku, potem zaś powstał, sięgając po laskę. Ale laski nie było.

Jego prawa ręka, choć natarta maścią i obwiązana, miała poparzenia na dłoni i palcach. Ged poczuł teraz ból od oparzeń i obolałość całego ciała.

Stał znów przez chwilę bez ruchu. Potem szepnął, nie-głośno i z niewielką nadzieją: — Hoeg… Hoeg… — Albowiem wierne, waleczne stworzonko też zniknęło, ta mała, milcząca dusza, która niegdyś wyprowadziła go z powrotem z królestwa śmierci. Czy otak był wciąż przy nim tej nocy w czasie ucieczki? Czy było to ostatniej nocy, czy wiele nocy temu? Ged nie wiedział. W jego myślach wszystko było mgliste i niezrozumiałe — gebbeth, płonąca laska, bieg, szept, brama. Nic z tego nie przypominało mu się teraz wyraźnie. Nic w tej chwili, nie było jasne. Wyszeptał imię swojego zwierzątka raz jeszcze, lecz nie mając nadziei na odpowiedź, i łzy wezbrały w jego oczach.

Gdzieś z oddali doniósł się dźwięk dzwoneczka. Drugi dzwoneczek zabrzmiał miłym dźwiękiem tuż zza ścian komnaty: Za Gedem, po drugiej stronie pokoju, otwarły się drzwi i weszła jakaś kobieta.

— Witaj, Krogulcze — powiedziała z uśmiechem.

Była młoda i wysoka, odziana w białe i srebrne szaty: srebrna siateczka wieńczyła włosy, -które opadały prosto w dół jak czarny wodospad.

Ged skłonił się sztywno.

— Nie pamiętasz mnie chyba.

— Ciebie, pani?

Nigdy przedtem nie widział pięknej kobiety, ubranej stosownie do swej urody, poza jednym w życiu wypadkiem: poza ową Panią z O, która przybyła u boku swego władcy na wyspę Roke w święto Powrotu Słońca. Tamta była jak wiotki, jasny płomień świecy, ta natomiast kobieta, którą widział teraz, była jak biały księżyc w nowiu.

— Przypuszczałam, że nie będziesz pamiętał — powiedziała z uśmiechem. — Ale choć tak łatwo zapominasz, witam cię tu jak starego przyjaciela.

— Co to za dom? — spytał Ged, wciąż sztywny, wymawiając z trudem słowa. Czuł, że trudno mu jest mówić do niej i trudno odwrócić od niej wzrok. W książęcych szatach, które miał na sobie, czuł się nieswojo, kamienie, na których stał, były obce, nawet samo powietrze, którym oddychał, było odmienne; nie był sobą, nie był tym, kim był przedtem.

— Ta warownia to Dwór Terrenon. Mój pan, imieniem Benderesk, jest władcą udzielnym tej krainy od północnego skraju Wrzosowisk Keksemt aż do Gór Os i strażnikiem drogocennego kamienia zwanego Terrenon. Co do mnie, tu na wyspie Osskil zwą mnie Serret, Srebro w ich języku. A ty, jak wiem, nosisz niekiedy imię Krogulca i pasowano cię na czarnoksiężnika na Wyspie Mędrców.

Ged spuścił wzrok na swą poparzoną dłoń i powiedział po chwili:

— Nie wiem, kim jestem. Posiadałem moc — niegdyś. Teraz chyba ją utraciłem.

— Nie! Nie straciłeś jej; odzyskasz ją dziesięćkroć większą. Jesteś tu bezpieczny przed tym, co cię tu przygnało, przyjacielu. Tę wieżę otaczają potężne mury, i to nie tylko kamienne. Tutaj możesz odpocząć nabierając na nowo sił. Tutaj możesz też znaleźć odmienną siłę i laskę, która nie spali się na popiół w twoich rękach. Zła droga może w końcu prowadzić do dobrego celu. Chodź teraz ze mną, pokażę ci naszą posiadłość.

Mówiła tak słodko, że Ged ledwie słyszał słowa, pobudzany raczej przez samą obietnicę zawartą w jej głosie. Poszedł za Serret.

Jego komnata znajdowała się istotnie wysoko na wieży, która jak ostry ząb wyrastała z wierzchołka wzgórza. Ged zszedł za Serret krętymi schodami z marmuru; szli przez wspaniałe komnaty i sale, mijali wysokie okna wyglądające na północ, zachód, południe, wschód, ponad niskimi brunatnymi wzgórzami, które ciągnęły się,

pozbawione domostw i drzew, niezmienne, aż do skraju zimowego nieba zalanego słońcem. Jedynie daleko na północy odcinały się ostro od błękitnego tła niewielkie białe szczyty, a w kierunku południowym można było się domyślić lśnienia morza.

Słudzy otwierali drzwi przed Gedem i panią, po czym odsuwali się na bok; byli to wszystko bladzi Osskilczycy o srogim wyglądzie. Serret miała jasną cerę, ale w przeciwieństwie do służby mówiła dobrze po hardycku, nawet, jak się zdawało Gedowi, z gontyjskim akcentem. Później, tego samego dnia, zaprowadziła go przed oblicze swego małżonka Bendereska, Władcy Terrenonu. Trzykrotnie od niej starszy, biały i chudy jak kość, o chmurnych oczach, władca Benderesk pozdrowił Geda z surową, chłodną uprzejmością, prosząc go, aby został w gościnie tak długo, jak zechce. Potem nie miał do powiedzenia wiele więcej; nie zapytał Geda o nic, co by dotyczyło jego podróży lub wroga, przed którym tutaj uciekł; podobnie i Serret nie zadała ani jednego pytania na ten temat.

Jeśli nawet było to dziwne, stanowiło tylko część dziwności, jaka cechowała to miejsce i jego, Geda, w nim obecność. Umysł czarnoksiężnika wciąż chyba nie był całkiem jasny. Ged nie potrafił widzieć rzeczy zwyczajnie. Znalazł się w tej warownej wieży przypadkiem, a jednak w przypadku była jakaś celowość; albo też dostał się tu celowo, a mimo to cała celowość objawiła się jedynie dzięki przypadkowi. Wybrał się był w drogę na Północ; nieznajomy w Orrimy poradził mu szukać tu pomocy; czekał na niego osskilski statek; za przewodnika posłużył Skiorh. Jak wiele z tego było dziełem cienia, który Geda ścigał? A może nic tu nie było dziełem cienia; może obaj, Ged i jego prześladowca, zostali tu przyciągnięci przez jakąś inną moc, może Ged szedł za tą przynętą, a cień szedł za nim i zawładnął Skiorhem, czyniąc zeń swoją broń, kiedy nadeszła właściwa chwila? Musiało tak być, bowiem z pewnością cień, jak powiedziała Serret, nie miał dostępu do Dworu Terrenon. Ged nie czuł żadnej oznaki ani groźby jego przyczajonej obecności, odkąd obudził się w tej wieży. Ale co w takim razie przywiodło go tutaj? Nie było to bowiem miejsce, do którego trafia się przez przypadek; Ged zaczynał to rozumieć mimo całej ospałości swych myśli. Żaden inny przybysz nie podchodził do tych bram. Wieża stała na pustkowiu, odosobniona, zwrócona tyłem ku drodze prowadzącej do Neshum, które było najbliżej położonym miastem. Nikt nie przybywał do warowni, nikt jej nie opuszczał. Jej okna spoglądały z góry na pustkowie.

Z owych okien wyglądał Ged, gdy spędzał samotnie dzień po dniu w swojej komnacie u szczytu wieży, otępiały, przybity i zziębnięty. W wieży było wciąż zimno mimo wielu dywanów, gobelinowych obić, bogatych okryć futrzanych i szerokich marmurowych kominków. Było to zimno przenikające do kości, do szpiku, zimno, którego nie można

się było pozbyć. A i w sercu Geda zagnieździł się zimny wstyd i nie dawał się usunąć, gdy młodzieniec myślał wciąż o tym, jak zmierzył się ze swym wrogiem, poniósł porażkę i uciekł. W jego myślach zbierali się wszyscy Mistrzowie z Roke. z chmurnym Arcymagiem Gensherem pośrodku, byli też z nimi Nemmerle i Ogion, i nawet czarownica, która nauczyła Geda pierwszego zaklęcia: wszyscy wpatrywali się w niego, a on wiedział, że zawiódł ich zaufanie. Usprawiedliwiał się, mówiąc: „Gdybym wtedy nie uciekł, cień wziąłby mnie w posiadanie; miał już całą siłę Skiorha i część mojej, nie mogłem go więc pokonać: cień znał moje imię. Musiałem uciekać. Gebbeth czarnoksiężnik byłby straszną siłą wywołującą zło i zniszczenie. Musiałem uciekać". Ale nikt z tych, którzy słuchali w jego myślach, nie odpowiadał. Ged Wpatrywał się w śnieg, rzadki i nieustanny, padający nad widoczną z okna pustą okolicą, i czuł, jak rośnie w nim ospałe zimno, aż zdawało mu się, że poza czymś w rodzaju znużenia nie pozostało w nim żadne uczucie.

Tak przeżył wiele dni, w poczuciu własnego nieszczęścia unikając ludzi. Kiedy wreszcie wyszedł ze swej komnaty i zjawił się na dole, był milczący i skrępowany. Piękność Pani Zamku przyprawiała go o zmieszanie, a w tym bogatym, zadbanym, uporządkowanym, dziwnym dworze czuł się z krwi i kości wiejskim pastuchem.

Zostawiano go w spokoju, kiedy chciał być sam, a kiedy nie mógł już znieść rozmyślań i wpatrywania się w padający śnieg, Serret spotykała się z nim często w jednej z półkolistych sal, obwieszonej gobelinami i oświetlonej ogniem z kominka, na niższym piętrze wieży, i tam rozmawiali. Nie było wesołości w Pani Zamku; nigdy nie śmiała się, choć często się uśmiechała; a jednak umiała sprawić niemalże jednym uśmiechem, że Ged pozbywał się skrępowania. W jej towarzystwie zaczynał zapominać o swej sztywności i swoje hańbie. Niebawem zaczęli spotykać się codziennie, aby długo, spokojnie i leniwie rozmawiać przy kominku albo pod oknem którejś z wysokich komnat wieży, z dala od służek, które zawsze dotrzymywały Serret towarzystwa.

Stary władca przebywał na ogół w swych własnych komnatach, wychodząc z nich tylko rano; spacerował wtedy tam i z powrotem po zaśnieżonych wewnętrznych podwórcach warownego zamku, jak stary czarownik, który spędził całą noc na przygotowywaniu uroków. Gdy wraz z Gedem i Serret jadł wieczerzę, siedział w milczeniu, ogarniając czasem swą młodą żonę zimnym, zawistnym spojrzeniem. Wtedy Ged współczuł jej. Była jak zamknięta w klatce biała łania, jak biały ptak o podciętych skrzydłach, Jak srebrny pierścień na palcu starca. Była jedną z kosztowności w skarbcu Bendereska. Gdy Pan Zamku ich opuszczał, Ged zostawał z nią, próbując dodać Serret otuchy w jej osamotnieniu, podobnie jak ona dodawała otuchy jemu.

— Co to za drogi kamień, od którego pochodzi nazwa waszego zamku? — spytał jej, gdy siedzieli rozmawiając nad opróżnionymi złotymi talerzami i pucharami w przepaścistej, oświetlonej blaskiem świec sali jadalnej.

— Nie słyszałeś o nim? To coś bardzo sławnego.

— Nie słyszałem. Wiem tylko, że władcy z Osskil posiadają sławne skarby.

— Ach, ten klejnot przyćmiewa je wszystkie. Chodź, chcesz go zobaczyć?

Uśmiechnęła się, z miną kpiącą i śmiałą, jak gdyby lekko przestraszona tym, co robi, i wyszła wraz z młodzieńcem, z sali; poprowadziła go przez wąskie korytarze w podstawie wieży, a potem schodami w podziemie, do zamkniętych drzwi, których Ged nie widział nigdy przedtem. Drzwi te otworzyła srebrnym kluczem, podnosząc przy tym oczy na Geda z tym samym uśmiechem, jakby ośmielała go, aby szedł z nią dalej. Za tymi drzwiami był krótki korytarzyk i następne drzwi, które otworzyła złotym kluczem, a za nimi kolejne, trzecie drzwi, które otworzyła jednym z Wielkich Słów — zaklęć rozwiązujących. Za tymi ostatnimi drzwiami blask świecy ukazał im małe pomieszczenie podobne do więziennego lochu: posadzka, ściany, sufit całe były z nie. ociosanego kamienia, bez sprzętów, nagie.

— Widzisz go? — spytała Serret.

Gdy Ged rozglądał się po pomieszczeniu, jego oko czarnoksiężnika dostrzegło jeden kamień spośród tych, które tworzyły posadzkę. Był chropawy i wilgotny jak pozostałe — ciężki, niekształtny brukowiec; a jednak Ged poczuł jego moc, jak gdyby kamień przemówił doń na głos. Zaparło mu dech i przez chwilę ogarnęły go mdłości. To był kamień węgielny wieży. To było centrum — i było w nim zimno, przejmująco zimno; nic nie byłoby w stanie ogrzać tego małego pomieszczenia. Była to rzecz niezmiernie stara: stary i straszliwy duch tkwił uwięziony w tej bryle kamienia. Ged nie odpowiedział Serret twierdząco ani przecząco, lecz stał bez ruchu; po chwili Serret, rzucając nań szybkie, ciekawe spojrzenie, wskazała na kamień.

— Oto Terrenon. Czy cię dziwa, że trzymamy tak drogocenny kamień schowany pod kluczem w naszym najgłębszym skarbcu?

Ged wciąż nie odpowiadał: stał niemy i przezorny. Było całkiem możliwe, że poddawała go próbie; pomyślał jednak, że Serret nie ma pojęcia o właściwościach kamienia, jeśli mówi o nim tak lekko. Nie wiedziała o kamieniu dostatecznie wiele, aby się go lękać.

— Opowiedz mi o jego mocach — powiedział wreszcie.

— Terrenon powstał, zanim jeszcze Segoy wydźwignął wyspy świata z Morza Otwartego. Powstał wtedy, kiedy powstawał sam

świat, i przetrwa aż do końca świata. Czas nic dla niego nie znaczy. Jeśli położysz na nim dłoń i zadasz „mu pytanie, on odpowie zależnie od mocy, która tkwi w tobie. Ma głos, jeśli umie się go słuchać. Będzie mówił o rzeczach, które były, są i będą. Zapowiedział twoje przybycie na długo przedtem, zanim zjawiłeś się w tej krainie. Czy zadasz mu teraz jakieś pytanie?

— Nie.

— Odpowie ci.

— Nie ma takiego pytania, które chciałbym mu zadać.

— Mógłby ci powiedzieć — rzekła Serret swym łagodnym głosem — jak masz pokonać swojego wroga.

Ged stał bez słowa.

— Czyżbyś lękał się kamienia? — zapytała, jakby z niedowierzaniem, a on odpowiedział:

— Tak.

W nieubłaganym zimnie i ciszy lochu otoczonego kolejnymi ścianami czarów i ścianami z kamienia, w świetle jednej świecy, którą trzymała w dłoni, Serret obrzuciła Geda spojrzeniem iskrzących się oczu.

— Krogulcze — powiedziała — ty się nie boisz.

— Ale nie będę rozmawiał z tym duchem — odparł Ged i patrząc jej wprost w twarz, mówił poważnie i śmiało:

— Ten duch, pani, jest zamknięty w kamieniu, zaś kamień otaczają zaklęcia wiążące, zaklęcia oślepiające, czary zamykające i ochronne, a wreszcie potrójne Warownie mury stojące na pustkowiu — nie dlatego, że kamień jest drogocenny, ale że może zdziałać wiele zła. Nie wiem, co ci powiedziano o tym kamieniu, gdy tu przybyłaś. Ale ty, tak młoda i tak szlachetnego serca, nie powinnaś nigdy dotykać tej rzeczy ani nawet na nią patrzeć. To nie przyniesie ci nic dobrego.

— Dotykałam go już. Mówiłam do niego i słyszałam jego mowę. On nie czyni mi krzywdy.

Odwróciła się; wyszli przez drzwi i korytarze, póki w świetle pochodni na szerokich schodach wieży Serret nie zdmuchnęła świecy. Nie mówiąc wiele, rozstali się.

Tej nocy Ged spał mało. To nie myśl o cieniu nie dawała mu zasnąć; przeciwnie, myśl tę wyparł nieomal z jego umysłu powracający wciąż obraz kamienia, na którym spoczywała wieża, i wizja twarzy Serret, zwróconej ku niemu i okrywającej się w blasku świecy -to jasnością, to cieniem. Wciąż na nowo Ged czuł na sobie jej wzrok i usiłował rozstrzygnąć, jakie było spojrzenie Serret, gdy odmówił dotknięcia kamienia — pogardliwe czy urażone. Gdy wreszcie ułożył się do snu, jedwabna pościel łoża była zimna jak lód i raz po raz budziły go mroczne myśli o kamieniu i o oczach Serret.

Nazajutrz znalazł ją w półkolistej sali z szarego marmuru, oświetlonej właśnie przez zachodzące słońce; „tutaj Serret często spędzała popołudnia t dworkami przy grach lub przy krosnach. Zwrócił się do niej:

— Pani, obraziłem cię. Żałuję tego.

— Nie — zaprzeczyła w zadumie i powtórzyła: — Nie… — Odprawiła towarzyszące jej służki i gdy zostali sami, odwróciła się ku Gedowi. — Mój gościu, mój przyjacielu — powiedziała — wzrok masz bardzo bystry, lecz chyba nie dostrzegasz wszystkiego, co należy. Na wyspie Gont, na wyspie Roke uczą wysokich kunsztów czarnoksięskich. Nie uczą jednak wszystkich kunsztów. Tu jest Osskil, Kraina Kruków; to nie kraina hardyoka: magowie ani nią nie rządzą, ani nie mają o niej wielkiego pojęcia. Zdarzają się tu sprawy, z którymi nie mieli do czynienia uczeni Mistrzowie z Południa, i istnieją tu rzeczy nie wymienione w spisach Mistralów Imion, Czego Człowiek, nie zna, tego się lęka. Lecz ty nie masz czego się lękać tu, na Dworze Terrenon. Ktoś słabszy istotnie mógłby się lękać. Nie ty. Ty przyszedłeś na świat z mocą zdolną zapanować nad tym, co tkwi w zamkniętym na cztery spusty lochu. To pewne. Właśnie dlatego jesteś tu teraz.

— Nie rozumiem. …

— Oto dlaczego mój pan Benderesk nie był z tobą całkowicie szczery. Ja będę szczera. Chodź, usiądź tu przy mnie.

Usiadł obok niej w głębokiej, wyścielanej poduszkami niszy okiennej. Gasnący blask słońca padał poziomo przez okno, zalewając ich jasnością, w której nie było ciepła; na wrzosowiskach w dole leżał, pogrążając się już w cieniu, nie stopniały śnieg, który spadł ostatniej nocy — przyćmiony biały całun przykrywający ziemię.

Serret mówiła teraz bardzo cicho:

— Benderesk to władca i spadkobierca Terrerionu, ale nie umie zrobić z niego użytku, nie potrafi go zmusić, aby w pełni służył jego woli. Ja też nie potrafię, ani sama, ani wspólnie z nim. Żadne z nas dwojga nie posiada jednoczęˆ śnie i umiejętności, i mocy. Ty masz jedno i drugie.

— Skąd to wiesz?

— Od samego kamienia! Mówiłam ci, że przepowiedział twoje przybycie. On, kamień, zna swojego pana. Czekał na twoje przyjście. Zanim jeszcze się urodziłeś, on czekał już na ciebie, na kogoś, kto umie nim władać. A ten, kto potrafi zmusić Terrenon, aby odpowiadał na jego pytania i spełniał jego życzenia, posiada władzę nad swym własnym przeznaczeniem: siłę, którą zmiażdży każdego wroga, czy to śmiertelnego, czy z tamtego świata: posiada dar jasnowidzenia, wiedzę, bogactwo, władzę i ma na swoje rozkazy sztukę czarnoksięską, która mogłaby upokorzyć samego Arcymaga!

Cokolwiek z tego zechcesz wybrać, wiele lub mało — możesz mieć za darmo.

Raz jeszcze podniosła ku niemu swoje dziwne oczy i jej spojrzenie wpiło się weń tak, że zadrżał, jakby przeniknięty zimnem. Mimo to był w jej twarzy lęk, jak gdyby szukała jego pomocy, ale była zbyt dumna, aby o nią prosić. Ged był oszołomiony. Serret, mówiąc, położyła dłoń na jego ręce: jej dotknięcie było lekkie, dłoń wydawała się wąska i biała na ciemnej, mocnej dłoni Geda Powiedział tonem usprawiedliwienia:

— Serret! Nie posiadam takiej mocy, jak sądzisz — to, co miałem niegdyś, zmarnowałem. Nie mogę ci pomóc, na nic ci się nie przydam. Ale wiem jedno: Stare Moce ziemi nie są przeznaczone do ludzkiego użytku. Nie zostały nigdy oddane w nasze ręce; w naszych rękach mogą czynić tylko zniszczenie. Złe środki wiodą do złego celu. Nic mnie tu nie przyciągnęło, natomiast zostałem przygnany i siła, która mnie gnała, działa na moją zgubę. Nie mogę ci pomóc.

— Ten, kto trwoni swoją moc, jest nieraz pełen wielekroć większej mocy — powiedziała uśmiechając się, jak gdyby jego lęki i skrupuły wydawały jej się dziecinne. — Wiem może więcej od ciebie o tym, co cię tu przywiodło. Czy na ulicach Orrimy nie zwracał się do ciebie pewien człowiek? To był posłaniec, sługa Terrenonu. On sam był niegdyś czarnoksiężnikiem, ale odrzucił laskę, aby służyć potędze większej niż moc jakiegokolwiek maga. A ty przybyłeś na Osskil i na wrzosowiskach próbowałeś walczyć z cieniem swoją drewnianą laską; już prawie nie byliśmy w stanie cię uratować, gdyż ten stwór, co cię ściga, jest przebieglejszy, niż sądziliśmy, i zdążył ci już odebrać wiele siły… Tylko cień może zwalczyć cień. Tylko ciemność może pokonać mrok. Posłuchaj, Krogulcze! Czego zatem potrzebujesz, aby pokonać ów cień, który czeka na ciebie za tymi murami?

— Potrzebuję czegoś, czego nie mogę znać. Jego imienia.

— Terrenon, który zna wszystkie narodziny i zgony, wszystkie istnienia przed i po śmierci, a także to, co nie narodzone i nieśmiertelne, który zna świat jasności i świat mroku, powie ci to imię.

— A cena?

— Nie trzeba nic płacić. Powiadam ci, że będzie ci posłuszny, będzie ci służył jak niewolnik.

Wstrząśnięty i udręczony, Ged nie odpowiadał. Serret trzymała teraz jego dłoń w swoich, spoglądając mu w twarz. Słońce zapadło w mgły, które szarzały na horyzoncie, i powietrze również zszarzało, ale twarz Serret jaśniała aprobatą i triumfem, w miarę jak przypatrywała się Gedowi, dostrzegając słabnącą w nim wolę. Szepnęła cicho:

— Będziesz potężniejszy niż wszyscy ludzie, będziesz królem pośród nich. Będziesz panował, a ja będę panowała z tobą…

Nagle Ged powstał i postępując krok naprzód, stanął w miejscu, skąd mógł widzieć, tuż za wycięciem długiej ściany komnaty, obok drzwi, Władcę Terrenonu, który stał przysłuchując się i uśmiechając z lekka.

Oczy Geda przejrzały; jego umysł także. Popatrzył z góry na Serret.

— Pokonać mrok może światło — powiedział zająkując się — tylko światło.

Gdy to mówił, zrozumiał — tak jasno, jakby jego słowa były ukazującym mu to światłem — jak w samej rzeczy został tu przyciągnięty, zwabiony, jak wykorzystywali jego lęk, aby wieść go dalej, i jak, mając go już tutaj, zatrzymaliby go na zawsze. Ocalili go przed cieniem, istotnie, ponieważ nie chcieli oddać go cieniowi w posiadanie, zanim Ged nie stanie się niewolnikiem kamienia. Z chwilą gdy moc kamienia zawładnęłaby wolą Geda, wpuściliby cień w obręb murów, bowiem gebbeth jest lepszym niewolnikiem niż człowiek. Gdyby raz dotknął kamienia albo doń przemówił, byłby ostatecznie zgubiony. Jednakże, podobnie jak cień nie całkiem był w stanie doścignąć go i nim zawładnąć, tak i kamień nie był w stanie go wykorzystać — do końca. Ged prawie już ustąpił, ale nie całkiem. Nie zgodził się na to. Bardzo trudno jest złu pojmać duszę, która się na to nie zgadza.

Stał teraz pomiędzy dwojgiem tych, którzy ustąpili, którzy się zgodzili, i spoglądał to na jedno z nich, to na drugie, gdy Benderesk podszedł bliżej.

— Mówiłem ci — rzekł suchym głosem do swojej żony Władca Terrenonu — że on wyśliźnie się z twoich rąk, Serret. Sprytne błazny z tych waszych gontyjskich czarowników. A i ty zbłaźniłaś się, kobieto z Gontu, zamierzając oszukać i jego, i mnie, zamierzając rządzić nami obydwoma przy pomocy swej piękności i wykorzystać Terrenon do swych własnych celów. Ale ja jestem Władcą Kamienia, ja, i oto co czynię wiarołomnej żonie: Ekavroe ai oelwantar…

Było to zaklęcie Przemiany; długie ręce Bendereska podniosły się, aby przeobrazić skuloną kobietę w coś szkaradnego, w świnię, psa albo śliniącą się wiedźmę. Ged postąpił naprzód i zmusił do opuszczenia uniesione ręce władcy uderzeniem swoich własnych rąk, wypowiadając przy tym tylko jedno krótkie słowo. I choć nie miał laski, choć stał na obcym terenie, na złym terenie, w królestwie mocy ciemności — jego wola wzięła jednak górę. Benderesk stał nieruchomo, z posępnymi i niewidzącymi oczyma utkwionymi nienawistnie w Serret.

— Chodź — powiedziała Serret drżącym głosem — Krogulcze, chodź prędko, zanim on będzie w stanie przywołać Sługi Kamienia.,.

Jakby odbrzmiewając echem, poprzez wieżę, przez kamienie

posadzki i ścian dobiegł szept — suchy drżący pomruk, jak gdyby sama ziemia miała przemówić.

Serret chwyciła dłoń Geda i popędziła razem przez korytarze i sale, a potem zbiegli długimi kręconymi schodami. Wyszli na podwórzec, gdzie ostatnie srebrzyste światło dnia unosiło się jeszcze ponad zabrudzonym, zdeptanym śniegiem. Trzej słudzy zamkowi zastąpili im drogę z ponurym, badawczym wejrzeniem, jak gdyby podejrzewali jakąś intrygę tych dwojga przeciw swemu panu.

— Robi się ciemno, pani — rzekł jeden, a drugi dodał: — Nie możesz, pani, teraz wyjeżdżać.

— Precz z mojej drogi, plugastwo! — krzyknęła Serret i przemówiła w syczącym języku osskilskim. Mężczyźni odskoczyli od niej i wijąc się, przypadli do ziemi; jeden z nich zawył w głos.

— Musimy wyjść przez bramę, nie ma innego wyjścia na zewnątrz. Czy możesz dostrzec bramę? Czy możesz ją znaleźć, Krogulcze?

Szarpała go za rękę, jednak Ged wahał się.

— Jaki urok rzuciłaś na tych ludzi?

— Nalałam w szpik ich kości gorącego ołowiu; umrą od tego. Prędzej, mówię ci, on wypuścił Sługi Kamienia, a ja sama nie mogę znaleźć bramy — jest zamaskowana potężnymi czarami. Szybko!

Ged nie wiedział, o co chodzi Serret, on sam bowiem mógł widzieć zaczarowaną bramę tak wyraźnie, jak kamienne sklepione wyjście z podwórca, poprzez które ją oglądał. Poprowadził Serret przez to wyjście, potem po nie tkniętym stopą śniegu zewnętrznego dziedzińca i wreszcie, wymawiając zaklęcie Otwarcia, przeprowadził ją przez bramę w magicznym murze.

W chwili gdy wydostali się sklepionym wyjściem ze srebrzystego półmroku Dworu Terrenon, Serret zmieniła się.

Nie była mniej piękna w posępnym świetle wrzosowisk, ale jej urodę skaził wygląd zawziętej czarownicy; i Ged poznał ją nareszcie — córkę władcy z Re Albi, córkę czarodziejki z Osskil, tę, która naigrawała się zeń na zielonych łąkach ponad domem Ogiona, dawno temu, i wysłała go, aby przeczytał zaklęcie wyzwalające cień. Nie zaprzątał sobie tym jednak myśli, rozglądał się bowiem teraz naokoło, ze wszystkimi zmysłami w pogotowiu, szukając owego wroga-cienia, który miał czekać na niego gdzieś poza obrębem magicznych murów. To mógł być wciąż jeszcze gebbeth przyodziany w zwłoki Skiorha albo też ów cień mógł się. ukrywać w gęstniejącej ciemności czekając, aż dopadnie Geda i stopi swą bezkształtność z jego żywym ciałem. Ged wyczuwał bliskość cienia, lecz go nie widział. Wpatrując się, dostrzegł jednak o kilka kroków od bramy coś małego i ciemnego, na wpół zagrzebanego w śniegu. Nachylił się, a potem delikatnie podniósł to w obu dłoniach. Był to otak; jego gładkie,

krótkowłose futerko było całe zlepione krwią, a drobne ciałko leżało lekkie, sztywne i zimne w rękach Geda.

— Zmień- swą postać! Zmień postać, to one! — krzyknęła przeraźliwie Serret, chwytając go za ramię i wskazując na wieżę, która sterczała za nimi w zmierzchu jak smukły, biały ząb. Z wąskich niby szczeliny okien przy podstawie wieży wypełzały ciemne stwory; trzepotały długimi skrzydłami, powoli machały nimi i zatoczywszy krąg nad murami nadlatywały w stronę Geda i Serret, którzy stali bezbronni na zboczu wzgórza. Rzężący szept, który słyszeli przedtem wewnątrz zamku, przybrał na sile, przeszedł w drganie i pojękiwanie ziemi pod ich stopami.

Gniew wytrysnął w sercu Geda, gorąca furia nienawiści do wszystkich tych okrutnych, trupich stworów, które wciąż oszukiwały go, chwytały w pułapki, dościgały.

— Zmień postać! — krzyknęła doń Serret i sama, jednym tchem wypowiadając zaklęcie, pomniejszyła się i przeobraziła w szarą mewę, po czym pofrunęła. Ale Ged pochylił się i zerwał źdźbło dzikiej trawy, które sterczało wyschnięte i kruche ze śniegu w miejscu, gdzie leżał martwy otak. Podniósł to źdźbło i gdy przemówił do niego głośno w Prawdziwej Mowie, wydłużyło się i zgrubiało; gdy skończył mówić, trzymał w dłoni wielką laskę — laskę czarnoksiężnika. Tym razem nie zapłonęła czerwono-jadowitym ogniem na całej swej długości, gdy czarne, trzepoczące się stwory z Dworu Terrenon rzuciły się na Geda, a on bił je laską po skrzydłach; rozjarzyła się jedynie białym ogniem magicznym, który nie parzy, lecz tylko przepędza mrok.

Stwory natarły ponownie: niezdarne bestie, wywodzące się z epok, kiedy nie było jeszcze ptaków, smoków ani ludzi, od dawna już zapomniane przez światło dzienne, lecz na powrót przywołane przez odwieczną, złośliwą, nieskłonną do zapominania moc kamienia. Stwory nękały Geda, rzucając się nań z góry. Czuł wokół siebie ich szpony machające jak kosy i mdlii go trupi odór. Zawzięcie parował ciosy i sam uderzał, odpierając stwory gorejącą laską, którą uczynił ze swego gniewu i ze źdźbła dzikiej trawy. I nagle wszystkie one wzbiły się w górę jak kruki odstraszone od padliny, zatoczyły koło i, trzepocząc w milczeniu skrzydłami, pomknęły w kierunku, w którym odleciała przeistoczona w mewę Serret. Ruchy ich olbrzymich skrzydeł wydawały się powolne, ale stwory leciały szybko; każde uderzenie skrzydeł popychało je daleko przez powietrze. Żadna mewa nie wytrzymałaby długo ucieczki przed tym potężnym pędem.

Szybko, jak to kiedyś uczynił na Roke, Ged przybrał postać wielkiego sokoła: nie krogulca, którym go nazwano, ale Sokoła Pielgrzyma latającego jak strzała, jak myśl. Pofrunął na pręgowanych, ostrych, mocnych skrzydłach, ścigając swych prześladowców. Ściemniło się, a pomiędzy chmurami świeciły coraz jaśniejsze

gwiazdy. Ged dostrzegł przed sobą czarne, strzępiaste stado mknące w dół, ku jednemu punktowi ponad ziemią. Dalej za tą czarną chmarą leżało morze, blado rozjaśnione ostatnim szarym błyskiem dnia. Ged rzucił się prostym i chyżym sokolim lotem w stronę służących kamieniowi stworów, a one rozprysły się, gdy wpadł pomiędzy nie, jak krople wody rozpryskują się od rzuconego kamyka. Schwytały jednak już przedtem swą ofiarę. Krew była na dziobie jednego ze stworów, a białe pierze przylgnęło do szponów innego, i żadna mewa nie szybowała przed nimi ponad bladym morzem.

Stwory znów zamierzały zaatakować Geda, zbliżając się szybko i niezdarnie, z wyciągniętymi, rozdziawionymi dziobami z żelaza. Ged zatoczył ponad nimi koło, wydał z siebie wyzywający i wściekły krzyk sokoła, a potem pomknął w poprzek niskich plaż wyspy Osskil, ponad łamiącymi się o brzeg falami, nad pełne morze.

Stwory służące kamieniowi kołowały przez chwilę kracząc, po czym jeden za drugim, bijąc ociężale skrzydłami, zaczęły wracać ponad wrzosowiskami w głąb lądu. Stare Moce nie mogą przeprawiać się przez morze, każda z nich jest bowiem przywiązana do jakiejś wyspy, do określonego miejsca, jaskini, kamienia czy tryskającego źródła. Czarne zjawy poszybowały z powrotem do warownej wieży, gdzie Benderesk, Władca Terrenonu, może płakał widząc ich powrót, a może się śmiał. Ale Ged leciał dalej na skrzydłach sokoła i szalony jak sokół; leciał jak nie spadająca nigdy strzała, jak nie dająca się zapomnieć myśl, ponad Morzem Osskilskim na wschód, w zimowy wicher i w noc.

Ogion Milczący późno powrócił do Re Albi ze swych jesiennych wędrówek. Z upływem lat stał się jeszcze większym niż dotąd milczkiem i samotnikiem. Nowy Władca Gontu z miasta leżącego w dole nigdy nie wydostał z Ogiona ani słowa, choć wspiął się aż do samego Sokolego Gniazda, szukając pomocy maga w pewnej pirackiej wyprawie na Andrady. Ogion, który przemawiał do pająków tkających sieci i którego widywano, jak uprzejmie pozdrawiał drzewa, nie odezwał się ani słowem do Władcy Wyspy, który odszedł rozgoryczony. Zapewne i w sercu Ogiona tkwiła jakaś gorycz czy niepokój, spędził bowiem całe lato d jesień sam na szczycie góry i dopiero teraz, gdy zbliżał się Powrót Słońca, zjawił się znowu w swoim domostwie.

Nazajutrz rano po powrocie mag wstał późno i chcąc wypić kubek naparu z ziół, wyszedł, aby przynieść wody ze źródła, z którego sączyła się strużka po zboczu wzgórza o parę kroków od domu: Krawędzie małej sadzawki utworzonej przez bijące źródło były zamarznięte, a uschnięty mech między skałami poznaczyły kwiaty mrozu. Był już jasny dzień, ale słońce jeszcze przez godzinę nie miało oświetlać potężnej grani górskiej: cały zachodni Gont, od plaż

morskich aż do szczytu, był bezsłoneczny, cichy Uwyraźnię widoczny w zimowym poranku. Gdy mag stał przy źródle, spoglądając w dal ponad obniżającymi się połaciami lądu, ponad portem i szarym morskim przestworzem — zatrzepotały nad nim skrzydła. Spojrzał w górę i uniósł nieco jedno ramię. Wielki sokół zniżył się z głośnym trzepotem skrzydeł i usiadł na przegubie Ogiona. Wczepił się weń jak ptak przyuczony do polowań, nie miał jednak na sobie żadnej zerwanej linki, żadnej obrączki ani dzwonka. Szpony wbiły się mocno w przegub Ogiona, pręgowane skrzydła drżały; okrągłe, złote oko było zmętniałe i dzikie.

— Przynosisz wieści czy sam jesteś wieścią? — spytał łagodnie sokoła Ogion. — Chodź ze mną… — Gdy mówił, sokół spoglądał na niego. Ogion milczał przez chwilę. — Zdaje się, że nadałem ci kiedyś imię — powiedział, a potem pomaszerował w kierunku domu i wszedł doń, -wciąż niosąc ptaka na przegubie. Postawił sokoła przy kominku, w cieple ognia, i podsunął mu wodę. Ptak nie chciał pić. Wtedy Ogion zaczął czynić zaklęcie, bardzo cicho, tkając pajęczynę magii bardziej dłońmi niż słowami. Gdy zaklęcie zostało w całości utkane, powiedział cicho: — Ged — nie patrząc na stojącego przy kominku sokoła. Czekał jakiś czas, potem obrócił się, powstał i podszedł do młodzieńca, który stał przed ogniem drżący i ze zmętniałymi oczyma.

Ged był ubrany w bogaty cudzoziemski strój z futra, jedwabiu i srebra, ale szaty były podarte i sztywne od morskiej soli, a on sam stał wycieńczony i zgarbiony! włosy spływały wokół jego pokrytej bliznami twarzy.

Ogion zdjął zabrudzony płaszcz książęcy z ramion Geda, zaprowadził go do alkowy, gdzie jego uczeń niegdyś sypiał, i zmusił młodzieńca, aby się tam położył na sienniku; zamruczał jeszcze usypiające zaklęcie i odszedł. Nie odezwał się ani słowem wiedząc, że Ged nie włada teraz ludzką mową.

Jako chłopiec Ogion myślał, jak wszyscy chłopcy, że bardzo przyjemną igraszką byłoby przybieranie za pomocą sztuki magicznej dowolnego kształtu, postaci człowieka czy zwierzęcia, drzewa lub chmury, i bawienie się w ten sposób w tysiąc różnych istnień. Lecz jako czarnoksiężnik poznał też cenę tej igraszki, cenę, jaką jest ryzyko utraty własnego ja, przegrania prawdziwego istnienia. Im dłużej człowiek pozostaje w cudzej postaci, tym większe jest ryzyko. Każdy uczeń czarownika uczy się opowieści o czarnoksiężniku Bordgerze z wyspy Way, który znajdował przyjemność w przybieraniu postaci niedźwiedzia i czynił to coraz częściej, póki niedźwiedź nie urósł w nim, a człowiek nie zanikł; Bordger stał się niedźwiedziem, zabił w lasach swego własnego synka, po czym schwytano go i uśmiercono. Nikt też nie wie, jak wiele delfinów pląsających w wodach Morza Najgłębszego było niegdyś ludźmi, mądrymi ludźmi, którzy

zapomnieli swej mądrości i swojego imienia, radując się wiecznie niespokojnym morzem.

Ged przybrał postać sokoła, nękany rozpaczą i wściekłością; gdy odlatywał z wyspy Osskil, miał w głowie tylko jedną myśl: nie dać się doścignąć zarówno kamieniowi, jak cieniowi, uciec z zimnej zdradliwej krainy, powrócić do domu. Gniew i dzikość sokoła były jak jego własna dzikość i gniew: uczucia te stały się jego własnymi, a jego wola lotu stała się wolą sokoła. Tak więc przeleciał nad wyspą Enlad, zniżając lot, aby napić się z samotnego leśnego jeziorka, ale potem natychmiast znów zerwał się do lotu, gnany lękiem przed ścigającym go cieniem. Tak też przeleciał nad wielkim szlakiem morskim zwanym Paszczą Enladu i leciał dalej i dalej na południowy wschód, mając po prawej majaczące daleko wzgórza wyspy Oranea, po lewej jeszcze słabiej widoczne wzgórza wyspy Andrad, a przed sobą jedynie morze — póki wreszcie w dali przed nim nie wyrosła z fal jedna zastygła fala, wznosząca się coraz wyżej: biały szczyt Gont. Przez wszystkie słoneczne dni i mroczne noce tego wielkiego lotu Ged unosił się na sokolich skrzydłach, spoglądał sokolimi oczyma i, zapominając swoje własne myśli, znał w końcu tylko to, co zna sokół: głód, wiatr, szlak, którym leci.

Przyleciał do właściwej przystani. Niewielu było ludzi na Roke, a tylko jeden na wyspie Gont, który mógł przywrócić mu postać ludzką.

Ged był oszołomiony i milczący, gdy się obudził. Ogion nie odzywał się do niego, lecz karmił go mięsem i poił wodą, pozwalał mu siedzieć zgarbionemu przy ogniu, ponuremu jak wielki, zmęczony, posępny sokół. Z nadejściem nocy Ged zasnął. Trzeciego dnia z rana podszedł do kominka, przy którym siedział zapatrzony w płomienie mag, i odezwał się:

— Mistrzu…

— Witaj, chłopcze — powiedział Ogion.

— Wróciłem do ciebie tak samo, jak cię opuściłem: jako głupiec — powiedział młodzieniec głosem szorstkim i ochrypłym. Mag uśmiechnął się z lekka, dał znak Gedowi, aby usiadł po drugiej stronie kominka, a sam zabrał się do parzenia ziół dla nich obu.

Padał śnieg, pierwszy śnieg, który tej zimy pojawił się na niższych zboczach góry, Gont. Okna Ogiona były szczelnie zamknięte okiennicami, ale mogli słyszeć miękkie spadanie mokrego śniegu na dach i głęboką ciszę śniegu wszędzie wokół domu. Długi czas siedzieli przy ogniu i Ged opowiadał swemu dawnemu Mistrzowi o latach, które minęły, dokąd odpłynął z wyspy Gont na pokładzie statku o nazwie „Cień”. Ogion nie zadawał pytań i gdy Ged skończył, mag milczał jeszcze długo, cichy, zadumany. Potem podniósł się, postawił na stole chleb, ser i wino i spożyli razem posiłek. Gdy skończyli i uprzątnęli izbę, Ogion przemówił.

— Dotkliwe są twoje blizny, chłopcze — rzekł.

— Brak mi siły do walki przeciw temu stworowi — odpowiedział Ged.

Ogion potrząsnął głową, ale przez jakiś czas milczał. Nareszcie powiedział:

— Dziwne. Miałeś dość siły, aby pokonać zaklęciem czarownika na jego własnym terenie, tam, na wyspie Osskil. Miałeś dość siły, aby oprzeć się pokusom i odparować na- tarcie sług Starej Mocy Ziemskiej. A na wyspie Pendor miałeś dość siły, aby stawić czoło smokowi.

— Na Osskil miałem szczęście, nie siłę — zaprzeczył Ged i zadrżał znowu, gdy wspomniał koszmarne, trupie zimno Dworu Terrenon. — Co zaś do smoka, znalem jego imię. Ten zły stwór, ten cień, który mnie ściga, nie ma imienia.

— Wszystkie rzeczy mają imiona — rzekł Ogion z taką pewnością, że Ged nie śmiał powtórzyć tego, co mówił mu Arcymag Gensher: że złe siły jak ta, którą wyzwolił, są bezimienne. Smok z Pendoru w samej rzeczy proponował, że zdradzi mu imię cienia, ale Ged nie ufał zbytnio rzetelności tej propozycji, ani też nie wierzył obietnicy Serret, że kamień powie mu to, co Ged pragnie wiedzieć.

— Jeśli cień ma imię — powiedział w końcu — nie sądzę, aby się zatrzymał i zdradził mi je…

— Nie — odparł Ogion. — Ty też nie zatrzymałeś się i nie zdradziłeś mu swojego imienia. A jednak cień je znał. Na osskilskich wrzosowiskach zawołał cię po imieniu, wymówił imię, które ci nadałem. To dziwne, dziwne…

Pogrążył się znów w rozmyślaniach. Wreszcie Ged odezwał się:

— Przybyłem tu po radę, nie po schronienie, Mistrzu. Nie chciałbym sprowadzać! tego cienia na ciebie, lecz on wkrótce tu się zjawi, jeśli zostanę. Niegdyś przegnałeś go właśnie z tej izby…

— Nie; to było tylko jego przeczucie, cień cienia. Teraz nie potrafiłbym go odegnać. Tylko ty mógłbyś to zrobić.

— Ale ja jestem na razie bezsilny. Czy jest gdzieś miejsce, gdzie… — Jego głos zamarł, zanim zadał pytanie.

— Nie ma bezpiecznego miejsca — powiedział łagodnie Ogion. — Nie przeistaczaj się ponownie, Ged. Cień usiłuje zniszczyć twoją prawdziwą istotę. Omal tego nie uczynił, gdy wpędził cię w istotę sokoła. Nie, nie wiem, dokąd powinieneś się udać. Jednakże wiem coś o tym, co powinieneś zrobić. Trudno mi mówić ci o tym.

W milczeniu Geda było żądanie prawdy, więc Ogion powiedział w końcu:

— Musisz zawrócić.

— Zawrócić?

— Jeśli będziesz szedł przed siebie, jeśli nie przerwiesz ucieczki — dokądkolwiek uciekniesz, wszędzie napotkasz

niebezpieczeństwo i zło, ono bowiem cię popycha, ono wybiera dla ciebie drogę. To ty musisz wybierać. To ty musisz poszukać tego, co ciebie szuka. Musisz ścigać to, co ciebie ściga.

Ged nic nie powiedział.

— Nadałem ci imię u źródeł Rzeki Ar — mówił mag — nad strumieniem, który spływa z gór do morza. Człowiek może poznać cel, do którego zmierza — ale nie potrafi go poznać, jeśli nie odwróci się, jeśli nie powróci do swego początku i nie zawrze tego początku w swoim istnieniu. Jeśli nie chce być patykiem porwanym przez wir i pochłoniętym przez prąd, musi być samym owym prądem, całym, od źródła aż do pogrążenia się w morze. Wróciłeś na wyspę Gont, wróciłeś do mnie, Ged. Teraz zawróć już zupełnie z drogi, szukaj samego źródła i tego, co leży przed źródłem. Tam spoczywa twoja nadzieja na odzyskanie siły.

— Tam, Mistrzu? — odezwał się Ged z trwogą w głosie. — Gdzie?

Ogion nie odpowiedział.

— Jeśli zawrócę — rzekł Ged, gdy Upłynęło kilka chwil — jeśli, jak mówiłeś, zacznę ścigać ścigającego, pościg zapewne nie potrwa długo. On tylko tego pragnie, by spotkać się ze inną twarzą w twarz. Dwa razy tak uczynił i dwa razy mnie pokonał.

— Do trzech razy sztuka — powiedział Ogion.

Ged chodził po izbie tam i z powrotem, od kominka do drzwi, od drzwi do kominka.

— A jeśli pokona mnie całkowicie — rzekł, spierając się może z Ogionem, a może z sobą samym — wtedy odbierze mi wiedzę i moc i będzie czynić z nich użytek. Teraz zagraża tylko mnie. Lecz jeśli wejdzie we mnie i weźmie mnie w posiadanie, będzie czynić poprzez mnie wiele złego.

— To prawda. Jeśli cię pokona.

— Lecz jeśli będę uciekać, znów mnie z pewnością znajdzie… A ucieczka pochłonęła już całą moją siłę. — Ged chodził jeszcze przez chwilę, potem nagle odwrócił się i klękając przed magiem powiedział: — Przebywałem wśród wielkich czarnoksiężników i byłem na Wyspie Mędrców, ale moim prawdziwym Mistrzem jesteś ty, Ogionie. — Mówił tonem pełnym miłości i radosnym mimo przygnębienia.

— Zgoda — rzekł Ogion. — Teraz już to wiesz. Lepiej późno niż wcale. Ale to ty będziesz moim Mistrzem — w końcu. — Podniósł się, podsycił ogień, aż buchnął mocnym płomieniem, zawiesił nad nim kociołek do gotowania, a potem, wciągając na siebie kożuch, rzekł: — Muszę doglądnąć kóz. Popilnuj mi kociołka, chłopcze.

Gdy wszedł z powrotem, cały oproszony śniegiem, otrząsając tupnięciem śnieg z butów z koźlej skóry, niósł długi, nie obrobiony drąg z cisowego drewna. Przez całe to krótkie popołudnie i potem

znowu po wieczerzy siedział przy świetle lampy, obrabiając drąg nożem, kamieniem do polerowania i zaklęciami. Wielokrotnie przesuwał dłonie wzdłuż drewna, jakby szukając skazy. Pracując często podśpiewywał cicho. Ged, wciąż zmęczony, słuchał, a gdy naszła go senność, poczuł się jak dziecko w chacie czarownicy z wioski Dziesięć Olch, w rozświetlonym przez ogień mroku śnieżnej, nocy, w powietrzu ciężkim od dymu i zapachu ziół; myśli Geda unosiły się na falach marzeń, gdy słuchał długiego i cichego śpiewu o czarach i o czynach bohaterów, którzy walczyli z ciemnymi mocami i zwyciężali lub przegrywali na odległych, wyspach, w dawnych czasach.

— Masz — powiedział Ogion i wręczył mu wykończoną laskę. — Arcymag dał ci laskę z drewna cisowego; dobry to był wybór, więc trzymałem się go i ja. Chciałem zrobić z tego drąga łuk, ale tak jest lepiej. Dobranoc, mój synu.

Gdy Ged, nie mogąc znaleźć słów podzięki, odszedł do swej alkowy, Ogion spojrzał w ślad za nim i rzekł, zbyt cicho, aby Ged mógł usłyszeć:

— Szczęśliwego lotu, mój młody sokole!

O chłodnym świcie, gdy Ogion się zbudził, Geda już nie było. Pozostawił tylko, jak to robią czarnoksiężnicy, wiadomość nagryzmoloną na kamieniu paleniska srebrzystymi runami, które gasły w momencie, gdy Ogion je czytał: „Mistrzu, wyruszam w pościg”.

8. POŚCIG

W zimowym mroku, przed wschodem słońca, Ged wyruszył drogą wiodącą w dół z Re Albi; nim nastało południe, przybył do Portu Gont. Ogion dał mu porządne gontyjskie pludry, koszulę i kaftan ze skóry i płótna, mające zastąpić strojny osskilski przyodziewek, ale Ged zatrzymał na tę zimową wędrówkę swój wielkopański płaszcz oblamowany futrem pellawi. Okryty nim, nie mając w rękach nic prócz ciemnej laski równej jego wzrostowi, podszedł do miejskiej bramy; żołnierze przechadzający się tam na tle jej rzeźbionych smoków nie musieli spoglądać dwa razy, aby rozpoznać w nim czarnoksiężnika. Odsunęli swoje włócznie na bok i pozwolili mu wejść bez zastrzeżeń, a potem spoglądali w ślad za nim, gdy dalej schodził wiodącą w dół ulicą.

Na nadbrzeżach i w Domu Cechu Morskiego Ged zapytywał o statki wypływające na północ lub zachód, do wysp Enlad, Andrad lub Oranea. Wszyscy odpowiadali mu, że żaden statek nie wyruszy z Portu Gont teraz, tak blisko święta Powrotu Słońca, a w Cechu Morskim powiedziano Gedowi, że nawet łodzie rybackie nie pływają pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami w czasie niepewnej pogody.

W jadłodajni Cechu Morskiego zaproszono Geda na obiad; czarnoksiężnik rzadko kiedy musi prosić o posiłek. Siedział przez chwilę z robotnikami portowymi, cieślami okrętowymi i zaklinaczami pogody, znajdując przyjemność w słuchaniu ich powolnej, często przerywanej milczeniem pogawędki, ich pomrukującej mowy gontyjskiej. Było w nim wielkie pragnienie, aby pozostać tu, na wyspie Gont, i zrzekając się wszelkich czarodziejskich sztuk i ryzykownych przedsięwzięć, zapominając o wszelkich mocach i okropnościach, żyć w spokoju jak każdy człowiek na znanej, bliskiej ziemi rodzinnego, kraju. Takie było jego pragnienie: ale jego wola była inna. Nie pozostał długo w Cechu Morskim ani w mieście, gdy już się dowiedział, że żaden statek nie wypłynie z portu. Wyruszył na piechotę brzegiem zatoki, aż dotarł do pierwszej z małych wiosek leżących na północ od miasta Gont: tam pytał wśród rybaków, póki nie znalazł jednego, który miał do sprzedania łódź.

Rybak był starcem o ponurym wyglądzie. Jego łódź, długa na dwanaście stóp i zbita z nakładających się jedna na drugą desek, była tak spaczona i wykrzywiona, że ledwo nadawała się do żeglugi; mimo to rybak żądał za nią wysokiej ceny: zaklęcia, które na rok zapewniłoby bezpieczeństwo na morzu jego własnej łodzi, jemu samemu i jego synowi. Gontyjscy rybacy bowiem nie lękają się niczego, nawet czarnoksiężników; lękają się tylko morza.

To zaklęcie zapewniające bezpieczeństwo na morzu, zaklęcie, do

którego przywiązuje się wielką wagę w północnej części Archipelagu, nigdy nie uchroniło człowieka przed wichurą lub sztormową falą, ale, rzucone przez kogoś, kto zna okoliczne wody, szlaki łodzi i umiejętności żeglarza, roztacza jednak wokół rybaka aurę jakiegoś codziennego bezpieczeństwa. Ged uczynił czar dobrze i uczciwie, pracując nad nim całą noc i następny dzień, nie zaniedbując niczego, staranny i cierpliwy, choć przez cały ten czas jego umysł był napięty lękiem: myślami błądził po ciemnych ścieżkach, usiłując wyobrazić sobie, w jaki sposób tym razem pojawi się przed nim cień oraz kiedy i gdzie to się stanie. Kiedy zaklęcie zostało ukończone i wypowiedziane w całości, Ged był bardzo znużony. Spał tej nocy w chacie rybaka, w hamaku splecionym ze sznurów z wielorybich jelit; wstał o świcie, zalatując suszonym śledziem, i zszedł do zatoczki nad Urwiskiem Cutnorth, gdzie przycumowana była jego nowa łódź.

Brnąc po dnie, wypchnął ją na spokojne morze; woda natychmiast zaczęła przesiąkać po trochu do wnętrza łodzi. Wstąpiwszy w nią lekko jak kot, Ged zaczął naprawiać wypaczone deski i przegniłe szpunty, używając zarówno narzędzi, jak i śpiewnych zaklęć, podobnie jak to nieraz czynił wraz z Pechvarrym w Low Torning. Mieszkańcy wioski zgromadzili się w milczeniu, nie za blisko, obserwując szybkie ręce Geda i słuchając jego cichego głosu. Również i tę robotę wykonywał solidnie i cierpliwie, póki nie została ukończona i póki łódź nie była uszczelniona i zdatna do użytku. Potem wziął laskę, którą zrobił dlań Ogion, ustawił ją jako maszt, umocnił zaklęciami i w poprzek przytwierdził tęgą drewnianą reję. Utkał też z wiatru zwisający z tej rei żagiel, kwadratowy i biały jak śniegi na wznoszącym się ponad zatoką Wierzchołku Gont. W tym momencie przyglądające się kobiety westchnęły z zazdrością. Stojąc przy maszcie Ged wzbudził lekki magiczny wiatr. Łódź popłynęła po wodzie, kierując się przez wielką zatokę w stronę Zbrojnych Urwisk. Gdy przyglądający się w milczeniu rybacy ujrzeli tę dziurawą łódź wiosłową, jak sunie pod żaglem, szybka i zgrabna niczym mewa zrywająca się do lotu, wtedy podnieśli radosną wrzawę, uśmiechając się szeroko i tupiąc w zimnym wietrze na plaży; a Ged, oglądając się na chwilę, ujrzał, jak dodają mu otuchy tymi wiwatami pod ciemnym, szczerbatym masywem Urwiska Cutnorth, ponad którym wznosiły się ku chmurom śnieżne połacie Góry.

Przepłynął przez zatokę i wydostał się pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami na Morze Gontyjskie; tutaj obrał kurs na północny zachód, aby minąć od północy wyspę Oranea, powracając szlakiem, którym niegdyś przybył. Nie miał w tym żadnego zamysłu czy planu działania; chciał tylko powtórzyć uprzedni szlak. Cień, który sunął całymi dniami poprzez wicher w ślad za jego sokolim lotem z Osskil, mógł błądzić, ale mógł też dążyć prostą drogą; tego nie dało się odgadnąć.

Lecz jeśli nie wycofał się znowu całkowicie w królestwo snu, nie powinien przeoczyć Geda zbliżającego się otwarcie, po otwartym morzu, na jego spotkanie.

Ged pragnął spotkać cień, na morzu, jeśli już musiał go spotkać. Nie był pewien, dlaczego tak jest, ale przerażała go myśl o ponownym spotkaniu z cieniem na suchym lądzie. Z morza podnoszą się burze i potwory, ale nie złe moce: zło pochodzi z ziemi. W tej zaś mrocznej krainie, do której Ged niegdyś się udał, nie ma, morza, nie toczy tam swoich wód żadna rzeka ani nie tryska źródło. Królestwo śmierci jest suche. Choć właśnie morze było dla Geda niebezpieczne przy częstej o tej porze roku burzliwej pogodzie, jednak to niebezpieczeństwo, ta zmienność i niestałość wydawały mu się ochroną i dogodną szansą. I gdy napotka cień u ostatecznego kresu swej szalonej wyprawy — myślał — może przynajmniej będzie mógł pochwycić stwora w tym samym momencie, w którym on go pochwyci, i wciągnąć go ciężarem swego ciała i ciężarem swej własnej śmierci w mrok głębin morskich, skąd, trzymany w ten sposób, cień nie będzie mógł już się podnieść. Wtedy przynajmniej śmierć Geda położyłaby kres złu, które za życia rozpętał.

Żeglował przez wzburzone, przewalające się morze, ponad którym nawisłe chmury pędziły jak olbrzymie żałobne welony. Nie wzbudzał teraz magicznego wiatru, lecz posługiwał się wiatrem naturalnym, który dął, przenikliwy, z północnego zachodu; a ponieważ Ged szeptanym co chwila słowem nie pozwalał się rozwijać materii utkanego zaklęciem żagla, żagiel sam się ustawiał i obracał, aby złapać wiatr. Gdyby Ged nie był użył tej sztuki magicznej, nie mógłby utrzymać wywrotnej łódki w takim kursie, na tak wzburzonym morzu. Płynął wciąż i wciąż rozglądał się bacznie na wszystkie strony. Żona rybaka dała mu dwa bochenki chleba i dzban wody, po kilku więc godzinach, gdy w zasięgu wzroku Geda znalazła się Skała Kameber, jedyna wysepka pomiędzy Gontem a Oraneą, młodzieniec posilił się i napił, myśląc z wdzięcznością o milczącej gontyjskiej kobiecie, która zaopatrzyła go w żywność. Żeglował dalej, mijając majaczący w przelocie ląd; od tej chwili wziął kurs bardziej na zachód, płynąc w nikłej, wilgotnej mżawce, która ponad lądem zmieniała się zapewne w lekki śnieg. Nie było słychać zupełnie nic oprócz poskrzypywania łodzi i lekkiego plaskania fal o jej dziób. Ani razu nie przemknęła obok żadna inna łódź albo ptak. Nic się nie poruszyło oprócz wiecznie ruchliwej wody i sunących chmur, chmur, które pamiętał mgliście, jak opływały go zewsząd, gdy pod postacią sokoła leciał na wschód tym samym szlakiem, którym teraz płynął na zachód; wtedy spoglądał w dół na szare morze, teraz zaś podnosił wzrok w szare niebo.

Nic nie pojawiało się przed nim, gdy spoglądał przed siebie. Powstał, zziębnięty; znużyło go to wpatrywanie się i przebijanie

wzrokiem szkaradnej pustki. — Chodźże — mruknął — dalej, cieniu, na co czekasz? — Nie było odpowiedzi, nie było żadnego ciemniejszego poruszenia pośród ciemnych mgieł i fal. A jednak wiedział teraz z coraz większą pewnością, że stwór jest niedaleko, że podąża ślepo jego zimnym śladem. I znienacka wykrzyknął głośno: — Jestem tutaj, ja, Ged Krogulec, i wzywam mój cień!

Łódź zaskrzypiała, zacmokały fale, wiatr zaświstał w białym żaglu. Mijały chwile. Ged wciąż czekał, z jedną ręką na cisowym maszcie łodzi, ze wzrokiem utkwionym w lodowatą mżawkę, która poszarpanymi kreskami zacinała morze od północy. Mijały chwile. Wreszcie, w oddali, w deszczu ponad wodą Ged ujrzał zbliżający się cień.

Cień porzucił już ciało osskilskiego wioślarza Skiorha i nie jako gebbeth ścigał Geda przez wiatry i po morzu. Nie był też przyodziany w ową postać zwierza, w której Ged widział go na Pagórku Roke, a później widywał w snach. A jednak cień miał i teraz jakiś kształt, nawet w świetle dziennym. W gonitwie za Gedem i w walce z nim na wrzosowiskach wyssał z niego moc i wchłonął ją w siebie; i możliwe było, że Ged przez przywołanie cienia, na głos i w świetle dnia, nadał mu albo wymusił na nim jakąś formę i wygląd. Z pewnością cień zdradzał teraz niejakie podobieństwo do człowieka, choć nie rzucał cienia, sam będąc cieniem. Tak właśnie nadszedł po morzu, idąc od Paszczy Enlad w stronę wyspy Gont: niewyraźny, niezdarny stwór, kroczący niepewnie po falach, wyłaniający się z wiatru; a zimny deszcz siekł przezeń na wskroś.

Ponieważ cień był na wpół oślepiony światłem dziennym i ponieważ został przez Geda przywołany, Ged ujrzał go wcześniej, niż cień ujrzał jego. Ged rozpoznawał cień, podobnie jak on rozpoznawał Geda, spośród wszystkich istot, wszystkich cieni.

W straszliwym osamotnieniu zimowego morza Ged stał i widział stwora, którego się lękał. Wiatr zdawał się podmuchami odsuwać go od łodzi, a fale biegły pod nim, łudząc oko Geda, a jednak cień zdawał się być coraz bliżej niego: Ged nie mógł określić, czy cień porusza się, czy też nie. Teraz już cień go widział. Choć w myślach Geda nie było nic prócz przerażenia i lęku przed dotknięciem cienia, przed zimnym czarnym bólem, który wysysał życie — jednak młodzieniec czekał nieporuszony. Potem znienacka odzywając się na głos przywołał silny, nagły wiatr magiczny, który zadął w biały żagiel, i łódź skoczyła przez szare fale prosto ku chylącemu się i unoszącemu na wietrze stworowi.

Zachwiawszy się, cień w całkowitej ciszy odwrócił się i pierzchnął.

Mknął pod wiatr, ku północy. Pod wiatr mknęła za nim łódź Geda: umiejętność maga walczyła z chyżością cienia, a deszczowe porywy wiatru przeciwstawiały się im obu. Młodzieniec krzyknął na

swoją łódź, na żagiel i wiatr, i fale — jak łowca krzykiem pogania ogary, gdy przed nimi pędzi wyraźnie widoczny wilk — i w swój utkany zaklęciami żagiel posłał wiatr, który rozdarłby każdy żagiel z płótna: pognało to jego łódź po morzu jak zdmuchniętą pianę, coraz bliżej ku uciekającemu stworowi.

W tym momencie cień obrócił się, zataczając półkole, i nagle, jak gdyby bardziej rozchwiany i niewyraźny, mniej podobny do człowieka, a bardziej do zwykłego dymu niesionego przez wiatr skręcił w przeciwnym kierunku i pomknął z porywistym wiatrem, kierując się jakby ku wyspie Gont.

Ręką i zaklęciem Ged zawrócił łódź, która, kołysząc się, wyskoczyła jak delfin z wody przy tym szybkim zwrocie. Rzucił się w pogoń szybciej niż poprzednio, ale cień stawał się w jego oczach coraz bardziej mglisty. Deszcz zmieszany ze śniegiem i gradem siekł dokuczliwie plecy i lewy policzek Geda, który nie był w stanie widzieć nic przed sobą dalej niż na sto kroków. Niebawem, gdy sztorm przybrał na sile, cień zniknął z zasięgu wzroku. Mimo to Ged był pewien jego szlaku, jak gdyby szedł za pozostawionym na śniegu tropem zwierzęcia, a nie za uciekającym ponad wodą widmem. Choć wiatr mu teraz sprzyjał, Ged nadal utrzymywał w żaglu świszczący wiatr magiczny i płaty piany leciały spod tępego dziobu łodzi, gdy w pędzie plaskała o powierzchnię wody.

Przez długi czas ścigany i ścigający pędzili wciąż z tą samą niesamowitą chyżością; wkrótce zapadł zmierzch. Ged wiedział, że przy wielkiej szybkości, z jaką mknął w ciągu minionych godzin, powinien być teraz na południe od wyspy Gont i zapewne kieruje się obok niej w stronę Spevy lub Torheven; albo nawet mijając te wyspy wypływa na otwarte Rubieże. Nie potrafił tego określić. Było mu wszystko jedno. Ścigał, gonił, a to, co go trwożyło, uciekało przed nim.

Naraz przez krótką chwilę dostrzegł cień w niewielkiej odległości od siebie. Naturalny wiatr osłabł, a zacinający w sztormie śnieg z deszczem ustąpił miejsca lodowatej, strzępiastej, gęstniejącej mgle. Poprzez tę mgłę Ged ujrzał w przelocie cień, pierzchający jakby w prawo od kierunku pogoni. Ged przemówił do wiatru i żagla, obrócił rumpel i rzucił się w pościg, choć znowu był to pościg po omacku; mgła gęstniała szybko, kipiąc i rwąc się w strzępy przy zetknięciu z magicznym wiatrem, zwierając się wokół łodzi jednostajną bladością przyćmiewającą światło i przytępiającą wzrok. W momencie kiedy Ged wypowiedział pierwsze słowo zaklęcia rozjaśniającego, ujrzał cień znowu: był wciąż na prawo od kursu łodzi, ale bardzo blisko, i posuwał się powoli. Mgła wiała przez pozbawioną twarzy, niewyraźnie majaczącą głowę stwora, miał on jednak kształt ludzki, tyle że jego zarys deformował się i zmieniał na podobieństwo cienia

rzucanego przez człowieka. Ged obrócił łódź raz jeszcze, myśląc, że zagnał swego wroga na mieliznę; w tej sekundzie cień znikł, a na mieliźnie osiadła łódź Geda, uderzając o podwodne skały, które ulotna mgła ukryła przed jego wzrokiem. Ged omal nie został wyrzucony za burtę, ale chwycił się zrobionego z laski masztu, zanim uderzyła następna fala przyboju. Była to wielka fala, która wyrzuciła z wody w górę małą łódź i cisnęła nią o skałę, tak jak człowiek podnosi i rozgniata o ziemię skorupkę ślimaka.

Mocna i zaczarowana była laska, którą wyrzeźbił Ogion. Nie złamała się i, lekka jak sucha kłoda, utrzymywała się na powierzchni fal. Ściskając ją wciąż, Ged został porwany wstecz przez cofające się od przybrzeżnych skał fale, aż znalazł się w głębokiej wodzie, ocalony aż do następnego przyboju przed pogruchotaniem się o skały. Oślepiony morską solą, dławiąc się, usiłował trzymać głowę nad powierzchnią i przemóc ogromną siłę morza, która go ciągnęła. Trochę w bok od skał była piaszczysta plaża; dostrzegł ją przelotnie parę razy, gdy starał się płynąć przed wezbraniem następnego przyboju. Wspomagany przez moc zawartą w próbował ze wszystkich sił przebić się przez fale w tej plaży. Nie mógł się do niej zbliżyć. Przypływające i cofające się bałwany miotały nim jak łachmanem tam i z powrotem, a ciepło jego ciała szybko odpłynęło w chłód morskiej głębiny, co osłabiało go tak, że wkrótce nie był już w stanie poruszać ramionami. Stracił z oczu zarówno skały, jak i plażę i nie miał pojęcia, w którą stronę się zwraca. Był tylko zamęt wód wokół niego, pod nim, nad nim, oślepiający, dławiący, zatapiający.

Fala wzbierająca pod postrzępioną mgłą porwała go, przeturlała parę razy i wyrzuciła na piasek jak bezwładny kawał drewna.

Leżał na piasku. Wciąż jeszcze ściskał obiema dłońmi cisową laskę. Pomniejsze fale podsuwały się ku niemu, próbując na nowo ściągnąć go z piasku swym powrotnym prądem; mgła rozrywała się nad nim i zwierała, a później zaczął go siec deszcz zmieszany ze śniegiem.

Po upływie długiego czasu Ged poruszył się. Podniósł się na czworaki i zaczął powoli pełznąć w górę plaży, aby oddalić się od krawędzi wody. Była teraz czarna noc, ale Ged szepnął lasce zaklęcie i przylgnął do niej mały błędny ognik. Prowadzony jego światłem, Ged z mozołem, krok po kroku, wlókł się pod górę w kierunku wydm. Był tak potłuczony, rozbity i zmarznięty, że to czołganie się przez mokry piasek w ciemności pełnej świstu i łoskotu morza było najtrudniejszą rzeczą, jakiej w życiu musiał dokonać. Raz czy dwa zdawało mu się, że potężny szum morza i wiatru ścichł całkiem, że mokry piasek staje się sypki pod jego dłońmi, i poczuł nieruchome spojrzenie nieznanych gwiazd na swoich plecach; nie podniósł jednak głowy i pełzł dalej, a po chwili posłyszał swój własny, chwytający powietrze od-, dech i

poczuł dokuczliwy wiatr siekący deszczem w jego twarz.

Ruch przywrócił wreszcie ciału Geda trochę ciepła i gdy już wpełzł między wydmy, gdzie porywy deszczowego wiatru docierały z mniejszą siłą, zdołał stanąć na nogi. Zaklęciem wywołał z laski silniejsze światło, gdyż wokół panowała całkowita czerń, a potem, wsparty na lasce, szedł dalej, potykając się i. przystając, jakieś pół mili w głąb lądu. Wtedy na wzniesieniu wydmy(usłyszał morze, znów głośniejsze, nie za sobą, lecz przed sobą: wydmy znów opadały ku innemu brzegowi. Nie na wyspie się znajdował, lecz na zwykłej rafie, na garstce piasku pośrodku oceanu.

Był zbyt wyczerpany, aby rozpaczać ale wydał z siebie jakby szloch i oszołomiony, wsparty na lasce, stał w miejscu przez długi czas. Potem, zacisnąwszy zęby, obrócił się w lewo, tak aby mieć przynajmniej wiatr z tyłu, i powłócząc nogami zaczął schodzić z wysokiej wydmy, wypatrując w oblodzonej, uginającej się trawie morskiej jakiegoś zagłębienia, gdzie mógłby znaleźć choć trochę osłony. Gdy podniósł laskę, aby widzieć, co ma przed sobą, dostrzegł nikły odblask u najdalszego skraju kręgu błękitnego światła: była to ściana ze zmoczonego deszczem drewna.

Ściana należała do chaty czy szopy, małej i chwiejącej się, jakby zbudowało ją dziecko. Ged zastukał laską do niskich drzwi. Nikt nie otworzył. Ged rozwarł ją pchnięciem i wszedł; aby wejść, musiał się niemal zgiąć wpół. We wnętrzu chaty nie mógł się wyprostować. Na palenisku czerwieniły się węgle i w ich przyćmionym blasku Ged ujrzał mężczyznę o białych długich włosach, który kulił się w przerażeniu pod przeciwległą ścianą, oraz jeszcze kogoś — nie mógł odróżnić, czy to mężczyzna, czy kobieta — wyzierającego z leżącej na podłodze sterty gałganów czy skór.

— Nie zrobię wam nic złego — wyszeptał Ged.

Nie odezwali się. Spoglądał to na jedno, to na drugie. Ich oczy były ślepe z przerażenia. Gdy Ged położył laską na ziemi, tamten pod kupą szmat schował się pod nią ze skomleniem. Ged zdjął płaszcz, ciężki od wody i lodu, rozebrał się do naga i skulił nad paleniskiem.

— Dajcie mi coś, w co mógłbym się owinąć — powiedział.

Miał chrypkę i ledwie mógł mówić z powodu szczękania zębami i uporczywych dreszczy, które nim trzęsły. Jeśli go nawet słyszeli, żadne z dwojga starych nie odpowiedziało. Ged wyciągnął rękę i wziął jakiś łachman ze służącej za posłanie sterty — przed laty była to zapewne koźla skóra, a teraz — gałgan cały w strzępach i czarnych, tłustych plamach. Ten pod stertą szmat jęknął ze strachu, ale Ged nie zważał na to. Wytarł się do sucha, a potem wyszeptał:

— Czy macie drewno? Dorzuć trochę do ognia, starcze.

Przyszedłem do was w potrzebie, nie chcę wam zrobić nic złego.

Starzec nie poruszył się, wpatrzony weń w trwożnym osłupieniu.

— Rozumiesz mnie? Nie mówisz po hardycku? — Ged przerwał na chwilę, po czym spytał: — Kargad?

Na to słowo starzec znienacka skinął głową, raz tylko, jak smutna stara kukiełka poruszana sznurkami. Lecz ponieważ było to jedyne znane Gedowi słowo kargijskie, na tym skończyła się ich rozmowa. Ged znalazł pod ścianą ułożone w stos drwa, sam dorzucił do ognia, a potem gestami poprosił o wodę, gdyż przedtem mdliło go od połkniętej wody morskiej, a teraz usychał z pragnienia. Kuląc się ze strachu, starzec wskazał na wielką skorupę zawierającą wodę i pchnął w stronę ognia drugą skorupę, w której były paski wędzonej ryby. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami tuż przy ogniu, Ged napił się i zjadł trochę, a gdy siły i przytomność zaczęły weń pomału wracać, zadał sobie pytanie, gdzie się znajduje. Nawet z pomocą wiatru magicznego nie mógł był dopłynąć aż do Wysp Kargadzkich. Ta wysepka musiała leżeć na Rubieżach, na wschód od Gontu, ale wciąż jeszcze na zachód od wyspy Karego-At. Wydawało się dziwne, że ludzie żyją na tak małym i opuszczonym skrawku lądu, na zwykłej ławicy piasku; być może byli rozbitkami; ale Ged był zbyt znużony, aby w tej chwili łamać sobie nad nimi głowę.

W dalszym ciągu trzymał przy ognisku swój płaszcz. Srebrzyste futro z pellawi schło szybko i gdy tylko wełniany wierzch stał się ciepły, choć jeszcze nie suchy, Ged owinął się w płaszcz i wyciągnął przy palenisku.

— Idźcie spać, biedacy — rzekł do swych milczących gospodarzy, złożył głowę na piaskowym klepisku i zasnął.

Spędził na bezimiennej wyspie trzy doby, gdyż pierwszego ranka, kiedy się obudził, miał obolałe wszystkie mięśnie, gorączkował i był chory. Cały ten dzień i noc przeleżał w chacie przy ogniu jak kłoda wyrzucona przez morze. Następnego dnia obudził się wciąż jeszcze zesztywniały i obolały, ale czuł się już lepiej. Włożył ponownie swoje sztywne od soli odzienie, nie było bowiem dosyć wody, aby je wyprać, i wyszedłszy na dwór w szary, wietrzny poranek, obejrzał sobie miejsce, do którego cień podstępnie go zwabił.

Była to skalista ławica piaskowa, mająca milę w -najszerszym miejscu i nieco ponad milę długa, obramowana ze wszystkich stron rafami i skałami. Brak na niej było drzew czy krzaków oraz wszelkich roślin poza pochyloną trawą morską. Chata stała we wgłębieniu wydm, a starzec i starucha mieszkali w niej sami pośród zupełnego pustkowia otwartego morza. Była zbudowana, czy raczej sklecona, z wyrzuconych przez fale grubych desek i konarów drzew. Woda pochodziła z małej słonawej studzienki obok chaty; pożywienie stanowiły ryby i mięczaki, świeże albo suszone, oraz wodorosty porastające skały. Postrzępione skóry w chacie, niewielki zapas kościanych igieł i haczyków na ryby oraz ścięgna służące do

rozpalania ognia i jako linki do łowienia ryb nie pochodziły z kóz, jak zrazu pomyślał Ged, ale z cętkowanych fok; istotnie było to jedno z tych miejsc, do których udają się foki, aby w lecie dać podrosnąć swoim młodym. Nikt inny jednak do takich miejsc nie przybywa. Oboje starzy bali się Geda, nie dlatego, że brali go za ducha, ani że był czarnoksiężnikiem, ale tylko dlatego, że był człowiekiem. Zapomnieli już, że prócz nich istnieją na świecie inni ludzie.

Ponury lęk starca nie malał ani na chwilę. Gdy zdawało mu się, że Ged zbliża się na tyle blisko, aby mógł go dotknąć, odbiegał, kuśtykając i zerkając za siebie oczyma, które patrzały wilkiem spod gęstwy brudnych siwych włosów. Starucha z początku skomliła i chowała się pod stertę szmat za każdym poruszeniem Geda, gdy jednak leżał w ciemnej chacie, drzemiąc w gorączce, widział ją, jak siedzi w kucki i wpatruje się weń z dziwnym, otępiałym, tęsknym wyrazem twarzy; po chwili zaś przyniosła mu wody do picia. Gdy usiadł, aby wziąć od niej skorupę, przeraziła się i upuściła ją, rozlewając całą wodę,, a potem płakała i ocierała oczy swymi białawoszarymi, długimi włosami.

Teraz przyglądała się Gedowi, gdy pracował w dole na plaży: z wyrzuconego przez fale drewna i zniesionych na brzeg desek ze swojej łodzi formował nową łódź, posługując się nie wygładzonym kamiennym toporem starca i. zaklęciem związującym. Nie była to ani naprawa, ani budowanie łodzi, nie miał bowiem dostatecznej ilości odpowiedniego drewna i to, czego było brak, musiał uzupełniać czystą magią. Jednakże stara kobieta przyglądała się nie tyle jego czarodziejskiej pracy, ile jemu samemu, wciąż z tym samym tęsknym wyrazem twarzy. Po jakimś czasie odeszła i niebawem powróciła z podarunkiem: garścią małżów, które zebrała na skałach. Gdy mu je wręczyła, Ged zjadł małże, surowe i wilgotne od wody morskiej; i podziękował starej. Jakby ośmielona, poszła do chaty i wróciła znowu trzymając coś w dłoniach — zawiniątko zawiązane w gałganek. Bojaźliwie, wpatrując się stale w jego twarz, rozwinęła je i podniosła, aby mógł obejrzeć.

Była to sukienka małego dziecka, uszyta z jedwabnego brokatu, sztywna od drobnych pereł, poplamiona solą morską, pożółkła od upływu lat. Perły na staniczku wyszyte były we wzór znany Gedowi: w kształt podwójnej strzały Boskich Braci z Cesarstwa Kargad, uwieńczonej królewską koroną.

Stara kobieta, pokryta zmarszczkami, brudna, odziana w licho uszyty worek z foczej skóry, wskazała na jedwabną sukieneczkę i na siebie i uśmiechnęła się — słodkim, bezmyślnym uśmiechem niemowlęcia. Z jakiegoś schowka wszytego w spódniczkę sukienki wyjęła drobny przedmiot i podsunęła go Gedowi. Był to kawałek ciemnego metalu, zapewne odłamek pękniętej ozdoby, połówka

złamanego pierścienia. Ged spojrzał na ten przedmiot, ale starucha wskazała gestem, żeby go wziął, i nie była zadowolona, dopóki tego nie zrobił; wtedy skinęła głową i uśmiechnęła się znowu: zrobiła mu prezent. Ale sukienkę zawinęła troskliwie w przetłuszczoną ochronną szmatę i powlokła się z powrotem do chaty, aby ukryć w niej swoje cacko.

Ged włożył złamany pierścień do kieszeni swojej tuniki niemal tak samo troskliwie, jego serce było bowiem pełne litości. Domyślał się teraz, że tych dwoje mogło być dziećmi któregoś z królewskich domów Cesarstwa Kargad; jakiś tyran lub uzurpator, który bał się przelać krew królewską, zesłał ich, aby jako rozbitkowie żyli lub umarli na tej nie naniesionej na mapy wysepce, daleko od brzegów Karego-At. On mógł być wtedy chłopcem ośmio albo dziesięcioletnim, ona — tłuściutkim niemowlęciem, maleńką księżniczką w sukience z jedwabiu i pereł; i tak żyli samotnie przez czterdzieści, pięćdziesiąt lat na skale pośród oceanu — książę i księżniczka Pustkowia.

Lecz przypuszczenia tego Ged nie mógł na razie potwierdzić, sprawdził je dopiero wtedy, gdy wiele lat później poszukiwanie Pierścienia Erreth-Akbego zawiodło go na Wyspy Kargadzkie d do Grobowców Atuanu.

Trzecią noc, którą Ged spędzał na wyspie, rozjaśnił spokojny, blady brzask. Był to dzień Powrotu Słońca, najkrótszy dzień roku. Mała łódź Geda, zbudowana z drewna i magii z obrzynków desek i z zaklęć, była gotowa. Próbował powiedzieć starym, że zabierze ich na dowolną wyspę, Gont, Spevy czy Torykle; mógłby ich nawet wysadzić na odludnym brzegu Karego-At, gdyby tego żądali, wody kargijskie nie były na tyle bezpieczne, aby mógł na nie zapuszczać mieszkaniec Archipelagu. Starzy nie cieli jednak opuścić swojej jałowej wyspy. Kobieta zdała się nie rozumieć, co Ged chce powiedzieć swymi gestami i łagodnymi słowami; starzec zrozumiał i odmówił. Cała jego pamięć o innych lądach i innych ludziach była wyniesionym z dzieciństwa koszmarem pełnym krwi, olbrzymów i wrzasku: Ged mógł dostrzec to w twarzy starca gdy ten nie przestawał potrząsać przecząco głową. Tak więc tego rana Ged napełnił wodą ze studzienki bukłak z foczej skóry i — jako że nie mógł podziękować starym za ogień i pożywienie, ani też nie miał prezentu, którym chciał się odwdzięczyć kobiecie — uczynił, co mógł: rzucił urok na to słone i zawodne źródło. Woda trysnęła poprzez piasek tak słodka i czysta, jak któreś z górskich źródeł na wyżynach wyspy Gont, i podobnie jak one pociekła nigdy nie wysychającym strumieniem. Z tej to przyczyny ów spłacheć piasku i skał znajduje się obecnie na mapach i ma swoją nazwę: żeglarze nazywają go Wyspą Źródlanej Wody. Ale chaty już nie ma, a sztormy wielu zim nie pozostawiły ani śladu po tych dwojgu, którzy dokonali tu swego żywota i umarli samotnie.

Oboje pozostali ukryci w chacie, jakby bali się przyglądać, gdy Ged odpływał swą łodzią z piaszczystego południowego krańca wyspy. Pozwolił, aby naturalny wiatr, wiejący równomiernie z północy, napełnił jego żagiel z wyczarowanego zaklęciem płótna, po czym pomknął naprzód po morzu.

Obecna morska pogoń Geda była czymś osobliwym, gdyż wiedział dobrze, że jest ścigającym, który nie wie ani tego, czym jest ścigana przezeń rzecz, ani tego, gdzie jej szukać na obszarze całego Światomorza. Musiał ją ścigać za pomocą domysłu, przeczucia, trafu, tak samo jak ona jego niegdyś ścigała. Byli nawzajem ślepi na swoje istnienia: Geda tak samo wywodziły w pole nieuchwytne cienie, jak cień bywał zbijany z tropu przez światło dzienne i przedmioty materialne. Jedną tylko miał Ged pewność: że był teraz rzeczywiście ścigającym, a nie ściganym. Podstępnie zwabiony przez cień na skały, Ged był przecież zdany na jego łaskę i niełaskę przez cały ten czas, gdy leżał półżywy na brzegu, a potem błądził w ciemności i burzy po wydmach; a jednak cień nie czekał na tę sposobność. Wywiódł go w pole i natychmiast uciekł, nie odważając się teraz z nim zmierzyć. Po tym Ged poznał, że Ogion miał rację: cień nie mógł wyssać zeń jego mocy, dopóki Ged zwracał się przeciw niemu. Musiał więc nadal przeciw niemu się zwracać, nadal go ścigać, chociaż ślady cienia na tych rozległych morzach już ostygły i Ged nie miał się czym kierować prócz pomyślnego trafu — naturalnego wiatru wiejącego na południe oraz mglistego domysłu czy wrażenia, że południe albo wschód są właściwymi kierunkami pogoni.

Przed nastaniem nocy ujrzał w oddali po lewej ręce długi, ledwie widoczny zarys brzegu wielkiego lądu, który z pewnością był wyspą Karego-At. Ged znalazł się w samym centrum szlaków morskich owego barbarzyńskiego białego ludu. Z bacznie natężoną uwagą wypatrywał jakiegoś kargijskiego statku czy galery; żeglując przez purpurę wieczoru wspomniał tamten poranek ze swoich chłopięcych czasów w wiosce Dziesięć Olch — wojowników z pióropuszami, ogień, mgłę. I myśląc o tym dniu pojął naraz, z niepokojem w sercu, że cień wywiódł go w pole jego własnym fortelem, rozsnuwając wokół niego na morzu ową mgłę, jakby wysnutą z własnej przeszłości Geda, czyniąc go ślepym na niebezpieczeństwo i prowadząc go, okpionego, prosto w śmierć.

Nadal trzymał kurs na południowy wschód; ląd zniknął z jego oczu, gdy noc spłynęła na wschodni skraj świata. Zagłębienia fal napełniały się już mrokiem, podczas gdy grzebienie błyszczały jeszcze jasnoczerwonym odblaskiem zachodu. Ged zaśpiewał głośno Kolędę Zimową i te pieśni z Czynów Młodego Króla, które pamiętał — pieśni te bowiem śpiewa się w dniu święta Powrotu Słońca. Głos młodzieńca był czysty, ale ginął w ogromnej ciszy morza. Wkrótce nastała

ciemność i zjawiły się zimowe gwiazdy.

Przez całą tę najdłuższą noc w roku Ged czuwał, patrząc na gwiazdy wschodzące po lewej ręce, przesuwające się koliści e nad głową i tonące w dalekich czarnych wodach po prawej, gdy tymczasem przeciągły wiatr zimowy niósł go nieprzerwanie na południe po niewidocznym morzu. Mógł spać tylko po parę chwil od czasu do czasu, budząc się gwałtownie za każdym razem. Łódź, w której płynął, nie była w rzeczywistości łodzią, lecz czymś złożonym co najmniej w połowie z czarów i magii, w pozostałej zaś części ze zwykłych desek i wyrzuconego przez morze drewna; gdyby pozwolił rozluźnić się zaklęciom kształtującym i zaklęciu związującemu to wszystko, łódź niezadługo straciłaby równowagę, rozsypała się i odpłynęła w różne strony, unosząc się na falach w postaci wiązki szczątków. Także żagiel, utkany z magii i powietrza, nie przetrwałby długo na wietrze, gdyby Ged zasnął, lecz sam stałby się podmuchem wiatru. Zaklęcia Geda były skuteczne i silne, ale kiedy takie zaklęcia dotyczą niewielkiej rzeczy, moc, która utrzymuje je w działaniu, musi być co chwila odnawiana: toteż Ged nie spał tej nocy. Mknąłby łatwiej i szybciej jako sokół lub delfin, ale Ogion doradził mu, aby nie zmieniał swej postaci, a Ged wiedział, ile jest warta rada Ogiona. Tak więc płynął na południe pod sunącymi na zachód gwiazdami i długa noc mijała powoli, póki wreszcie pierwszy dzień nowego roku nie rozjaśnił morza naokoło.

Wkrótce po wschodzie słońca Ged ujrzał przed sobą ląd, lecz nie posuwał się wiele w jego stronę. Wiatr naturalny przycichł wraz ze świtem. Ged wzbudził lekki wiatr magiczny, który zadął w żagiel i popchnął łódź w kierunku lądu. Na jego widok znów ogarnęła go trwoga, omdlewający strach, który namawiał do zawrócenia i ucieczki. I Ged popłynął za tym lękiem, jak łowca idzie za śladami, za szerokimi, niezgrabnymi, pazurzastymi tropami niedźwiedzia, mogącymi w każdej chwili wypaść na myśliwego z gąszczy. Teraz bowiem Ged był blisko — i wiedział to.

Dziwacznie wyglądał ten ląd, w miarę podpływania wynurzający się coraz bardziej ponad morze. To co z dala wydawało się jedną pionową ścianą górską, rozszczepiło się na kilka długich, stromych grzbietów, być może oddzielnych wysp, pomiędzy którymi na wąskich cieśninach czy kanałach rozciągało się morze. W swoim czasie Ged ślęczał w Wieży Mistrza Imion na Roke nad wieloma mapami mórz i lądów, ale mapy te obejmowały przeważnie Archipelag i morza wewnętrzne. Teraz wypłynął na Wschodnie Rubieże i nie wiedział, co to może być za wyspa. Nie był zresztą w stanie wiele o tym myśleć. To strach leżał przed nim, to strach czyhał, ukrywając się lub czekając na niego wśród stoków górskich i lasów wyspy; i wprost ku niemu Ged sterował.

Ciemne, zwieńczone lasem urwiska zamajaczyły mrocznie, wznosząc się wysoko nad łodzią, a pył wodny z fal rozbijających się o skaliste cyple spryskał jej żagiel; tymczasem magiczny wiatr niósł Geda pomiędzy dwoma wielkimi przylądkami do cieśniny, w głąb fiordu, który wcinał się przed nim głęboko w wyspę, nie szerszy niż długość dwu galer. Wtłoczone w cieśninę morze było niespokojne i burzyło się przy urwistych brzegach. Nie było na nich plaż: urwiska opadały pionowo w wodę ciemniejszą zimnym odbiciem ich wyniosłości. Było bezwietrznie i bardzo cicho.

Cień zwabił już Geda podstępem na wrzosowiska osskilskie, a potem podstępnie skierował go we mgle na skały; czyżby teraz miał to być trzeci podstęp? Czy cień został tu przez Geda zagnany, czy też sam wciągnął go tu jak w pułapkę? Ged nie wiedział. Czuł tylko udrękę strachu i pewność, że musi płynąć naprzód i uczynić to, co sobie postawił jako cel: musi dopaść zło, ścigać swój strach aż do jego źródła. Sterował bardzo czujnie, rozglądając się bacznie wokoło oraz mierząc wzrokiem urwiska u góry i u dołu po obu stronach. Światło nowego dnia pozostawił za sobą na otwartym morzu. Tutaj wszystko tonęło w mroku. Otwierający się pomiędzy cyplami wylot cieśniny wydawał się odległą, jasną bramą, gdy Ged zerkał do tyłu. Coraz wyżej wznosiły się nad jego głową urwiska, gdy zbliżał się do podstawy góry, z której wyrastały, a dróżka wodna stawała się coraz węższa. Ged zapuścił wzrok w ciemniejącą przed nim rozpadlinę, a potem podniósł oczy na lewo i prawo, na wielkie, podziurawione grotami, usypane okrąglakami zbocza, na których rosły przycupnięte drzewa z korzeniami do połowy w powietrzu… Nic się nie poruszało. Ged dopłynął już do końca fiordu, do wysokiej, ostrej, pofałdowanej bryły skalnej, o którą pluskały słabo, zważone do szerokości małej zatoczki, ostatnie fale morskie. Zwalone głazy, spróchniałe pnie i korzenie wykrzywionych drzew pozostawiały dla sterowania jedynie ciasne przejście. Pułapka: mroczna pułapka u podstawy milczącej góry i on, Ged, znalazł się w tej pułapce. Nic nie poruszało się przed nim ani ponad nim. Wokół panowała grobowa cisza. Dalej już nie mógł płynąć.

Zawrócił łódź, obracając ją starannie wkoło zaklęciem i naprędce skleconym wiosłem, aby nie natknęła się na podwodne skały lub nie zaplątała w wystające korzenie i gałęzie; nareszcie łódź zwróciła się znowu dziobem ku wyjściu i Ged miał już wzbudzić wiatr, aby wrócić drogą, którą przybył, gdy nagle słowa zaklęcia zamarły na jego ustach, a serce w nim zlodowaciało. Obejrzał się przez ramię. W łodzi za nim stał cień.

Gdyby Ged stracił choć chwile, sam byłby stracony; był jednak przygotowany na to i zrobił gwałtowny ruch, aby uchwycić i przytrzymać stwora, który chwiał się i drżał w zasięgu ręki. Nie mogła

już teraz posłużyć Gedowi żadna sztuka czarnoksięska, lecz jedynie jego własne ciało, samo jego życie ścierające się ze swym przeciwieństwem. Nie wymówił ani słowa, lecz rzucił się do ataku; łódź zanurzyła się i zakołysała od jego nagłego obrotu i wypadu. Ból przebiegł ku barkom Geda, wniknął w jego pierś, odbierając mu oddech, wypełniło go lodowate zimno i przestał widzieć; mimo to w jego rękach, które pochwyciły cień, nie było nic — ciemność, powietrze.

Ged potknął się i złapał za maszt przed sobą, aby nie upaść; przeszywające, światło powróciło do jego oczu. Ujrzał, że cień, wzdrygając się, cofa się odeń i kurczy, a potem na moment rozdyma potężnie, urastając ponad niego i ponad żagiel. Potem, jak czarny dym w porywach wiatru, cień szarpnął się i umknął, bezkształtny, po wodzie, w stronę jasnej bramy między urwiskami.

Ged osunął się na kolana. Mała, połatana zaklęciami łódź zanurzyła się ponownie i kołysząc się znieruchomiała, unoszona na niespokojnych falach. Ged skulił się w niej, zdrętwiały, bezmyślny, łapiąc z trudem oddech, póki nareszcie zimna woda tryskająca spod dłoni nie ostrzegła go, że musi zadbać o swą łódź, bowiem związujące ją zaklęcia coraz bardziej słabły. Powstał, trzymając się laski, która tworzyła maszt, i na nowo, najlepiej jak potrafił, utkał zaklęcie związujące. Był zziębnięty i znużony; ręce i ramiona bolały go okrutnie, nie było w nim ani krzty mocy. Miał ochotę pozostać w tym ciemnym zakątku, w którym morze spotykało się z górą, i spać, spać, na nie znającej spoczynku, rozkołysanej wodzie.

Nie potrafił określić, czy to znużenie było urokiem rzuconym nań przez cień w momencie ucieczki, czy pochodziło z przenikliwego zimna, jakie odczuł przy jego dotknięciu, czy też brało się ze zwykłego głodu, wyczerpania i potrzeby snu; przemógł jednak znużenie, zmuszając się do wzbudzenia lekkiego wiatru magicznego, który, dmąc w żagiel, poniósł łódź ciemnym szlakiem wodnym, szlakiem ucieczki cienia.

Wszelkie przerażenie znikło. Wszelka radość znikła. To już nie była pogoń. Nie był teraz ani ściganym, ani ścigającym. Po raz trzeci spotkali się i dotknęli: Ged z własnej woli zwrócił się ku cieniowi, usiłując przytrzymać go żywymi rękami. Nie przytrzymał cienia, ale wykuł między sobą a nim więź, ogniwo bez słabego punktu. Teraz nie było już potrzeby doścignąć stwora ani go tropić; jego ucieczka też na nic mu się zdać nie mogła. Żaden z nich nie mógł uciec. Gdy dojdą już do czasu i miejsca swego ostatniego spotkania — spotkają się.

Ale aż do czasu owego spotkania i wszędzie poza miejscem, w którym ono nastąpi, Ged nie znajdzie odpoczynku ani spokoju, w dzień czy w nocy, na ziemi czy na morzu. Wiedział teraz — i trudna to była wiedza — że jego zadanie nie polegało nigdy na tym, aby

przekreślić to, co uczynił, lecz na tym, aby skończyć, co zaczai.

Wypłynął spomiędzy ciemnych urwisk: na morzu roztaczał się jasny poranek, a z północy dął sprzyjający wiatr.

Ged wypił wodę, jaka mu jeszcze pozostała w bukłaku z foczej skóry, i posterował naokoło najbardziej na wschód wysuniętego cypla, póki nie wpłynął w obszerną cieśninę, która dzieliła cypel od drugiej wyspy leżącej na zachód. Wtedy rozpoznał okolicę, przypominając sobie mapy morskie Wschodnich Rubieży. To były Dłonie, para samotnych wysp, które wysuwają swoje górzyste palce na północ w stronę Wysp Kargadzkich. Ged popłynął dalej dwoma wyspami i gdy popołudnie pociemniało od naciągających z północy burzowych chmur, przybił do południowego brzegu zachodniej wyspy. Widział, że, ponad plażą jest tam mała wioska, ze strumieniem spływającym kaskadą ku morzu; nie troszczył się wiele o przyjęcie, jakiego dozna byle tylko mógł znaleźć we wsi wodę, ciepło ognia i sen.

Wieśniacy okazali się bojaźliwymi prostakami, lękającymi się laski czarnoksiężnika; nieufni wobec obcej twarzy, byli jednak gościnni dla kogoś, kto zjawił się sam, a przypłynął morzem i tuż przed burzą. Nakarmili Geda obficie mięsem i napoili, dodali mu otuchy ogniem na kominku i ludzkimi głosami, które mówiły jego własnym hardyckim narzeczem, wreszcie, co najlepsze, dali mu gorącej wody, aby mógł obmyć z siebie chłód i sól morza, i wskazali łóżko, w którym mógł się przespać.

9. IFFISH

Ged spędził trzy dni w tej wiosce na Zachodniej Dłoni, nabierając sił i przygotowując do drogi łódź — łódź zbudowaną już nie z zaklęć i morskich odpadów, lecz z tęgiego drewna dobrze zbitego kołkami i uszczelnionego, z grubym masztem i własnym żaglem, tak aby Ged mógł łatwo żeglować i spać w niej w razie potrzeby. Jak większość łodzi z Północy i z Rubieży, była zbita na nakładkę, z deskami zachodzącymi jedna na drugą i mocno dociśniętymi, co dawało jej wytrzymałość na wzburzonym morzu; każda część łodzi była solidna i starannie wykonana. Ged wzmocnił jej deski, wplatając pomiędzy nie zaklęcia, spodziewał się bowiem, że odbędzie na niej długą podróż. Łódź była zbudowana do przewozu dwu -tub trzech osób i starzec, który był jej właścicielem, mówił, że wraz ze swymi braćmi pływał na niej przez wzburzone morza i w słotną pogodę, a łódź stawiała wszystkiemu dzielnie czoło.

W przeciwieństwie do przebiegłego gontyjskiego rybaka starzec, pełen lęku i podziwu dla czarnoksięstwa Geda, był gotów nawet podarować mu łódź. Ged zapłacił mu jednak za nią w sposób, w jaki to czynią czarownicy: uzdrawiając mu oczy z zaćmy, która stopniowo odbierała mu wzrok. Wtedy uradowany starzec powiedział mu:

— Nazwaliśmy tę łódź „Czajka", ale ty nazwij ją „Bystre Oko" i namaluj oczy z obu stron dziobu, a moja wdzięczność będzie ci służyć, wyzierając z tego ślepego drewna i chroniąc cię przed skałami i rafami, Albowiem zapomniałem już, ile jest na świecie światła, póki ty mi go nie zwróciłeś.

Nie tylko tymi pracami zajmował się Ged w czasie swego pobytu w owej wiosce pod porośniętymi lasem zboczami Dłoni, gdy już odzyskał swoją moc. Tutejsi ludzie byli tacy sami jak ci, których znał jako chłopiec w Dolinie Północnej wyspy Gont, choć jeszcze ubożsi niż tamci. Z nimi czuł się swojsko, tak jak nigdy by się nie czuł na dworach bogaczy, i odgadywał ich potrzeby, nie musząc o nic pytać. Rzucał więc uroki uzdrawiające i ochronne na ułomne lub słabowite dzieci i zaklęcia wzrostu na należące do wieśniaków mierne stadka kóz i owiec; umieszczał runy Simn na wrzecionach i krosnach, na wiosłach łodzi oraz na narzędziach z brązu i kamienia, które mu przynoszono, tak aby mogły wykonywać dobrze swoją pracę; a na krokwiach chat wypisywał runy Pirr, które chronią dom i jego mieszkańców od ognia, wiatru i obłędu.

Gdy jego łódź „Bystre Oko" była gotowa i dobrze zaopatrzona w słodką wodę i suszoną rybę, pozostał w wiosce jeszcze dzień, aby nauczyć miejscowego młodego pieśniarza Czynów Morreda i Pieśni z Havnorit. Do brzegów Dłoni bardzo rzadko przybijał jakiś statek z

Archipelagu: pieśni ułożone przed stu laty były dla tych wieśniaków nowością, łaknęli więc słuchania opowieści o bohaterach. Gdyby Ged był wolny od swego brzemienia, pozostałby tu chętnie tydzień lub miesiąc, aby śpiewać im to, co znał, i aby wspaniałe pieśni poznano na nowej wyspie. Ale wolny nie był i nazajutrz rano odpłynął w drogę, kierując się wprost na południe po rozległych wodach Rubieży. Gdyż właśnie na południe oddalił się był cień. Ged nie musiał rzucać zaklęcia odnajdującego, aby to wiedzieć: wiedział ta z taką pewnością, jakby wiązał go z cieniem cieniu, rozwijający się sznur, niezależnie od tego, ile mil, mórz i lądów mogło leżeć między nimi. Toteż pełen pewności, bez pośpiechu i bez nadziei podążał szlakiem, którym musiał podążać, a zimowy wiatr niósł go na południe.

Całą dobę żeglował Ged po odludnym morzu, a na drugi dzień przybił do małej wysepki, która, jak mu powiedziano, nazywała się Yenrish Ludzie w małym porcie spoglądali na Geda krzywo; wkrótce nadszedł pośpiesznie ich czarownik. Spojrzał surowo na Geda, potem skłonił się i rzekł głosem jednocześnie napuszonym i przypochlebnym:

— Czarnoksiężniku, panie mój! Wybacz moją zuchwałość i uczyń nam zaszczyt, przyjmując od nas wszystko, cokolwiek przyda ci się w podróży — jadło, napitek, płótno żaglowe, liny — moja córka niesie właśnie do twej łodzi parę świeżo upieczonych kur — sądzę wszakże, że byłoby roztropnie, gdybyś ruszył stąd dalej w swoją drogę tak prędko, jak ci to będzie dogodne. Ludzie są przerażeni. Niedawno bowiem, przedwczoraj, widziano tu kogoś, kto szedł pieszo przez naszą skromną wysepkę z północy na południe, a nie widziano żadnej łodzi, która by przybyła z nim na pokładzie, ani też żadnej łodzi, która by z nim odpłynęła; nie dostrzeżono również, aby ten ktoś rzucał cień. Ci, którzy go widzieli, powiadają mi, że zdradzał pewne podobieństwo do ciebie, panie.

Na te słowa Ged z kolei skłonił głowę, odwrócił się i poszedł z powrotem na przystań wyspy Yemish, skąd wypłynął, nie oglądając się za siebie. Nie było warto straszyć mieszkańców wyspy albo czynić sobie wroga z ich czarownika. Wolał raczej spać znowu na morzu i zastanowić się nad nowiną, którą mu przekazał czarownik; gdyż dała mu ona wiele do myślenia.

Skończył się dzień i minęła noc; zimny deszcz szemrał ponad morzem przez wszystkie godziny mroku i szarego świtania. Łagodny wiatr północny wciąż niósł „Bystre Oko” naprzód. Po południu deszcz ustał, a mgła się rozwiała i co jakiś czas błyskało słońce; wreszcie pod koniec dnia Ged ujrzał po prawej w poprzek swego kursu niskie, błękitne wzgórza wielkiej wyspy, opromienione tym błędnym, zimowym światłem słonecznym. Dym z kominów snuł się sino nad łupkowymi dachami małych miasteczek tkwiących pomiędzy wzgórzami: przyjemny widok z niezmiernej jednostajności morza.

Za flotyllą łodzi rybackich Ged wpłynął do ich portu; idąc pod górę ulicami miasteczka w złotym zimowym wieczorze, znalazł oberżę pod nazwą „Harrekki", gdzie rozpalony ogień, piwo i pieczone baranie żeberka rozgrzały mu ciało i duszę. Przy stołach oberży siedziało paru innych podróżnych, kupców ze Wschodnich Rubieży, obecni byli jednak w większości mieszkańcami miasteczka, przybyłymi tu dla dobrego piwa, nowin i rozmowy. Nie byli to nieokrzesani, nieśmiali ludzie, jak rybacy z Dłoni, ale prawdziwi mieszczanie, stateczni i raźni. Z pewnością poznali, że Ged jest czarnoksiężnikiem, ale nie padło na ten temat ani słowo — poza tym, że oberżysta, człowiek rozmowny, napomknął, iż to miasto, Ismay, ma szczęście posiadać na spółkę z innymi miasteczkami wyspy nieoceniony skarb w postaci utalentowanego czarnoksiężnika kształconego w Szkole na Roke, który otrzymał swą laskę od samego Arcymaga i który, choć akurat teraz nie ma go w mieście, mieszka w swym domu rodzinnym właśnie w mieście Ismay, nie żywiącym, jak z tego wynika, potrzeby goszczenia nikogo innego, kto praktykuje wysokie kunszty. — Jak to mówią, „dwie laski w jednym mieście muszą się wdać w bójkę", prawda, panie? — zapytał oberżysta, uśmiechnięty i pogodny. W ten sposób Ged został powiadomiony, że jako najemny czarnoksiężnik, pragnący się utrzymać z czarów, nie jest tu pożądany. Tak więc odprawiono go już bez obsłonek z Vemish i uprzejmie z Ismay — i dziwił się temu, co mu niegdyś mówiono o życzliwym sposobie przyjmowania na Wschodnich Rubieżach. Ta wyspa nazywała się Iffish; tutaj urodził się jego przyjaciel Vetch. Nie wydawała się tak gościnnym miejscem, jak to Vetch twierdził.

A jednak naokoło siebie Ged widział w istocie dość życzliwe twarze. Rzecz była w tym, że ludzie owi czuli instynktownie to, co — jak wiedział — było prawdą: iż jest od nich oddzielony, odcięty, iż niesie w sobie zgubny los i dąży za mrocznym stworem. Był jak zimny wiatr wionący przez oświetloną ogniem izbę, jak czarny ptak przygnany burza z obcych lądów. Im wcześniej ruszy w dalszą drogę, zabierając ze sobą swoje złe przeznaczenie, tym lepiej dla tych ludzi.

— Poszukuję kogoś — powiedział oberżyście. — Pozostanę tu tylko na noc lub dwie. — Mówił posępnym tonem. Oberżysta, rzuciwszy okiem na wielką cisową laskę w kącie, nie powiedział już ani słowa, ale napełnił kufel Geda brązowym piwem, aż piana, przelała się przez brzeg.

Ged wiedział, że powinien, spędzić w Ismay tylko tę jedną noc. Nie był mile widziany ani tu, ani gdzie indziej.

Musiał udać się tam, dokąd wiodła jego droga. Ale zbrzydło mu już zimne, puste morze i cisza, w której nie odzywał się doń żaden głos. Powiedział sobie, że spędzi jeden dzień w Ismay i nazajutrz odpłynie. Zasnął późno; gdy się zbudził, padał lekki śnieg i Ged

wałęsał się bezczynnie po zaułkach i bocznych drogach miasteczka, obserwując ludzi, którzy krzątali się przy swoich zajęciach. Przyglądał się otulonym w futrzane peleryny dzieciom, lepiącym bałwany i zamki ze śniegu; słuchał plotek opowiadanych z otwartych drzwi poprzez szerokość ulicy, oglądał przy pracy kowala brązownika z małym pomocnikiem, rumianym i spoconym, poruszającym długie miechy u paleniska do wytapiania; przez okna, o zmierzchu krótkiego dnia prześwietlone od wewnątrz przyćmionym czerwonawym złotem, widział kobiety przy krosnach, odwracające się na chwile, aby powiedzieć coś albo uśmiechnąć się do dziecka lub męża w cieple domowego wnętrza. Ged widział to wszystko z zewnątrz, odosobniony i sam; serce ciążyło mu bardzo, choć nie chciał przyznać się przed sobą samym, że mu smutno. Gdy zapadła noc, wciąż jeszcze kontynuował swą wędrówkę ulicami, nie kwapiąc się z powrotem do oberży. Usłyszał mężczyznę i dziewczynę rozmawiających ze sobą wesoło, gdy mijając go schodzili ulica w stronę miejskiego placu, i nagle odwrócił się: znał głos tego mężczyzny.

Pobiegł za nimi i dogonił parę; zbliżył się do nich z boku w późnym zmierzchu rozświetlonym tylko odległymi odblaskami latarni. Dziewczyna cofnęła się, ale mężczyzna wytrzeszczył nań oczy, po czym podrzucił gwałtownie laskę, którą niósł, trzymając ją pomiędzy sobą a Gedem jak zaporę mającą odwrócić groźbę albo działanie zła. To już było nieco więcej, niż Ged mógł znieść. Jego głos zadrżał lekko, gdy powiedział:

— Myślałem, że mnie poznasz, Vetch.

Nawet po tych stówach Yetch wahał się przez chwilę.

— Ależ poznaję cię — powiedział, opuścił laskę, uścisnął dłoń Geda i wziął go w objęcia — poznaję! Witaj, przyjacielu, witaj! W jakże przykry sposób cię powitałem, jak gdybyś był zbliżającym się z tyłu duchem — a tak czekałem na twoje przybycie, tak cię szukałem…

— Więc to ty jesteś czarnoksiężnikiem, którym się przechwalają w Ismay? Nie wiedziałem…

— Och, tak, jestem ich czarnoksiężnikiem; ale posłuchaj, pozwól mi powiedzieć, dlaczego cię nie poznałem, bracie. Może zbyt usilnie cię szukałem. Trzy dni temu — czy byłeś trzy dni temu tu, na wyspie Iffish?

— Przypłynąłem wczoraj.

— Trzy dni temu na ulicy w Quor, wiosce leżącej tam wyżej, w górach, ujrzałem ciebie. To znaczy, ujrzałem twój wizerunek czy też coś, co ciebie naśladowało, albo może po prostu człowieka, który jest do ciebie podobny. Szedł przede mną wychodząc z miasteczka i zniknął za zakrętem drogi właśnie w chwili, gdy go ujrzałem. Zawołałem i nie otrzymałem odpowiedzi, poszedłem za nim. i nikogo nie znalazłem; nie było żadnych śladów, ale ziemia była zmarznięta.

Było to podejrzane, toteż teraz, widząc, że wyłaniasz się z ciemności w taki sposób, myślałem, że to znowu jakieś przywidzenie. Przepraszam cię, Ged. — Wymówił prawdziwe imię Geda cicho, tak aby nie usłyszała tego dziewczyna, która stała wyczekując w pewnym oddaleniu za nim.

Ged także odezwał się półgłosem, aby użyć prawdziwego imienia przyjaciela:

— Nie szkodzi, Estarriol. Ale to jestem ja i rad jestem, że cię widzę…

Vetch usłyszał zapewne coś więcej niż zwykłą radość w jego głosie. Wciąż jeszcze nie puszczając ramienia Geda, powiedział w Prawdziwej Mowie:

— W strapieniu i z głębi mroku przybywasz, Ged, a jednak raduje mnie twoje przybycie. — Potem mówił dalej po hardycku, ze swoim akcentem z Rubieży: — Dalej, chodź z nami, idziemy do domu, czas byłby wejść do środka z tych ciemności!… Oto moja siostra, najmłodsza z nas, ładniejsza — jak widzisz — ode mnie, ale o wiele mniej rozgarnięta: ma na imię Yarrow. Yarrow, oto Krogulec, najlepszy z nas i mój przyjaciel.

— Witaj, panie czarnoksiężniku — pozdrowiła go dziewczyna, skromnie chyląc głowę i zakrywając oczy dłońmi dla okazania szacunku, jak to czynią kobiety na Wschodnich Rubieżach; jej oczy, gdy ich nie zakrywała, były jasne, nieśmiałe i zaciekawione. Mogła mieć lat czternaście; była ciemna jak jej brat, ale bardzo szczupła i wysmukła. W jej rękaw wczepiał się skrzydlaty i szponiasty smok, nie dłuższy od jej dłoni.

Ruszyli razem w dół mrocznej ulicy, a Ged zauważył, gdy szli:

— Na wyspie Gont twierdzi się, że tamtejsze kobiety są odważne, ale nie widziałem tam nigdy, aby panna nosiła smoka jako bransoletkę.

Słowa te sprawiły, że Yarrow zaśmiała się i odparła bez namysłu:

— To tylko harrekki, czy nie macie takich na wyspie Gont? — Po czym zawstydziła się na chwilę i zakryła oczy.

— Nie mamy, podobnie jak smoków. A to stworzenie nie jest smokiem?

— Owszem, małym, który żyje na gałęziach dębu, je psy, robaki i jaja wróbli — nie wyrasta nigdy większy niż ten. Och, panie, brat opowiadał mi często o twoim ulubionym zwierzątku, o tym dzikim otaku — czy masz go jeszcze?

— Nie. Już nie.

Vetch obrócił się. ku niemu, jakby chcąc zadać pytanie, ale powściągnął język i nie zapytał o nic aż do chwili, gdy znacznie później siedzieli sami przy kamiennym palenisku w jego domu.

Chociaż Vetch był najważniejszym czarnoksiężnikiem na całej

wyspie Iffish, osiedlił się w Ismay, małym miasteczku, w którym się urodził, i mieszkał tu ze swym najmłodszym bratem i siostrą. Jego ojciec był w swoim czasie dość zamożnym kupcem morskim; dom był przestronny i wsparty na mocnych belkach, z mnóstwem domowego dobytku w postaci glinianych naczyń, cienkich tkanin oraz naczyń z brązu i mosiądzu na rzeźbionych półkach i skrzyniach. W jednym kącie głównej komnaty stała wielka harfa taonijska, w innym zaś — warsztat Yarrow do tkania gobelinów, z wysoką ramą krosien inkrustowaną kością słoniową. Tutaj Vetch, wbrew wszelkim swym prostym i spokojnym obyczajom, był zarazem potężnym czarnoksiężnikiem i panem w swym własnym domu. Było tu dwoje służby, leciwych jak sam dom, i pogodny chłopak, brat Yetcha, i Yarrow, zwinna i milcząca jak mała rybka; dziewczyna podała dwom przyjaciołom wieczerzę i jadła z nimi słuchając ich rozmowy, a potem wyśliznęła się do swej własnej izby. Wszystko tutaj było na swoim miejscu, spokojne i pewne; toteż Ged, rozglądając się po oświetlonej ogniem komnacie, powiedział:

— Oto jak powinno się żyć — i westchnął.

— Cóż, to tylko jeden z dobrych sposobów — powiedział Vetch. — Są i inne. Teraz, bracie, opowiedz mi, jeśli możesz, co się z tobą działo od czasu, gdy ostatni raz rozmawialiśmy, dwa lata temu. I opowiedz mi o swojej obecnej podróży, bo dobrze widzę, że tym razem nie zostaniesz z nami długo.

Ged opowiedział mu, a gdy skończył, Vetch siedział przez dłuższy czas zadumany. Potem powiedział:

— Pojadę z tobą, Ged.

— Nie.

— A jednak pojadę.

— Nie, Estarriol. To nie twoje zadanie i nie twoje nieszczęście. Rozpocząłem tę złą podróż sam i skończę ją sam, nie chcę, aby kto inny od tego ucierpiał — a już zwłaszcza ty, ty, który próbowałeś powstrzymać przed złym postępkiem moją rękę na samym początku, Estarriol…

— Duma zawsze była panią twojej duszy — rzekł jego przyjaciel uśmiechając się, jak gdyby rozmawiali o sprawie niewiele ich obu dotyczącej. — Ale pomyśl: to ty prowadzisz poszukiwanie, z pewnością; lecz jeśli poszukiwanie skończy się niepowodzeniem, czyż nie powinien być przy tobie ktoś inny, kto mógłby zanieść ostrzeżenie na Archipelag? Cień stałby się wtedy przecież straszną potęgą. A jeśli pokonasz tego stwora, czyż nie powinien być przy tobie ktoś jeszcze, kto opowie o tym na Archipelagu, tak aby ów czyn mógł być znany i opiewany? Wiem, że mogę ci się na nic nie przydać; minio to myślę, że powinienem pojechać z tobą.

Tak ubłagany, Ged nie potrafił odmówić przyjacielowi, ale

powiedział:

— Nie powinienem był pozostawać tu dzisiaj. Wiedziałem o tym, a jednak pozostałem.

— Czarnoksiężnicy nie spotykają się przypadkiem, bracie — rzekł Vetch. — A poza tym, jak sam powiedziałeś, byłem przy tobie na początku twej podróży. Wypada, abym szedł za tobą aż do jej końca. — Dorzucił drew do ognia i siedzieli przez chwilę wpatrzeni w płomienie.

— Jest ktoś, o kim nie słyszałem od tamtej nocy na Pagórku Roke i o kogo nie odważyłem się spytać nikogo w Szkole: mam na myśli Jaspera.

— Nigdy nie zdobył laski. Opuścił Roke tego samego lata i popłynął na wyspę O, aby być czarownikiem na dworze władcy w O-Tokne. Nic poza tym o nim nie wiem.

Znowu milczeli, wpatrując się w ogień i rozkoszując — jako że noc była przejmująco zimna — ciepłem, które biło w ich twarze, gdy siedzieli na szerokim obmurowaniu paleniska, ze stopami niemal w węglach.

Ged odezwał się wreszcie cichym głosem:

— Jest coś, czego się lękam, Estarriol. Będę się tego lękać bardziej, jeśli będziesz mi towarzyszył w podróży. Tam, na Dłoniach, w samym końcu ślepego fiordu rzuciłem się na cień, był w zasięgu moich rąk, i pochwyciłem go — próbowałem go pochwycić. I nie było nic, co dałoby się wziąć w ręce. Nie mogłem go pokonać. Uciekł, podążyłem za nim. Ale może to się zdarzyć jeszcze kilka razy. Nie mam nad tym stworem władzy. Może nie być ani śmierci, ani triumfu u kresu mojego poszukiwania; niczego, co można by opiewać; żadnego końca. Może być tak, że będę musiał spędzić życie na gonitwie z morza na morze i z lądu na ląd w nieskończonej, bezowocnej próbie sił, w wiecznym poszukiwaniu cienia.

— Niech się to odwróci! — rzekł Vetch, wykręcając lewą rękę gestem, który odwraca zły los, o jakim była mowa. Wbrew całej posępności swych myśli Ged uśmiechnął się z lekka na ten widok, gdyż jest to raczej zaklęcie dziecka niż czarnoksiężnika; Vetch miał w sobie zawsze coś z naiwnego wieśniaka. Ale był zarazem także bystry, przenikliwy, zdolny do trafienia w sedno sprawy. Mówił teraz: — To ponura myśl i ufam, że fałszywa. Jest chyba raczej tak, że jeśli widziało się początek czegoś, można zobaczyć i koniec. Dowiesz się w jakiś sposób, jaka jest natura cienia, jego istota, czym on jest — i w ten sposób pochwycisz go, pojmiesz i pokonasz. Chociaż trudne to pytanie: czym on jest… Jest coś, co mnie trapi, nie pojmuję tego. Zdaje się, że cień przybiera teraz twoją postać albo przynajmniej upodobnił się jakoś do ciebie: takim widziano go na wyspie Vemish i takim ja go widziałem tu, na Iffish. Jak to możliwe i dlaczego; i czemu

cień nigdy tak nie uczynił na Archipelagu?

— Jak to mówią: „Na Rubieżach zmieniają się reguły".

— Tak, to trafne przysłowie, zapewniam cię. Są dobre zaklęcia, których uczyłem się na Roke, a które tu tracą moc albo działają całkiem na opak; i są też zaklęcia tutaj stosowane, których nigdy nie poznałem na Roke. Każda kraina ma swoje własne moce i im dalej odpływa się od Lądów Środkowych, tym mniej można odgadnąć, co to za moce i jak władają. Ale nie sądzę, aby tylko to sprawiło, że cień tak się zmienił.

— Ja też nie sądzę. Myślę, że gdy przestałem przed nim uciekać i zwróciłem się przeciw niemu, ten atak mojej woli narzucił mu postać i kształt, choć zarazem ten sam czyn przeszkodził mu w odebraniu mi mojej siły. Wszystkie moje postępki mają w nim swoje echo; jest moim tworem.

— Na wyspie Osskil cień nazwał cię po imieniu i dzięki temu powstrzymał wszelkie czary, których mogłeś przeciw niemu użyć. Dlaczego nie postąpił tak samo na Dłoniach?

— Nie wiem. Być może tylko z mojej słabości cień czerpie siłę, która pozwala mu mówić. Mówi niemal moimi własnymi ustami: bo skąd znał moje imię? Skąd znał moje imię? Łamałem sobie nad tym głowę na wszystkich morzach, odkąd opuściłem Gont, i nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Być może cień, gdy trwa w swoim kształcie czy bezkształcie, nie umie wcale mówić, a mówi tylko pożyczonymi ustami, jako gebbeth. Nie wiem.

— Musisz się zatem strzec, aby nie spotkać go po raz drugi pod postacią gebbetha.

— Myślę — odparł Ged wyciągając ręce ku żarzącym się węglom, jakby poczuł wewnętrzny ziąb — myślę, że w takiej postaci go nie spotkam. Jest teraz ze mną związany, tak jak ja z nim. Nie może się ode mnie tak, dalece uwolnić, aby zawładnąć jakimś innym człowiekiem, aby wyssać zeń wolę i istnienie, jak to uczynił ze Skiorhem. Może wziąć w posiadanie mnie. Jeśli tylko osłabnę znowu i spróbuję uciec przed nim, zerwać więź, cień weźmie mnie w posiadanie. A jednak kiedy trzymałem go ze wszystkich sił, stał się czczym oparem i uciekł mi… I tak zrobi znowu, a mimo to nie może naprawdę uciec, gdyż ja mogę go zawsze odnaleźć. Jestem związany z tym ohydnym, okrutnym stworem i będę, związany póty, póki nie poznam słowa, które go ujarzmia: jego imienia.

Jego przyjaciel, pogrążony w myślach, zapytał:

— Czy w królestwach mroku istnieją imiona?

— Arcymag Gensher mówił, że nie. Mój mistrz Ogion mówił co innego.

— „Nieskończone są spory magów"'- zacytował Yetch, z uśmiechem nieco zasępionym.

— Ta, która służyła Starej Mocy na wyspie Osskil, przysięgała; że kamień zdradzi mi imię cienia, ale na to zbytnio nie liczę. Natomiast był jeszcze smok, który, chcąc się mnie pozbyć, proponował, abym wziął je sobie w zamian za jego imię; w sprawach, o które spierają się magowie, może właśnie smoki są mądre.

— Mądre, lecz nieżyczliwe. Ale jaki znowu smok? Nie mówiłeś mi, że od czasu naszego ostatniego spotkania rozmawiałeś ze smokami.

Wiedli rozmowę długo w noc i choć wciąż powracali do nękającego ich pytania o to, co oczekiwało Geda, przyjemność z przebywania razem przytłumiła wszystko inne; ich wzajemna miłość była bowiem silna i niezachwiana, nie naruszona przez los ani upływ czasu. Rankiem Ged obudził się pod dachem przyjaciela i, jeszcze senny, poczuł się tak dobrze, jakby znajdował się w jakimś miejscu całkowicie chronionym przed złem i niebezpieczeństwem. Później, w ciągu dnia, odrobina tego sennego spokoju wciąż tkwiła w jego myślach i przyjął ją, nie jako dobry znak, jako dar. Wydawało mu się prawdopodobnie, że opuszczając ten dom, porzuci ostatnią przystań, jaką dane mu było poznać — i dlatego chciał rozkoszować się tym krótkim snem, dopóki trwał.

Mając do załatwienia różne sprawy przed odpłynięciem z Iffish, Vetch wybrał się do innych wiosek wyspy wraz z chłopakiem, który służył mu jako czarownik-uczeń. Ged pozostał z Yarrow i jej bratem imieniem Murre, który był w wieku pośrednim między nią a Yetchem. Nie wydawał się nikim więcej jak tylko chłopcem, nie miał bowiem w sobie daru — czy też dopustu — magicznej mocy; nie wypłynął dotąd ani razu poza wyspy Iffish, Tok i Holp, a jego życie było łatwe i niezamącone. Ged obserwował go z podziwem i niejaką zazdrością, on zaś dokładnie tak samo spoglądał na Geda; każdemu z nich wydawało się bardzo dziwne, że ten drugi, tak odmienny, jednak jest w jego wieku, ma dziewiętnaście lat, Ged nie mógł pojąć, jak ktoś, kto przeżył dziewiętnaście lat, może być tak beztroski. Podziwiając urodziwą, pogodną twarz Murrego czuł, że sam jest wychudły i przykry dla oka — i nie domyślał się wcale, że Murre zazdrościł mu nawet blizn, które pobruździły jego twarz, że uważał je za ślad smoczych pazurów, za prawdziwe runy i za oznakę bohatera.

Dwaj młodzieńcy wskutek tego odnosili się do siebie z pewnym onieśmieleniem, lecz co do Yarrow, pozbyła się ona wkrótce swego lęku przed Gedem: była przecież w swoim domu i była panią tego domu. Ged odnosił się do niej z wielką delikatnością, a Yarrow zadawała mu liczne pytania, bo Vetch, jak mówiła, nigdy jej niczego nie opowiadał. Przez całe te dwa dni była zajęta wypiekaniem suchych podpłomyków z pszennej mąki, które mieli zabrać w podróż, pakowaniem suszonej ryby, mięsa i innego prowiantu dla zaopatrzenia

łodzi, póki Ged nie poprosił, żeby przestała; nie zamierzał przecież płynąć prosto na Selidor bez postoju.

— Gdzie leży Selidor?

— Bardzo daleko stad, na Zachodnich Rubieżach, gdzie smoki są tak pospolite, jak myszy.

— Najlepiej więc zostań na Wschodzie, nasze smoki są tak małe, jak myszy. Proszę, oto nasze mięso; czy jesteś pewien, że wystarczy? Wiesz co, nie rozumiem: ty i mój brat jesteście obaj potężnymi czarnoksiężnikami, machacie ręką i mruczycie coś, i rzecz jest zrobiona. Więc dlaczego chce się wam jeść? Kiedy zbliża się pora wieczerzy na morzu, czemu nie powiedzieć: „Pasztet!" — a wtedy zjawia się pasztet i jecie go?

— No cóż, moglibyśmy tak zrobić. Ale, jak to się mówi, nie mamy wielkiej ochoty żywić się słowami. „Pasztet!" jest ostatecznie tylko słowem… Możemy je uczynić pachnącym i smakowitym, i nawet sycącym, ale pozostaje słowem. Oszukuje żołądek i głodnemu nie dodaje sił.

— Zresztą czarnoksiężnicy to nie kucharze — odezwał się Murre, który siedział naprzeciw Geda po drugiej stronie kuchennego paleniska, rzeźbiąc z gładkiego drewna wieczko szkatułki; był z zawodu snycerzem, choć niezbyt zapalonym.

— Ani też kucharze nic są czarnoksiężnikami, niestety — powiedziała Yarrow, która uklękła, aby zobaczyć, czy ostatnia partia podpłomyków piekąca się na cegłach paleniska już brązowieje. — Ale ja wciąż nie rozumiem, Krogulcze. Widziałam, jak mój brat, a nawet jego uczeń, zapalali światło w ciemności wymawiając tylko jedno słowo: i światło świeci, jest jasne, nie jest słowem, ale światłem, które można widzieć na swojej drodze!

— Owszem — potwierdził Ged. — Światło to moc. Wielka moc, dzięki której istniejemy, ale która istnieje poza naszymi potrzebami, sama' dla siebie. Światło słońca i gwiazd to czas, a czas to światło. W świetle słońca, w ciągu dni i lat, trwa życie. W ciemności życie może przywołać światło, nazywając je po imieniu. Ale na ogół, kiedy widzisz czarnoksiężnika nazywającego albo wzywającego jakąś rzecz, jakiś przedmiot, który ma się zjawić, to nie jest to samo: czarnoksiężnik nie przywołuje mocy większej niż on sam i to, co się zjawia, jest tylko złudzeniem. Przywołać rzecz, której w danym miejscu wcale nie ma, zawołać na nią wymawiając jej prawdziwe imię to wielka sztuka, której nie można nadużywać. W każdym razie nie dla zaspokojenia pospolitego głodu. Yarrow, twój mały smok ukradł podpłomyk.

Yarrow, wpatrzona w mówiącego Geda, tak się zasłuchała, że nie zauważyła, jak harrekki zsunął się ze swego ciepłego miejsca na drążku do zawieszania kociołka nad paleniskiem i porwał podpłomyk

większy niż on sam. Wzięła na kolana małe, pokryte łuskami stworzenie i karmiła je okruchami i drobinami ciasta, rozważając to, co Ged jej powiedział.

— Tak więc nie przywołałbyś prawdziwego pasztetu, żeby nie zniszczyć tego, o czym zawsze mówi mój brat — zapomniałam, jak to się nazywa…

— Równowagi — odpowiedział Ged rzeczowo, bowiem Yarrow była bardzo poważna.

— Tak. Ale kiedy rozbiłeś się o skały, odpłynąłeś stamtąd w łodzi utworzonej głównie t, zaklęć, a łódź nie przepuszczała wody. Czy to było złudzenie?

— No cóż, po części było to złudzenie; czuję się nieswojo, kiedy przez wielkie dziury w lodzi widzę morze, załatałem ją więc, żeby to jakoś wyglądało. Ale wytrzymałość łodzi nie brała się ze złudzenia ani z przywołania, lecz wytworzona była sztuką innego rodzaju, zaklęciem związującym. Drewno zostało powiązane w jedną całość, w jedną niepodzielną rzecz — w łódź. Czymże jest łódź, jeśli nie rzeczą, która nie przepuszcza wody?

— Nieraz już wylewałem wodę z takich, które przepuszczają — odezwał się Murre. …

— Owszem, moja też przeciekała, jeśli nie pilnowałem ustawicznie zaklęcia — Ged wychylił się z kąta, w którym siedział, i wziął z cegieł podpłomyk, podrzucając go w rękach. — Ja też ukradłem podpłomyk.

— I poparzyłeś sobie palce. A gdy będziesz głodował na wodnym pustkowiu pomiędzy dalekimi wyspami, pomyślisz o tym podpłomyku i powiesz sobie: „Ach gdybym go wtedy nie ukradł, mógłbym teraz go zjeść, niestety!”… Ja zjem podpłomyk mojego brata, żeby mógł głodować razem z tobą…

— W ten sposób równowaga została zachowana — zauważył Ged, podczas gdy Yarrow wzięła i zaczęła chrupać gorący, na wpół upieczony podpłomyk; słowa te sprawiły, że poczęła chichotać i krztusić się. Lecz po chwili, znów poważniejąc, powiedziała:

— Chciałabym móc naprawdę zrozumieć to, co mi opowiadasz. Jestem za głupia.

— Siostrzyczko — odparł Ged — to ja nie mam wprawy w wyjaśnianiu. Gdybyśmy mieli więcej czasu.

— Będziemy mieli więcej czasu — oświadczyła Yarrow. — Gdy mój brat wróci do domu, wrócisz razem z nim, przynajmniej na jakiś czas, dobrze?

— Jeśli będę mógł — odpowiedział łagodnie.

Na chwilę zapadło milczenie; po czym Yarrow, patrząc, jak harrekki wspina się z powrotem na swoje miejsce na drążku, spytała:

— Powiedz mi tylko tyle, jeśli to nie tajemnica: jakie są jeszcze

wielkie moce oprócz światła?

— To nie tajemnica. Wszelka moc jest chyba tym samym u źródła i u kresu. Lata i odległości, gwiazdy i świece, woda, wiatr i czary, zręczność rąk ludzkich i mądrość korzeni drzewa: wszystko to powstaje razem. Moje imię i twoje, i prawdziwe imię słońca, źródła albo nie narodzonego dziecka — wszystkie są sylabami — wielkiego słowa, które wypowiadane jest bardzo powoli blaskiem gwiazd. Nie ma innej mocy. Innego imienia.

Wstrzymując swój nóż na rzeźbionym drewnie, spytał:

— A śmierć?

Dziewczyna słuchała, pochylając lśniącą, czarną głowę.

— Aby słowo mogło być wymówione — odpowiedział powoli Ged — potrzebne jest milczenie. Przedtem i potem. — Nagle podniósł się mówiąc: — Nie mam prawa mówić o tym wszystkim. Słowo, które ja miałem powiedzieć, powiedziałem źle. Lepiej, abym milczał; nie odezwę się już. Być może nie ma prawdziwej mocy prócz ciemności. — I wyszedł z ciepłej, ogrzanej kominkiem kuchni, narzucając na siebie płaszcz i oddalając się samotnie w chłodny deszcz zimowy, siąpiący na ulicach.

— Ciąży na nim klątwa — powiedział Murre, patrząc w ślad za Gedem z domieszką trwogi.

— Myślę, że ta jego podróż doprowadzi go do śmierci — _odezwała się dziewczyna — a on lęka się tego, ale wyruszy. — Podniosła głową, jakby przez czerwone płomienie paleniska wpatrywała się w szlak łodzi, która przybyła samotnie przez zimowe morza i wypływała dalej w pusty ocean. Potem jej oczy napełniły się na moment łzami, ale nic nie powiedziała.

Vetch powrócił nazajutrz i pożegnał się z dostojnikami z Ismay, którzy nader niechętnie pozwolili mu wypłynąć na morze w pełni zimy, w pogoni na śmierć i życie, która nawet nie była jego własną sprawą; lecz chociaż mogli robić mu wymówki, nie byli w stanie w żaden sposób go zatrzymać. Coraz bardziej znużony gderaniem starców, Yetch oświadczył: — Jestem wasz z pochodzenia, z przyzwyczajenia i przez obowiązki, jakich się względem was podjąłem. Jestem waszym czarnoksiężnikiem. Ale pora, abyście sobie przypomnieli, że choć jestem sługą, to nie waszym. Gdy będę już mógł powrócić, powrócę; do tego czasu żegnajcie.

O brzasku, gdy szare światło trysnęło z morza na wschodzie, dwaj młodzieńcy wypłynęli „Bystrym Okiem” z portu Ismay, stawiając na północny wiatr brunatny żagiel z mocnego płótna. Na przystani stała Yarrow i patrzyła za nimi: tak stoją na wszystkich brzegach całego Światomorza żony i siostry żeglarzy, patrząc w ślad za mężczyznami wypływającymi w morze, i nie machają ani nie nawołują głodno, lecz w szarych lub brązowych płaszczach z kapturami stoją nieruchomo na

brzegu, który widziany, z łodzi coraz bardziej maleje, gdy tymczasem połać wody pośrodku rozszerza się coraz bardziej.

10. MORZE OTWARTE

Port zniknął już z zasięgu wzroku i wymalowane na łodzi oczy, omywane falami, spoglądały naprzód na coraz szersze i coraz bardziej odludne morze. Przez dwie doby towarzysze podróży przeprawili się z Iffish na wyspę Soders, przebywając sto mil burzliwych wód i przeciwnych wiatrów. Zatrzymali się w porcie jedynie na krótko: na tyle, aby uzupełnić zapas wody w bukłaku i kupić nasmołowane płótno żaglowe, które by ochroniło choć część ekwipunku w pozbawionej pokładu łodzi przed wodą morską i deszczem. Nie przewidzieli tego wcześniej, zazwyczaj bowiem czarnoksiężnik zapewnia sobie takie małe udogodnienia za pomocą czarów — tych najmniejszych i najzwyklejszych, gdyż doprawdy nie trzeba szczególnej magii, aby zmienić wodę morską w słodką i w ten sposób oszczędzić sobie trudu wożenia jej zapasu. Ale Ged sprawiał wrażenie, że zupełnie nie ma ochoty posłużyć się swoim kunsztem albo pozwolić Yetchowi, aby posłużył się swoim. Powiedział tylko: „Lepiej nie", a jego przyjaciel nie pytał o nic ani się nie spierał. Gdy bowiem wiatr po raz pierwszy wydął żagiel, ogarnęło ich przykre przeczucie złego, zimne jak ów zimowy wiatr. Port, przystań, spokój, bezpieczeństwo, wszystko to zostało za nimi. Odwrócili się od tego. Podążali teraz szlakiem, na którym wszystkie przypadki były niebezpieczne i żaden czyn nie był pozbawiony znaczenia. W trakcie tej podróży, w którą się udali, wypowiedzenie najmniejszego zaklęcia mogło zmienić bieg losu i naruszyć równowagą mocy i przeznaczenia; płynęli bowiem teraz w samo centrum tej równowagi, w miejsce, gdzie styka się światło i ciemność. Ci, którzy są w takiej podróży, nie mówią ani słowa nierozważnie.

Wypływając znów z portu i żeglując wokół brzegów wyspy Soders, której białe połacie śniegu nikły we mgle na wzgórzach, Ged skierował ponownie łódź na południe: wpłynęli teraz na wody, gdzie nie pojawiają się nigdy wielkie statki handlowe z Archipelagu, na najdalsze peryferie Rubieży.

Vetch nie zadał ani jednego pytania na temat kursu wiedząc, że Ged nie wybierał go, lecz popłynął tak, jak musiał popłynąć. Gdy wyspa Soders zmalała i zbladła za ich plecami, gdy fale syczały i plaskały pod dziobem, a wielka szara równina wodna otoczyła ich ze wszystkich stron aż po skraj horyzontu, Ged zapytał:

— Jakie lądy leżą na tym kursie?

— Na południe od Soders nie powinno być w ogóle żadnych lądów. Na południowy wschód płynie się bardzo długo i znajduje niewiele: Pelimer, Kornay, Gosk i Astowell, nazywany także Ostatnim Lądem. Za nimi — Morze Otwarte.

— A na południowy zachód?

— Rolomeny, jedna z wysp naszych Wschodnich Rubieży, i kilka małych wysepek wokół niej; potem nic, póki się nie wypłynie na Południowe Rubieże: tam są wyspy Rood i Toom, a także Wyspa Ucha, na którą ludzie nie płyną.

— My możemy — powiedział Ged kwaśno.

— Wolałbym nie — rzekł Vetch — to podobno nieprzyjemne miejsce, pełne kości i złych znaków. Żeglarze powiadają, że z wód koło Wyspy Ucha i Far Sorr widoczne są gwiazdy, których nie można ujrzeć nigdzie indziej i którym nigdy nie nadano imion.

— Owszem, na statku, który przywiózł mnie po raz pierwszy na Roke, był pewien żeglarz, który o tym mówił. Opowiadał też historie o mieszkańcach Tratw daleko na Południowych Rubieżach, którzy nie częściej niż raz do roku przybijają do lądu, aby naciąć wielkich kłód na" swoje tratwy, a przez resztę roku, całymi dniami i miesiącami, niewidoczni z lądu, dają się nieść prądom oceanu. Chciałbym zobaczyć te osiedla na tratwach.

— Ja nie — rzekł Vetch, szczerząc zęby w uśmiechu. — Ja wolę ląd i mieszkańców lądu; morze niech śpi w swoich brzegach, a ja w moim łóżku…

— Gdybym tak mógł ujrzeć wszystkie miasta Archipelagu — powiedział Ged, który trzymał się liny żaglowej i spoglądał bacznie na rozciągające się przed nimi szare pustkowia. — Havnor w samym środku świata, Ea, gdzie narodziły się mity, i Shelieth, Miasto Wodotrysków na wyspie Way: wszystkie miasta i wszystkie wielkie lądy. A także i małe lądy, dziwne wyspy Zewnętrznych Rubieży. Pożeglować wprost na Archipelag Smocze Stado, daleko na zachodzie. Albo popłynąć na północ, w kry lodowe, aż do samego Lądu Hogen. Niektórzy mówią, że to ląd większy niż cały Archipelag, a inni, że to tylko połączone lodem rafy i skały: Nikt tego nie wie. Chciałbym zobaczyć wieloryby w północnych morzach… Ale nie mogę. Muszę płynąć tam, dokąd wiedzie mój szlak, i odwrócić się plecami do jasnych brzegów. Zbyt mi się śpieszyło, a teraz nie mam już czasu. Przehandlowałem całe światło słoneczne, wszystkie miasta i odległe lądy za garść mocy, za cień, za ciemność. — I tak Ged, podobnie jak by to uczynił prawdziwy mag, przetworzył swoją trwogę i żal w pieśń, w krótki, na wpół śpiewany lament, nie tylko dla niego samego przeznaczony; a. jego przyjaciel w odpowiedzi powtórzył słowa bohatera Czynów Erreth-Akbego: — O, gdybym mógł raz jeszcze ujrzeć jasne domowe ognisko świata, białe wieże Havnoru…

Tak żeglowali dalej wąską drogą pośród szerokich wodnych pustkowi. Wszystko, co tego dnia widzieli, to była ławica srebrnych rybek zwanych „pannies", płynąca na południe; ani razu natomiast nie wyskoczył z wody delfin, ani też szarego powietrza nie przeciął lot

mewy, ptaka murre albo rybołówki. Gdy na wschodzie ściemniło się, a zachód poczerwieniał, Vetch wyciągnął jadło, podzielił je między Geda i siebie i rzekł:

— Mamy i piwo w naszych zapasach. Piję zdrowie tej, która nie zapomniała załadować do łodzi baryłki dla spragnionych i zziębniętych mężczyzn: zdrowie mojej siostry Yarrow.

Sprawiło to, że Ged porzucił niewesołe myśli, przestał wpatrywać się przed siebie w morze, i wzniósł zdrowie Yarrow chyba z jeszcze większym przekonaniem niż Vetch. Wspomnienie dziewczyny pozwoliło Gedowi odczuć na nowo jej mądrą i dziecinną słodycz. Nie przypominała nikogo ze znanych mu osób. (Czy znał w ogóle dotąd jakąś młodą dziewczynę. Ale o tym wcale nie pomyślał).

— Ona jest jak mała rybka, jak płotka, która pływa w czystym strumieniu — powiedział — bezbronna, ale nie można jej złapać.

Słysząc to Yetch spojrzał mu prosto w oczy z uśmiechem.

Urodzony mag z ciebie — rzeki. — Jej prawdziwe imię brzmi Kest.

W Dawnej Mowie „kest”, jak Ged dobrze wiedział, oznacza płotkę: i mile pogłaskało to jego serce. Po chwili powiedział jednak ściszonym głosem:

— Nie powinieneś był chyba zdradzać mi jej imienia. Ale Vetch, który nie uczynił tego lekkomyślnie, odparł:

— Jej imię jest u ciebie bezpieczne, tak jak i moje. A poza tym znałeś je już, zanim ci je zdradziłem…

Czerwień na zachodzie pogrążyła się w popiołach, a szarość popiołu w czerni. Całe morze i niebo były zupełnie ciemne. Ged wyciągnął się do snu na dnie łodzi, zawinięty w swój płaszcz z wełny i futra. Vetch, trzymając się liny żaglowej, śpiewał cicho urywek z Czynów Eriladzkich, ten, który opowiada, jak mag Morred Biały opuścił Havnor w swoim długim statku bez wioseł i jak przybywszy na wyspę Solea, ujrzał w wiosennych sadach Elfarran. Ged usnął, zanim pieśń doszła do smutnego końca ich miłości, do śmierci Morreda, zburzenia Enladu, do pochłonięcia sadów wyspy Solea przez olbrzymie i zajadłe fale morskie. Przed północą obudził się i czuwał znowu, podczas gdy Yetch spał. Mała łódź sunęła spiesznie po lekko wzburzonym morzu, pierzchając przed silnym wiatrem, który dął na oślep przez nocny mrok, napotykając opór w jej żaglu. Ale rozerwały się już chmury zasłaniające niebo i, zanim nastał świt, cienki księżyc lał słabe światło na morze, jaśniejąc pomiędzy brunatnymi na brzegach obłokami.

— Księżyca ubywa, niedługo będzie nów — zamruczał Yetch, obudzony o brzasku, gdy na chwilę ustał zimny wiatr. Ged podniósł oczy na biały sierp ponad blednącymi na wschodzie wodami, ale nic nie powiedział. Pierwszy nów księżyca, który następuje po święcie

Powrotu Słońca, nosi nazwę Odłogów i jest przeciwnym biegunem letnich świąt Księżyca i Długiego Tańca. Jest to czas niefortunny dla podróżników i dla chorych; podczas Odłogów nie nadaje się dzieciom ich prawdziwego imienia, nie śpiewa się o czynach, nie ostrzy mieczy ani narzędzi, nie składa przysiąg. Jest to ciemny biegun roku: wszystko, co się w tym czasie robi, jest zrobione źle.

W trzy dni po odpłynięciu z Soders przybyli, kierując się za ptactwem morskim i przybrzeżnymi wodorostami, do Pelimer, małej wyspy wznoszącej się wysokim garbem ponad powierzchnią burzliwego, szarego morza. Mieszkańcy wyspy mówili po hardycku, lecz na swoją własną modłę, dziwną nawet dla uszu Yetcha. Młodzieńcy zeszli na brzeg, aby nabrać słodkiej wody i odpocząć od morza, z początku przyjęto ich dobrze, z podziwem i ożywieniem. W głównym mieście wyspy przebywał czarownik, ale był on obłąkany. Chciał rozmawiać wyłącznie o wielkim wężu, który podgryza podwaliny Pelimeru, tak że wkrótce wyspa będzie musiała popłynąć z prądem jak łódź, której przecięto cumę, i ześliznąć się poza krawędź świata. Z początku czarownik przywitał uprzejmie młodych czarnoksiężników, ale mówiąc o wężu, zaczął patrzeć z ukosa na Geda; a potem począł im złorzeczyć na ulicy, wołając, że są szpiegami i sługami Morskiego Węża. Mieszkańcy Pelimeru spoglądali na nich od tej chwili ponuro, jako że tamten, choć obłąkany, był jednak ich czarownikiem. Toteż Ged i Yetch nie zatrzymali się długo na wyspie, lecz przed zmrokiem znów wyruszyli w drogę, płynąc wciąż na południo-wschód.

W ciągu tych dni i nocy żeglugi Ged ani razu nie wspomniał o cieniu, ani też nie mówił wprost o swoim poszukiwaniu; Vetch zaś tylko raz — gdy tak płynęli tym samym kursem, coraz dalej przed siebie i coraz dalej od znajomych lądów Światomorza — zadał coś w rodzaju pytania mówiąc: — Jesteś pewien? — Ged odpowiedział na to tylko: — Czy żelazo jest pewne, gdzie leży magnes? -”Vetch skinął głową i płynęli dalej; żaden z nich nie rzekł nic więcej. Od czasu do czasu rozmawiali jednak o sztukach i fortelach, którymi posługiwali się dawni magowie, aby odkrywać tajemne imiona zgubnych mocy i istot: o tym, jak Nereger z wyspy Paln poznał imię Czarnego Maga podsłuchawszy rozmowę smoków i jak Morred ujrzał imię swego wroga wypisane spadającymi kroplami deszczu w kurzu pola bitwy na Równinach Enladzkich. Mówili o zaklęciach znajdujących, o inwokacjach i o owych Pytaniach Mających Swą Odpowiedź, które potrafi zadawać jedynie Mistrz Wzorów z Roke. Lecz często Ged kończył rozmowę mrucząc słowa, które dawno temu, jesienią, powiedział mu Ogion na zboczach Góry Gont: „Aby słyszeć, należy milczeć…” Po czym zapadał w milczenie i dumał całymi godzinami, wciąż wpatrując się w morze przed dziobem łodzi. Czasami zdawało

się Yetchowi, że jego przyjaciel poprzez fale, poprzez odległości, poprzez szare dni mające dopiero nadejść widzi tę rzecz, za którą płyną, i ciemny kres ich podróży.

Przepłynęli w złej pogodzie pomiędzy wyspami Kornay i Gosk, nie widząc żadnej z nich we mgle i deszczu i o tym, że je minęli, dowiadując się dopiero nazajutrz, kiedy przed sobą ujrzeli sterczące spiczaste urwiska wyspy, ponad którymi ogromnymi chmarami kołowały mewy; ich piskliwą wrzawę można było usłyszeć już z daleka na morzu. Yetch powiedział:

— To mi wygląda na Astowell. Ostatni Ląd. Na wschód i na południe od niego mapy są puste.

— Jednakże ci, co tu mieszkają, mogą coś wiedzieć o dalszych lądach — sprzeciwił się Ged.

— Dlaczego mówisz w ten sposób? — spytał Vetch, gdyż Ged: mówił niespokojnie; a jego odpowiedź na pytanie też była wahająca się i dziwna.

— Nie tam — powiedział, wpatrując się w widniejącą przed nim wyspę i poza nią, i poprzez nią. — Nie tam. Nie na morzu. Nie na morzu, lecz na suchym lądzie: na jakim lądzie? Przed źródłami otwartego morza, poza początkami, za bramami dziennego światła…

Potem zamilkł, a kiedy znów się odezwał, mówił zwyczajnym głosem, jakby uwolnił się od uroku czy przywidzenia i niezbyt jasno je pamiętał.

Port Astowell, ujście rzeczki pomiędzy skalistymi wzniesieniami, leżał na północnym wybrzeżu wyspy, a wszystkie chaty osiedla zwracały się ku północy i zachodowi; było to, jak gdyby wyspa obracała swą twarz, choć z tak daleka, wciąż w stronę Światomorza, w stron? ludzkości.

Podniecenie i przerażenie towarzyszyło zjawieniu się przybyszów o tej porze roku, kiedy żadna łódź nie odważała się wpłynąć na morza wokół Astowell. Wszystkie kobiety pozostały w lepiankach i gdy nieznajomi zbliżali się od strony plaży, wyglądały zza drzwi, chowając dzieci za spódnicami i wycofując się trwożliwie w ciemność chałup. Mężczyźni, chuderlawi osobnicy w podszytych wiatrem łachach, zebrali się uroczystym kręgiem wokół Vetcha i Geda, a każdy dzierżył kamienny topór albo nóż z muszli. Gdy jednak minął ich lęk, przyjęli przybyszów bardzo gościnnie, a ich pytaniom nie było końca. Rzadko zawijał do nich jakiś statek, nawet z Soders czy Rolomeny, jako że nie mieli nic do wymiany za brąz albo wytworne wyroby; nie mieli nawet drewna. Jako łodzie służyły im czółna uplecione z trzciny i dzielnym żeglarzem był ten, kto w takim statku zapuszczał się choćby do wysp Gosk lub Kornay. Tutaj, na skraju wszelkich map, mieszkali całkiem sami. Nie mieli czarownicy ani czarownika i najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, czym są laski młodych czarnoksiężników: podziwiali je

wyłącznie dla drogocennego materiału, z jakiego były wykonane — drewna. Ich przywódca czy też Naczelnik Wyspy był bardzo stary i on jeden z całego ludu widział już w swoim życiu człowieka pochodzącego z Archipelagu. Ged był więc dla mieszkańców wyspy kimś niezwykłym; mężczyźni przyprowadzali swoich małych synków, aby przyjrzeli się człowiekowi z Archipelagu i mogli go pamiętać, gdy już będą starzy. Mieszkańcy Astowell nigdy nie słyszeli o wyspie Gont, jedynie o Havnorze i La, toteż wzięli Geda za władcę Havnoru. Starał się jak mógł najlepiej odpowiadać na ich pytania o białe miasto, którego nigdy nie widział. W miarę jak wieczór upływał, Ged stawał się jednak niespokojny; wreszcie zwrócił się do mężczyzn z wioski, kiedy siedzieli stłoczeni wokół paleniska w szałasie, w dymiącym cieple koziego łajna i wiązek jałowca, które były całym ich opałem:

— Co leży na wschód od waszego lądu? Milczeli, jedni uśmiechnięci, inni ponurzy. Stary Naczelnik Wyspy odpowiedział:

— Morze.

— A za nim nie ma lądu?

— Tu jest Ostatni Ląd. Za nim nie ma lądu. Nie ma nie prócz wody aż do krańca świata.

— To są mądrzy ludzie, ojcze — rzekł jakiś młodszy mężczyzna — żeglarze, podróżnicy. Może wiedzą coś o lądzie, o którym my nie wiemy.

— Nie ma żadnego lądu na wschód od tej wyspy — rzekł starzec, spojrzał przeciągle na Geda i nie odezwał się już do niego.

Dwaj towarzysze podróży spali tej nocy w zadymionym cieple szałasu. Przed świtem Ged zbudził przyjaciela, szepcząc: — Estarriol, obudź się. Nie możemy tu zostać, musimy odejść.

— Czemu tak wcześnie? — spytał zaspany Yetch.

— Nie wcześnie — późno. Ścigałem go zbyt powoli. Znalazł sposób, aby mi uniknąć, i przez to. skazać mnie na zgubę. Nie wolno, aby mi umknął: muszę go ścigać, choćby zawędrował nie wiem jak daleko. Jeśli go zgubię, sam jestem zgubiony.

— Dokąd się za nim udamy?

— Na wschód. Chodź. Napełniłem już wodą bukłaki.

Tak więc opuścił szałas, zanim zbudził się ktokolwiek w wiosce, jeśli nie liczyć niemowlęcia, które zapłakało w ciemności którejś z chat i ucichło znowu. Przy nikłym świetle gwiazd znaleźli drogę prowadzącą w dół do ujścia rzeczki, odcumowali „Bystre Oko” od kopca kamieni, do którego łódź była mocno uwiązana, i wypchnęli ją na czarną wodę. I tak pierwszego dnia Odłogów, przed wschodem słońca, wypłynęli z Astowell w kierunku wschodnim, na Morze Otwarte.

Tego dnia mieli ładną pogodę. Wiatr naturalny wiał z północnego wschodu, zimny i porywisty, Ged wzbudził jednak wiatr magiczny: był

to pierwszy akt magii, który wykonał od chwili odpłynięcia z Dłoni. Płynęli bardzo szybko wprost na wschód. Łódź wzdrygała się, uderzana w pędzie przez wielkie, dymiące, oświetlone słońcem fale, ale płynęła dzielnie, jak obiecał jej budowniczy, poddając się magicznemu wiatrowi tak dokładnie, jak któryś z zaczarowanych statków z wyspy Roke.

Ged tego ranka w ogóle się nie odzywał, ponawiał tylko czasem moc zaklęcia wywołującego wiatr albo podtrzymywał zaczarowaną siłę tkwiącą w żaglu; Vetch dokończył więc snu na rufie łodzi, choć spał niespokojnie. W południe zjedli posiłek. Ged wydzielił pożywienie oszczędnie i była w tym wyraźna zapowiedź czegoś złego, ale obaj żuli swoją małą porcję podpłomyka i solonej ryby i żaden nie powiedział ani słowa.

Całe popołudnie trzymali stale kurs na wschód, nie zmieniając kierunku, ani nie zmniejszając szybkości. Raz jeden Ged przerwał milczenie pytaniem:

— Czy podzielasz zdanie tych, co sądzą, że świat za Zewnętrznymi Rubieżami to tylko morze bez lądów, czy też tych, którzy wyobrażają sobie, że po drugiej stronie świata są inne archipelagi albo olbrzymie nie odkryte ziemie?

— Jak dotąd — odparł Yetch — podzielam zdanie tych, którzy uważają, że świat ma tylko jedną stronę i że ten, kto płynie za daleko, wypadnie poza jego krawędź.

Ged nie uśmiechnął się; nie było w nim już ani śladu wesołości.

— Kto wie, co może tam napotkać człowiek? Nie my, którzy trzymamy się stale naszych lądów i wybrzeży.

— Niektórzy usiłowali się dowiedzieć i nie wrócili. Nie przybył też do nas nigdy żaden statek z lądów, których nie znamy.

Ged nic nie odpowiedział.

Cały ten dzień i całą noc płynęli, pędzeni potężnym magicznym wiatrem po wielkich bałwanach oceanu na wschód. Ged czuwał na straży od zmierzchu aż do świtu; w ciemności wzmacniała się jeszcze bardziej ta siła, która go ciągnęła czy też pchała. Wpatrywał się wciąż przed siebie, choć w bezksiężycowej nocy nie mógł dostrzec nic więcej niż malowane oczy po obu stronach ślepego dziobu łodzi. O brzasku ciemna twarz Geda poszarzała ze znużenia; był tak zdrętwiały z zimna, że ledwie mógł wyciągnąć się do odpoczynku. Wyszeptał:

— Podtrzymuj wiatr magiczny z zachodu, Estarriol — a potem zasnął.

Słońce nie wzeszło i wkrótce deszcz idący z północnego wschodu zaczął siec o dziób łodzi. Nie był to sztorm, tylko przeciągłe, zimne wiatry i deszcze zimy. Niebawem wszystko w otwartej łodzi było przemoczone, mimo kupionego niedawno przykrycia z żaglowego płótna; Vetch czuł się, jakby sam też był przemoknięty do szpiku

kości; śpiący Ged miał dreszcze. Litując się nad przyjacielem, a zapewne i nad sobą, Vetch spróbował zmienić nieco kierunek tego gwałtownego i nieustannego wiatru, który przyniósł im deszcz. Lecz choć zgodnie z wolą Geda mógł utrzymywać silny i stały wiatr magiczny, jednak jego zaklinanie pogody tutaj, tak daleko od lądu, miało niewielką moc i wiatr Morza Otwartego nie słuchał głosu Vetcha.

A przy tym ogarnęła Vetcha niejaka obawa, gdy zaczął się zastanawiać, jak wiele mocy czarnoksięskiej pozostanie jemu i Gedowi, jeśli będą tak płynąć i płynąć, oddalając się od lądów, na których sądzono żyć ludziom.

Ged czuwał znowu tej nocy i przez cały czas trzymał łódź na wschodnim kursie. Gdy nastał dzień, wiatr naturalny osłabł nieco i od czasu do czasu świeciło kapryśne słońce; wielkie bałwany wznosiły się jednak tak wysoko, że „Bystre Oko" musiało odchylać się i wspinać na nie jak na wzgórza, zawisać na wierzchołku i pogrążać się nagle, a potem znów wspinać na następną falę i znów na następną, bez końca.

Wieczorem tego dnia Yetch przerwał długie milczenie.

— Przyjacielu — powiedział — mówiłeś jakiś czas temu, jakoby było pewne, że wreszcie przybijemy do jakiegoś lądu. Nie chce podawać twojego przeczucia w wątpliwość, ale mogła to być pułapka, podstęp uczyniony przez tego, kogo ścigasz, aby zwabić cię w głąb oceanu dalej, niż może dopłynąć człowiek. Nasza moc bowiem może odmienić się i osłabnąć na obcych morzach. Cień zaś nie nuży się, nie cierpi głodu, nie może utonąć.

Siedzieli obok siebie na poprzecznej ławce w łodzi, a mimo to Ged spojrzał teraz na niego jakby z dalekiej odległości, poprzez szeroką przepaść. Jego oczy były udręczone i zwlekał z odpowiedzią.

Nareszcie powiedział:

— Estarriol, zbliżamy się.

Słysząc jego słowa przyjaciel poznał, że są. prawdziwe. Poczuł lęk. Położył jednak dłoń na ramieniu Geda i rzekł tylko:

— A więc cóż, dobrze; to dobrze.

Tej nocy Ged znowu czuwał, nie mógł zasnąć w ciemności. Nie spał też, gdy nastał trzeci dzień. Mknęli wciąż po morzu z tą bezustanną, lekką, straszliwą chyżością i Vetch zdumiewał się mocą Geda, która była w stanie całymi godzinami utrzymywać tak silny wiatr magiczny: utrzymywać go tutaj, na Morzu Otwartym, gdzie Yetch czuł, że jego własna moc całkiem zagubiła się i osłabła. Płynęli, wciąż płynęli, aż zdawało się Yetchowi, że to, co mówił Ged, stanie się prawdą, że płyną istotnie poza źródła morza i za bramy światła dziennego na wschodzie. Ged tkwił na przedzie łodzi, patrząc jak zawsze przed siebie. Teraz jednak nie wpatrywał się w ocean, w każdym razie nie w ocean, który widział Yetch, w bezmiar falującej

wody sięgający aż do obrzeża nieba. W oczach Geda była ciemna wizja, która nakładała się i zasłaniała szare morze i szare niebo: ciemność ta stawała się coraz większa, a zasłona gęstniała. Nic z tego nie było widoczne dla Yetcha, chyba że patrzył w twarz przyjaciela; wtedy i on widział przez chwilę ciemność. Płynęli, wciąż płynęli. I było tak, jak gdyby — choć ten sam wiatr popychał ich obu w tej samej łodzi — Yetch płynął na wschód przez zwykłe morze, Ged zaś tymczasem dążył samotnie w sferę, gdzie nie ma wschodu ani zachodu, nie ma wschodzącego i zachodzącego słońca ani gwiazd.

Nagle Ged na dziobie powstał i przemówił głośno. Magiczny wiatr ustał. „Bystre Oko" przestało posuwać się naprzód; wznosiło się i opadało na ogromnych falach jak drewniany wiór. Choć wiatr naturalny wiał wciąż tak samb mocno, dmąc teraz prosto z północy, brunatny żagiel zwisł luźno, bez najlżejszego poruszenia. Łódź zawisła na falach, kołysana ich wielkim, powolnym kołysaniem, ale nie płynąc w żadnym kierunku.

Ged rozkazał: — Zwiń żagiel — i Yetch uczynił to pośpiesznie, podczas gdy jego przyjaciel odwiązał wiosła, umieścił je w dulkach i z pochylonymi plecami zabrał się do wiosłowania.

Widząc tylko fale, wznoszące się i opadające aż do linii widnokręgu, Yetch nie mógł pojąć, dlaczego posługują się teraz wiosłami; poczekał jednak i niebawem uświadomił sobie, że wiatr naturalny słabnie, a bałwany maleją. Wspinający się i pogrążający ruch łodzi coraz bardziej malał, aż wreszcie zdawało się, że łódź, pchana mocnymi uderzeniami wioseł Geda, płynie naprzód po wodzie nieomal nieruchomej, jak w otoczonej lądem zatoce. I choć Yetch nie mógł widzieć tego, co widział Ged, kiedy pomiędzy uderzeniami wioseł oglądał się co jakiś czas przez ramię na coś, co leżało na szlaku łodzi — choć Vetch nie mógł widzieć ciemnych zboczy pod nieruchomymi gwiazdami, jednak zaczynał dostrzegać swym okiem czarnoksiężnika ciemność, która wzbierała we wklęsłościach fal naokoło łodzi, i widział, jak bałwany zniżają się i tracą rozpęd, dławione przez piasek.

Jeśli było to wyczarowane złudzenie, siła jego działania była niewiarygodna: sprawić, aby Morze Otwarte wydawało się lądem! Usiłując zdobyć się na rozsądek i odwagę, Yetch wypowiedział Zaklęcie Ujawniające, pomiędzy jednym a drugim wolno sylabizowanym słowem oczekując jakiejś zmiany albo drgnięcia tego złudzenia, które tak przedziwnie wysuszyło i spłyciło otchłań oceanu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Być może zaklęcie, choć powinno oddziaływać tylko na widzenie Vetcha, a nie na magię działającą wokół nich, nie miało tu żadnej mocy. Albo może wcale nie było złudzenia i dotarli rzeczywiście do krańca świata.

Ged, niewzruszony, wiosłował coraz wolniej, oglądając się przez

ramię, wynajdując drogę wśród kanałów czy też raf i mielizn, które jedynie on mógł dostrzec. Łódź wzdrygnęła się, szurając stępką o dno. Pod tą stępką leżały niezmierzone głębie oceanu — a jednak osiedli na stałym lądzie. Ged podciągnął wiosła, które zastukotały w dulkach: hałas ten był straszliwy, nie słyszało się bowiem żadnego innego" dźwięku. Wszystkie odgłosy wody, wiatru, drewna, żagla znikły, zginęły w olbrzymiej, przepaścistej ciszy, która mogła pozostać na zawsze nie zakłócona. Łódź spoczywała bez ruchu. Nie dobiegało najmniejsze tchnienie wiatru. Morze przeobraziło się w piasek, ciemny i nietknięty. Nic nawet nie drgnęło w ciemnym niebie ani na suchym nierzeczywistym lądzie, który rozciągał się w gęstniejącą ciemność wokół lodzi tak daleko, jak sięgał wzrok.

Ged podniósł się, wziął laskę i lekko przekroczył burtę łodzi. Vetch sadził, że ujrzy, jak Ged pada i tonie w morzu, w morzu, które z pewnością było tam, za tą suchą, ciemna zasłoną zakrywającą wodę, niebo i światło. Lecz morza już nie było. Ged odszedł od łodzi. Ciemny piasek ukazywał ślady stóp, tam gdzie Ged przeszedł, i skrzypiał lekko pod jego krokami.

Laska Geda zaczęła lśnić, nie błędnym światłem, lecz czystym białym żarem, który wkrótce stał się tak jasny, że zaczerwienił jego palce w miejscach, gdzie ściskały jarzące ' się drewno.

Ged kroczył naprzód, oddalając się od łodzi, ale nie idąc w żadnym kierunku. Tu nie było kierunków, nie było północy, południa, wschodu czy zachodu — tylko zbliżanie się i oddalanie.

Zapatrzonemu Yetchowi światło, które niósł Ged, wydawało się podobne do wielkiej, powolnej gwiazdy sunącej przez ciemność. A ciemność wokół niej gęstniała, czerniała, ściągała się. Widział to także Ged, patrzący wciąż przed siebie poprzez krąg światła. A po chwili na ledwie widocznym, najodleglejszym skraju tego kręgu dostrzegł cień, który zbliżał się ku niemu po piasku.

Zrazu cień był bezkształtny, ale gdy nadciągnął bliżej, przybierał wygląd człowieka. Wydawał się podchodzącym w stronę Geda szarym i ponurym starcem; ale właśnie w chwili, gdy Ged rozpoznał w tej postaci swego ojca, kowala, ujrzał, że nie jest to starzec, lecz człowiek młody. Był to Jasper: wyniosła, przystojna, młoda twarz Jaspera, szary płaszcz spięty srebrną klamra, sztywny krok. Pełen nienawiści był wzrok, który utkwił w Gedzie poprzez dzielący ich półmrok. Ged nie zatrzymał się, ale zwolnił kroku i idąc naprzód podniósł swą łaskę nieco wyżej. Laska rozjarzyła się i w jej świetle wygląd Jaspera opadł z postaci, która nadchodziła coraz bliżej: stała się ona Pechvarrym. Lecz Pechvarry miał twarz nabrzmiała i bladą jak twarz topielca i wyciągał dziwnie rękę gestem jak gdyby przywołującym. Ged wciąż się nie zatrzymywał: szedł naprzód, choć pomiędzy nimi pozostało teraz już tylko parę kroków. Wtedy to, co było naprzeciw niego,

przeobraziło się całkowicie: rozciągnęło się z obu stron, jakby rozwierając ogromne cienkie skrzydła, zwinęło, urosło i skurczyło znowu. Ged dostrzegł na moment w sylwetce stwora białą twarz Skiorha, później parę zasępionych, patrzących surowo oczu, a potem nagle strwożoną twarz, której nie znał, twarz człowieka lub potwora, z wykrzywionymi wargami i z oczami, które były jak jamy wgłębiające się w czarną próżnię.

W tym momencie Ged podniósł laskę \wysoko w górę, a ona rozjarzyła się oślepiająco, płonąc tak białym i potężnym światłem, że zniewoliło ono i poskromiło nawet tę odwieczną ciemność. W blasku tym wszelki ludzki kształt spełzł ze stwora, który zbliżał się ku Gedowi. Stwór ściągnął się, skurczył i sczerniał, pełznąc dalej po piasku czterema krótkimi szponiastymi łapami. Ale posuwał się wciąż naprzód, podnosząc ku Gedowi ślepy, niekształtny pysk bez warg, uszu i oczu. Gdy ostatecznie zbliżyli się do siebie, stwór stał się zupełnie czarny w białym magicznym promieniowaniu płonącym wokół niego i dźwignąwszy się, stanął wyprostowany. Człowiek i cień spotkali się w milczeniu twarzą w twarz i zatrzymali się.

Głośno i wyraźnie, naruszając odwieczną ciszę, Ged wymówił imię cienia i w tej samej chwili cień przemówił bez warg i bez języka, wypowiadając to samo słowo: — Ged. — I dwa głosy były jednym głosem.

Ged wyciągnął przed siebie ręce, upuszczając laskę, i objął swój cień, swoje czarne ja, które jednocześnie sięgnęło ku niemu. Światło i ciemność zetknęły się i połączyły, stając się jednością.

Ale Vetchowi, który ze zgrozą przyglądał się z daleka poprzez ciemniejący ponad piaskiem zmrok, zdawało się, że Ged został pokonany; widział bowiem, jak jasny blask niknie i gaśnie. Ogarnęła go wściekłość i rozpacz: wyskoczył na piasek, aby wspomóc przyjaciela albo wraz z nim umrzeć, i popędził w stronę tego maleńkiego promyka, który gasł w pustym zmroku suchego obszaru. Lecz gdy biegł, piasek zapadł się pod jego stopami i Vetch zaczął szamotać się z nim jak w bagnie, wyrywać się zeń jak z zalewającej go ciężkiej fali: aż wreszcie w ogłuszającym szumie, w olśniewającym blasku dnia, w przenikliwym chłodzie zimy i w gorzkim smaku soli świat został mu przywrócony i Vetch pogrążył się w nagłym, prawdziwym, żywym morzu.

W pobliżu na szarych falach kołysała się łódź, pusta. Vetch nie mógł dojrzeć na wodzie nic poza tym; walące się na niego wierzchołki fal zalewały mu oczy i oślepiały go. Nie będąc dobrym pływakiem, przedarł się jak mógł do łodzi i wciągnął przez burtę do środka. Kaszląc i starając się obetrzeć wodę, która spływała strumieniami z jego włosów, rozejrzał się rozpaczliwie wokoło, nie wiedząc, w którą stronę ma teraz patrzeć- W końcu dostrzegł wśród fal coś ciemnego,

oddzielonego od siebie znaczną przestrzenią tego, co przed chwilą było piaskiem, a teraz wzburzoną wodą. Rzucił się do wioseł i z całej siły powiosłował ku przyjacielowi; chwytając Geda za ramiona podtrzymał go i wciągnął przez burtę do łodzi.

Ged był oszołomiony i jego oczy spoglądały w przestrzeń, jakby nic nie widziały, ale nie było na nim widać żadnej rany. Blask jego laski z czarnego cisowego drewna zgasł całkiem; Ged ściskał ją w prawej dłoni i nie dał jej sobie odebrać. Nie mówił ani słowa. Wyczerpany, przemoczony i trzęsący się, leżał pod masztem zwinięty w kłębek, nie spoglądając ani razu na Yetcha, który podniósł żagiel i obrócił łódź, aby złapać północno-wschodni wiatr. Ged nie widział nic z tego, co było naokoło, dopóki na wprost przed dziobem płynącej łodzi, na niebie, które pociemniało po zachodzie słońca, w wyrwie jasnobłękitnego światła pomiędzy długimi chmurami nie zajaśniał księżyc na nowiu: pierścień z kości słoniowej, obrączka z rogu, odbite światło słońca po drugiej stronie oceanu mroku.

Ged uniósł twarz i wpatrzył się w ten odległy półksiężyc jaśniejący na zachodzie.

Wpatrywał się długo, a potem podniósł się i wyprostował, trzymając w obu dłoniach laskę, jak wojownik trzyma długi miecz. Rozejrzał się wokół, spoglądając na niebo, na morze, na brązowy wydęty żagiel nad głową, na twarz przyjaciela.

— Estarriol — powiedział — spójrz, już po wszystkim. Skończone. — Zaśmiał się. — Rana uleczona — powiedział — jestem zdrów, jestem wolny. — Potem pochylił się i ukrył twarz w dłoniach, płacząc jak mały chłopiec.

Aż do tej chwili Vetch obserwował go z pełnym napięcia lękiem, nie był bowiem pewien, co zdarzyło się tam, w ciemnej krainie. Nie wiedział, czy to Ged jest z nim w łodzi: jego dłoń przez całe godziny gotowa była chwycić za kotwicę, wybić dziurę w deskach i raczej zatopić łódź tu, na pełnym morzu, niż zawieźć z powrotem do portów Światomorza owego złego stwora, który, jak Yetch się obawiał, mógł przybrać wygląd i postać Hpda. Teraz, gdy widział przyjaciela i słyszał jego słowa, wątpliwości znikły. I Vetch zaczynał rozumieć prawdę: Ged ani nie został pokonany, ani nie zwyciężył, lecz nazywając cień swej Śmierci swoim własnym imieniem, uczynił siebie całością: człowiekiem; kimś, kto znając swojo całe, prawdziwe ja, nie może zostać wykorzystany ani zawładnięty przez żadną inną moc poza samym sobą, i kto przeżywa dzięki temu swoje życie w imię życia, a nigdy w służbie zniszczenia, cierpienia, nienawiści lub ciemności. W Stworzeniu Ba, będącym najstarszą pieśnią, powiedziane jest: „Tylko w milczeniu słowo, tylko w ciemności światło, tylko w umieraniu życie: na pustym niebie jasny jest lot sokoła”. Tę pieśń Vetch śpiewał teraz na głos, sterując na zachód i płynąc z chłodnym wiatrem

zimowej nocy, który dął im w plecy z bezmiaru Morza Otwartego.

Płynęli osiem dni i jeszcze osiem, zanim ujrzeli na horyzoncie ląd. Wiele razy musieli napełniać swój bukłak morską wodą, zmienianą czarami w wodę słodką; łowili ryby, ale nawet gdy przywoływali na pomoc czary rybackie, łapali bardzo-niewiele, gdyż ryby Morza Otwartego nie znają swoich imion i nie zważają na czary. Gdy nie zostało im już nic do jedzenia poza paroma paskami wędzonego mięsa, Ged przypomniał sobie, co powiedziała Yarrow, kiedy ukradł z paleniska podpłomyk — że będzie żałował swej kradzieży, gdy zgłodnieje na morzu; ale mimo że był tak głodny, wspomnienie to sprawiło mu przyjemność. Albowiem Yarrow powiedziała również, że on, wraz z jej bratem, powróci do domu.

Magiczny wiatr niósł ich poprzednio na wschód przez zaledwie trzy dni, teraz jednakże powrót na zachód zajął im szesnaście dni żeglugi. Nikt dotąd nie powrócił z tak dalekiej wyprawy na Morze Otwarte, jaką młodzi czarnoksiężnicy Estarriol i Ged podjęli w dni Odłogów zimowych w otwartej rybackiej łodzi. Nie napotkali większych sztormów i sterowali prawie bez zmian, kierując się kompasem oraz gwiazdą Tolbergen i biorąc kurs nieco na północ od swojego poprzedniego szlaku. Wskutek tego nie powrócili na wyspę Astowell, ale wymijając Far Toly i Sneg, tak że pozostały poza widnokręgiem, po raz pierwszy ujrzeli ląd opodal najbardziej wysuniętego na południe przylądka wyspy Koppish. Ponad falami zobaczyli kamienne urwiska, wznoszące się jak wielka twierdza. Ptactwo morskie kwiliło, kołując nad przybojem, a w wietrze snuł się błękitny dym z wioskowych kominków.

Z tego miejsca podróż do Iffish nie trwała długo. Wpłynęli do portu Ismay w cichy, ciemny wieczór: wkrótce zaczął padał śnieg. Przycumowali łódź „Bystre Oko", która zaniosła ich do wybrzeży królestwa śmierci i z powrotem, a potem poszli pod górę wąskimi uliczkami do domu czarnoksiężnika. Ich serca były bardzo lekkie, gdy weszli w światło i ciepło ognia płonącego pod tym dachem, a Yarrow wybiegła im na spotkanie, płacząc z radości.

Jeśli nawet Estarriol z wyspy Iffish dotrzymał obietnicy i ułożył pieśń o owym pierwszym wielkim czynie Geda, to pieśń ta zaginęła. Istnieje opowiadana na Wschodnich Rubieżach legenda o łodzi, która osiadła na suchym lądzie, choć znajdowała się nad otchłanią oceanu i całe dnie drogi dzieliły ją od najbliższych wybrzeży. Na wyspie Iffish mówi się, że to Estarriol płynął tą łodzią, lecz na wyspie Tok powiadają, że byli to dwaj rybacy zagnani przez sztorm daleko na Morze Otwarte; a znów na wyspie Holp legenda opowiada o rybaku holpijskim ł głosi, że nie umiał on ruszyć swej łodzi z niewidzialnych piasków, na których osiadła, i do dziś jeszcze po nich się błąka. Tak więc z Pieśni o Cieniu pozostało tylko parę urywków baśni, niesionych

przez długie lata od wyspy do wyspy jak drewno unoszące się na falach. Natomiast w Czynach Geda nie ma ani słowa o tej wyprawie, o spotkaniu Geda z cieniem — o tym wszystkim, co się wydarzyło, zanim jeszcze Ged przepłynął bez szwanku przez Smocze Stado, zanim odniósł Pierścień Erreth-Akbego z Grobowców Atuanu na Havnor i zanim w końcu zjawił się raz jeszcze na Roke jako Arcymag wszystkich wysp świata.

11. POSŁOWIE

„Pytam o Obcego, o istotę różną od Ciebie. Istota ta może się od Ciebie różnić płcią albo rocznym dochodem lub sposobem bycia, mówienia i ubierania się, wreszcie kolorem skóry bądź ilością nóg i głów. Innymi słowy, istnieje Obcy seksualny, Obcy socjalny, kulturowy i na koniec rasowy. A co z socjalnym Obcym w SF? Co tam, w terminach marksizmu, z «proletariatem»? Gdzie on jest w SF? Gdzie są tam nędzarze, którzy pracują ciężko i idą do łóżka głodni? Czy to są kiedykolwiek w SF osoby? Nie. Zjawiają się jako wielkie anonimowe masy, uciekające ze slumsów chicagowskich przed śluzowatymi monstrami albo ginące od radiacji skażenie, albo jako armie bez twarzy, prowadzone w bój przez generałów i mężów stanu. W fantastyce «miecza i magii» zachowują się jak figury na szkolnym przedstawieniu Czekoladowego Księcia. Zdarza się między nimi dziewczę o bujnych kształtach, emablowane przez oficera Głównej Kwatery Ziemskiej, albo w załodze rakiety jest zacny stary kucharz, ze szkockim lub szwedzkim akcentem, reprezentujący Mądrość Prostych Ludzi. Bo ludzie nie są w SF ludźmi. Są masami istniejącymi po to, by wielcy mieli kim rządzić.

Ze społecznego punktu widzenia lwia część SF jest płaska i wsteczna nie do wiary. Wszystkie te imperia galaktyczne, idące wprost od Imperium Brytyjskiego z 1880. Wszystkie te planety — rozdzielone 80 trylionami mil! — ukazane jako państwa wojowniczych nacjonalistów lub jako kolonie podlegające eksploatacji albo protektoratowi życzliwego imperium Ziemi, pod którym winny zmierzać w stronę samorozwoju, wszędzie — Trud Białego Człowieka raz jeszcze. (…) Jedyną przemianą społeczną ukazaną w SF jest ruch ku autorytaryzmowi, zdominowanie ciemnych mas przez elitę władzy, ukazywane czasem jako ostrzeżenie, ale częściej z satysfakcją. Socjalizm nigdy nie podlega rozważeniu jako alternatywa, a demokracja ulega zapomnieniu. Bogactwo stanowi cel z założenia słuszny, utożsamiony z osobista zasługą. Amerykańska SF akceptuje trwałą hierarchie wyższych i niższych, z agresywnymi, bogatymi, ambitnymi samcami, na szczycie, potem otwiera się wielka luka, a dalej, na dnie, są biedni, ciemni, anonimowi — wraz z kobietami. Jeśli mogę tak rzec, obraz całościowy jest dziwacznie ‹nieamerykański». Jest to doskonały patriarchat pawianów, z samcem Alfa na szczycie, którego obmrukują z respektem samce podwładne. (…) Nadszedł, sądzę, czas, by twórcy SF — oraz ich czytelnicy! — przestali roić o powrocie Wieku Królowej Wiktorii i zaczęli myśleć o przyszłości.”

Powyższych słów nie napisał ani ortodoksyjny krytyk marksistowski, ani ten złośliwiec, ten paszkwilant Stanisław Lem,

odpłacający amerykańskim kolegom za honorowe członkostwo Science Fiction Writers of America — kalumniowaniem ich twórczości (por. „Forum SFWA" z 1975 roku). Napisała te słowa autorka niniejszej książki, Ursula Le Guin, w zwięzłym wystąpieniu, zamieszczonym w poświęconym jej dziełom kwartalniku „Science Fiction Studies" w 1975 roku (wydawcą „SFS" jest uniwersytet w Indianie). Nie ma ona dziś w Stanach nikogo równego sobie na polu fantastyki, z wyjątkiem bodaj Ph. Dicka, którego Ubik zapoczątkował naszą — Wydawnictwa Literackiego i moją — serię książek. Różnica pomiędzy Le Guin a Dickiem w zasadzie równa się różnicy między statystycznie uogólnioną umysłowością kobiecą i męską. Dick darzy nas gwałtowniejszymi niespodziankami wyobraźni, wzbija się niekiedy wyżej, ale miewa też głębsze upadki. Natomiast pisarstwo Ursuli Le Guin objawiało we wszystkich fazach rozwoju większy umiar, dyscyplinę, ład, powściągliwość, rzekłbym — rozumną i ciepłą gospodarność.

Największy rozgłos przyniosła jej powieść wydana przed trzema laty, Wydziedziczeni. Jest to ambitna próba wymodelowania pod szkłem fantastycznej izolacji najbardziej palących dylematów politycznych naszego wieku. Zestawiła w niej, jako modele rozmyślnie wyodrębnione, bo osadzone na okrążających się (niczym Ziemia z Księżycem) planetach — dwie antagonistyczne formacje, kapitalizm i anarchizm. Społeczność kapitalistyczna pozbyła się swych radykałów, posyłając, a właściwie — zsyłając ich na glob mniejszy, ubogi, niemal pustynny, i w takich warunkach rozrasta się kolektywistyczna bezpaństwowość, w której niełatwo żyć, ale też ciężar egzystencji po równi rozkłada się w niej na wszystkich. Podtytuł powieści brzmi: Dwuznaczna utopia. Jakoż nie jest anarchia Le Guin rajem. Bohater powieści to genialny fizyk, który w ubogiej społeczności nie może rozwinąć w pełni swych uzdolnień.

Rzecz nie tylko w ubóstwie zresztą. Urras i Anarres, państwa-planety, nie znają się nawzajem. Wrogość względem dawnej ojczyzny przetrwała bowiem jej opuszczenie — anarchiści zamknęli się na wszelkie stamtąd wpływy, przez co także wiedzą ustępuje nowa społeczność — starej. Bohater udaje się więc tam, gdzie czekają go świetniejsze umysły i laboratoria. Ogół poczytuje mu ten krok za zdradę — do rakiety odprowadzają go ciskane przez tłum kamienie.

Wydziedziczeni to nie zamierzona bodaj trawestacja motywu faustowskiego, to Faust w typowej dlań sytuacji wyboru, tym razem — także politycznego. Ten Faust paktuje z „diabłem", korzysta z jego darów, aby poprzez nie dostrzec wreszcie mechanizm przemocy, która go mierzi. Dokonawszy swego, postanawia wrócić — ale nie w postaci skruszonego marnotrawnego syna. Powieść otwiera się sceną jego odlotu, a zamyka chwilą przed lądowaniem, pełną nieświadomości i

ryzyka, bo powita go chyba — pogardliwa nienawiść.

W tym epicko zakrojonym utworze niejedno można kwestionować. Najpierw — reprezentatywność ustrojowych modeli. Obrońca kapitalizmu powie, że Le Guin ułatwiła sobie dyskredytacyjne zadanie, ukazując zamiast modelu „optymalnego", jak jakiś szwedzki — zlepek polityczny, umiejscawialny gdzieś pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, Ameryką Południową i bodaj Persją czy Grecją. Ale i rzecznik socjalizmu nie będzie w pełni rad modelowi „utopii", gdyż trwałość i spolegliwość jej egalitaryzmu wniesiona jest w społeczeństwo jakby z zewnątrz. A to, ponieważ stromą hierarchizację społeczną, ponieważ zróżnicowanie uczestnictwa w dostatku udaremniają fizyczne warunki planety. To ich nacisk, skazując całą społeczność na heroiczny wysiłek, a nieraz na frontową wręcz postawę, tym właśnie ciśnieniem „spłaszcza" zbiorowość, wtrąca ją w sytuację zbliżoną do komunizmu wojennego, z tą istotną różnicą, że walczyć trzeba z klęskami naturalnymi, a nie z wrogim najazdem. A więc rygor egalitaryzmu jest w pierwszej przyczynie zzewnątrzpochodny. Ustanawia ów rygor — fizyka planetarna, a nie tylko dobrowolność społecznej umowy. Powieść stara się pomniejszyć znaczenie tego musu jako społecznego spoiwa, bo choć moc w niej pryncypialnych rozmów, nie tykają one kwestii, jak wiodłoby się takiemu społeczeństwu w mniej spartańskim otoczeniu. Lecz przecież skoro ma być ukazana anarchia, czyli społeczność własnowolnie powściągliwa w korzystaniu z nieograniczonych swobód, nie należy zastępować ryżów politycznych — fizycznymi. To nie sztuka być Spartaninem, gdy nie można nim nie być.

Podkreślmy przecież, że alternatywa ukazana przez Le Guin nie sprowadza się do przeciwstawienia równości w niedostatku — uciechom z wyzysku. Nie wszystko jest w dosycie skażone złem i nie wszystko, co idzie z egalitaryzmu, zasługuje na aprobatę. Zupełny egalitaryzm nie jest zupełną sprawiedliwością, bo likwiduje odchylenia od średniej społecznej tak ujemne, jak dodatnie. Tym samym faworyzuje przeciętność. Dowodem bohater: nie może zdobyć tyle rozwojowej swobody, ile wymaga jego duchowa wyjątkowość. Co prawda właśnie ta jego wyjątkowość stanowi najsłabszy, najmniej przekonywający element powieści. Ujawnimy tę słabość, zestawiając Wydziedziczonych z Czarnoksiężnikiem z Archipelagu.

Czarnoksiężnik pochodzi z dużo wcześniejszego okresu pisarstwa Ursuli Le Guin. Krytyka zapomniała o nim prawie, uznawszy Wydziedziczonych za najwybitniejszy dotąd utwór autorki. Jak sądzę, niesłusznie. Sąd krytyki idzie po części stąd, że niewątpliwa jest aktualność polityczna Wydziedziczonych, a po części bodaj i stąd, że fantastyka baśniowa w rodzaju Czarnoksiężnika uchodzi za

podgatunek mniej poważny, bardziej rozrywkowy od fantastyki naukowej. To rozgraniczenie: fantasy i science fiction, mam za systematyczny błąd krytyki amerykańskiej, któremu ulega na ogół też europejska. Podług Amerykanów, jeśli ktoś lata w utworze na dywanie, chodzi o fantastykę baśniową, a jeśli na stołku antygrawitacyjnym, znajdujemy się w fantastyce naukowej. Z zastosowania analogicznie płytkich kryteriów wynikałoby w zoologii, że nietoperze są ściślej spokrewnione z turkawkami niż z myszami, bo myszy nie latają. Ani nietoperz, nawet przybrany w cudze piórka, nie jest ptakiem, ani baśń, przetkana naukopochodnymi terminami, nie jest fantazją naukową. Ciężar gatunkowy dzieła nie zależy od „naukowości" pojawiających się w nim nazw, lecz od użytku, jakie utwór z nich robi. W posłowiu do Opowieści niesamowitych Grabińskiego wspomniałem o służbach, jakie fantastyka niesamowita mogłaby pełnić pozarozrywkowo.

Czarnoksiężnik z Archipelagu jest znakomitym przykładem takich właśnie służb. Jest to opowieść o naukach, pobieranych przez młodzieńca z wymyślonej krainy u fikcyjnych mędrców władających fantastycznym kunsztem czarnoksięskim. Zarazem jest to opowieść realistyczna — o kształtowaniu się osobowości, o dorastaniu wśród przeciwieństw, o tym, jak zapalczywa lekkomyślność staje się dojrzałością. Jest to wreszcie figuralna przypowieść o tym, jak można dorosnąć do sprostania własnej śmierci, nie popadając ani w nędzny strach, ani w głupią butę. Narracja toczy się czysto i spokojnie, w kameralnym ściszeniu. Zachowała swoje brzmienie w przekładzie, za który należy się wdzięczność Stanisławowi Barańczakowi, bo nie uronił ani krzty poetyckości Czarnoksiężnika. Sugestywny jest w nim nastrój przymglonego Archipelagu wśród burzliwych wód Północy, a wręcz znakomita — naturalność przejść od skromnego mozołu żeglarzy i rybaków do pojawień zaświatowego żywiołu. Żywioł ten nie jest tylko tradycyjnym sztafażem baśni, stanowi bowiem przebraną w niesamowity strój, alegorycznie potraktowaną potęgę odpowiadającą rzeczywistym potęgom, jakie człowiek wyzwala w Naturze. Czary okazują się równie ułomne, wątpliwe i obusieczne, jak naukowe odkrycia. Przypomnę zbawczą przemianę młodego Geda w ptaka, która wyzwala go wprawdzie z opresji, ale sama staje się dlań nowym zagrożeniem. Toż to wręcz modelowa sytuacja ludzkiego poznania, bo i nauka, obdarzając nas nowymi swobodami, jednocześnie wprowadza nas w nowe zagrożenia. Tym właśnie obojnaczym stosunkiem do wyzwalanych mocy zdobywa Czarnoksiężnik doskonalszą jednolitość i większą wiarygodność od Wydziedziczonych. Polityczna. problematyka przyćmiewa w Wydziedziczonych osobę i dzieło bohatera. Jego odkrycie, pożądane przez możnych, upodabnia się do magicznego skarbu ukrytego w jego umyśle.

Czyżbym chciał oświadczyć, że baśń Ursuli Le Guin jest bardziej realistyczna od jej naukowej fantazji? Tak, to właśnie chcę powiedzieć. Zdarzają się w literaturze takie paradoksy, jak ten — że roli pełnionej przez czary w jednej książce można przypisać więcej realizmu aniżeli roli odkrycia naukowego — w innej. Ale paradoks jest pozorny. Rzecz w tym, że utwór konstytuuje świat, rządzący się własnymi prawami, jako suwerenną całość, i o tym, czy utwór jest wierny rzeczywistości, decyduje owa całość a nie jej fragmenty, na przykład — nazwy brane ze słownika nauki.

Toteż nie słowniki mogą poręczać prawdonośność rzeczy występujących w tekście, lecz tylko świat utworu. On jeden może być poręczycielem problemowej autentyczności takich rzeczy. Zachodzące stosunki odda może taki przykład.

Gdy budujemy most, jego konstrukcja całościowa jest ważniejsza od wyglądu jego części. Jeśli most jest stalowy, mogą sobie jego łuki być wymodelowane na kształt smoczych ogonów. W niczym nie naruszy to jego udźwigu, a może nawet ta oryginalność konstrukcji technicznej, wykonanej z elementów o egzotycznym kształcie, nada mu dodatkowy walor. Jeśli natomiast most jest rzetelnie stalowy, lecz jedno przęsło ma z papieru doskonale imitującego wyglądem stal, nie będzie wiele wart. Co z tego, że wszystkie inne przęsła są mocne, jeśli po tym nie można przejść.

W niniejszej powieści czarnoksięstwo stanowi przewodni motyw duchowego życia bohatera. Czarnoksięstwo to, w ukazanej postaci, nie jest wymierne na nic innego. Gdyby czary, jakich uczy się Ged, były niezawodne i wszechmocne, powieść runęłaby od razu. Równie marny byłby efekt, gdyby tych czarów mógł się młodzieniec nauczyć lekko, niczym tabliczki mnożenia, bez wszelkich „kosztów własnych". Natomiast epokowe odkrycie, z jakim nosi się uczony bohater Wydziedziczonych, stanowi wymienny pretekst mający uzasadnić jego postępki. Chodzi o nową teorię czasu, ale mógłby ją zastąpić każdy inny rodzaj teorii czy hipotezy, a także jakiś wynalazek techniczny, sam bohater wreszcie mógłby być nie uczonym, lecz na przykład artystą. To też w niczym nie zmieniłoby utworu, ponieważ idzie w nim o konfrontację dwóch systemów politycznych, a bohater pełni w tym procesie rolę obiektywu, przez który patrzymy. To jest główna bodaj słabość Wydziedziczonych. Genialny uczony mógłby oczywiście optować na rzecz rewolucji, ale nie przestałby wszak od tego być genialnym uczonym, zachowałby świadomość swego dzieła, które nie może tym samym być zewnętrznym niejako, przypadkowym, wymiennym dodatkiem do jego osoby i do jego losu. Znakomita koncepcja, z jaką Le Guin przystąpiła do pisania Wydziedziczonych, stworzyła szansę nowej wersji Fausta, lecz szansa ta nie ziściła się, ponieważ kandydat na Fausta schodzi do roli obserwatora najpierw, a

potem sympatyka — politycznej opozycji w kapitalizmie. Tak jak on, mógłby się zaangażować w polityczna walkę każdy człowiek. Ponieważ jednak nie każdy, jako byle kto, mógł przekroczyć bariery dzielące skłócone światy, bohater musiał być indywidualnością niezwykłą. Autorka zdecydowała się uczynić tym człowiekiem — genialnego uczonego. Lecz taki wybór zobowiązuje. A ponieważ wielkość uczonego jest pochodną wielkości jego dokonań w ich treści i w społecznych konsekwencjach, nie można wypełnić tak otwartego zadania -półtorastronicowymi ogólnikami.

Właśnie przez to magiczne praktyki i zaklęcia w Czarnoksiężniku okazują się — przez ich nierozerwalny zrost z całością utworu, przez ich naczelne miejsce w życiu bohatera, a też przez ich dwuznaczność, zawodność i ułomność — bliższe prawdy ludzkiego działania, czyli bardziej realistyczne aniżeli wspaniałe odkrycie naukowe bohatera Wydziedziczonych.

— Wzięło się to, myślę, stąd, że Ursula Le Guin, córka słynnego antropologa amerykańskiego Kroebera, czuła się w sferze obyczajowej egzotyki, folkloru, rytuałów inicjacyjnych i praktyk magicznych — bardziej swojsko niż na terenie nauki i jej twórców.

Na koniec uwaga osobista. Żywię dla Czarnoksiężnika szczególny sentyment. Jest to jedyna pozycja amerykańskiej fantasy, która wzbudziła mój szacunek. Zarazem pocieszyła mnie po lekturze (znanej i u nas) powieści Tolkiena Władca Pierścieni. To głośne dzieło pozostawiło mnie obojętnym, a nawet znudzonym. Toteż gdyby nie Czarnoksiężnik z Archipelagu, uznałbym się — wobec współczesnej fantastyki bajeczno-magicznej — za ślepego, wobec kolorów. Ursula Le Guin pomogła mi swoją powieścią odzyskać wiarę zarówno w żywotność fantastyki amerykańskiej, jak i w moją wrażliwość na jej — rzadkie niestety — uroki.

Marzec 1976
Stanisław Lem